Stron 16 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. **NUMER PODWÓJNY** Cena 30 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 16–23 maja 1948 r. Nr 20–21 (149–150)

W NUMERZE
między innymi:

Krzysztof Sławiński

IMPERIALIZM I POKÓJ

CZYM było zwycięstwo? Klęską faszyzmu. Sukcesem wolności i pokoju. Ale czy dla wszystkich?

W tym mniej więcej czasie, gdy armie alianckie dobijały hitleryzm, Caldwell wydał powieść pt. „Tragiczna ziemia". Dlaczego — tragiczna? Jest to historia ubogiego farmera, Spence Dutaeta, z południowych stanów, który w okresie wojny przenosi się ze wsi do miasta. Otrzymuje pracę w fabryce zbrojeniowej jako robotnik. Ale pracuje krótko. W ostatnich miesiącach wojny szybko spada produkcja przemysłowa — fabryki ulegają likwidacji — a Spence Dutaet zostaje bezrobotnym. W Ameryce jest coraz więcej Dutaetów.

Kiedyś spotyka damę z bogatych sfer, która robi mu wyrzuty, że w czasie, gdy na świecie toczy się wojna i Amerykanie giną za ojczyznę — on, zdrowy silny mężczyzna — nie pracuje. Spence odpowiada, że nie jest jedynym pozbawionym pracy, że tysiące takich, jak on — ubogich farmerów — obiecankami i odwoływaniem się do patriotyzmu wyrwano ze stron rodzinnych, a później — czy też dla dobra ojczyzny? — wyrzucono z fabryk.

Dutaet pracy nie znajduje. Stacza się coraz niżej. Jego córka zostaje prostytutką on sam kretynieje — a ich chlebem codziennym jest — głód i nędza.

Caldwell maluje Amerykę — o której w Ameryce się nie pisze — w której ludziom odbiera się człowieczeństwo — i gdzie człowiek traci swą wartość społeczną.

Czy wiecie już dlaczego tragiczna? Mówią, że Ameryka jest życiodajna. Ale Ameryka jest przede wszystkim imperialistyczna.

Gdzieś Mark Twain maluje apokaliptyczny obraz imperializmu:

„W oznaczonej godzinie Procesja ruszyła w drogę po kuli ziemskiej, podróżując w następującej kolejności:

Dwudziesty wiek

Młode, piękna istota. Pijane, rozpustne oblicze. Płynie na rękach szatana. Chorągiew z napisem: „Chwytaj, co możesz! Co złapałeś, nie wypuszczaj!" Wartę honorową pełnią: monarchowie, prezydenci, wodzireje „Tammanee-hall"*), złodzieje, bandyci, aresztanci itd.

Chrześcijaństwo

Monumentalna kobieta, na niej rozwiane suknie, przesiąknięte krwią... w jednej ręce... trzyma procę, w drugiej — biblię, z odkrytym tekstem: „Wspomagaj swych bliźnich" itd... Z kieszeni wystaje butelka z etykietką: „Przynosimy dary cywilizacji"... Sztandar z dewizą: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego". Symbol — czarna chorągiew".

Obraz jest katastroficzną wizją Twaina. Symbolem romantyka.

A cóż powie realista?

Tygodnik „Life" zamieścił artykuł swego redaktora, Henry Lewesa, pod jakże symboliczną nazwą: „Dwudziesty wiek". — „Spójrz na dwudziesty wiek — pisał Lewes — To jest nasz wiek. Jest nasz nie tylko dlatego, że w nim żyjemy, — ale jest nasz i z tego powodu, że jest to pierwszy wiek, w którym Ameryka okazała się krajem rządzącym w świecie. W momencie prób musi stać się jasnym nasz cel, którym będziemy się kierować budując dwudziesty wiek — nasz wiek!"

*) Sekcja partii demokratycznych.

Dutaet zapomniał, że życie ma jakikolwiek sens — a Lewes — mówi o sensie zdobywania. Czego? Pokoju.

To jest kłamstwo, że imperializm amerykański chce zagarnąć świat. Jest takim samym kłamstwem jak to, że woda wypełnia próżnię, a ziemia toczy się wokół słońca.

„Kartele i trusty... — oświadczył kiedyś twórca brytyjskiego trustu chemicznego, Alfred Monk — w istocie swej są tylko zawieszeniem broni w wojnie przemysłowej, i ludzie nie mają zamiaru przekazywać oręża i metod prowadzenia wojny tym, którzy za parę lat znów będą z nimi prowadzić wojnę".

Warto by zbadać rolę kłamstwa w imperialiźmie. Jego funkcja jest niepomiernie wielka. Jest rodzajem totemu — wokół którego rządzący skupiają rządzonych.

A kto rządzi Stanami Zjednoczonymi? Imperia in imperio — jak je nazywa Aleksander Hertz. Monopole i trusty — które są niewidocznymi sprężynami polityki wewnętrznej i zagranicznej. I nieraz stawiają departament stanu wobec faktów dokonanych. Jest rzeczą wiadomą, że liczne republiki Ameryki Południowej — tak zwane republiki bananowe — są po prostu ich własnościami. Rząd Venezueli znajduje się nie tyle w Caracas — ile raczej w pałacu Rockfellerów. A wewnątrz samych Stanów Zjednoczonych umiały sobie zbudować tak mocne fundamenty, że władają niejednym stanem. Tak np. mówi się, że stanem Texas rządzi 20 korporacji przemysłowych.

A jak rządzą? Znów przytoczymy opis Twaina — zdobycie Filipin.

„Odkupiliśmy wyspę od jej pozornego władcy — i okazaliśmy zazdrosny spryt, gdy, udając skrzywdzonych przyjaciół — zagnaliśmy dowierzający nam naród w pułapkę — i przymknęliśmy ją. Sprzedaliśmy człowieka, który był honorowym gościem naszej armii, gdy stracił już dla nas wartość — i zagnaliśmy go w góry. Zagarnęliśmy cały wielki archipelag, jakby terytorium to było rzeczywiście nasze: uspokoiliśmy tysiące mieszkańców wysp i shańbiliśmy ich. Zniszczyliśmy pola tych ludzi, spaliliśmy ich osiedla i pozbawiliśmy dachu nad głową osierocone wdowy i dzieci, wygnaliśmy z ojczyzny i rozbiliśmy serca wielu nieprzydatnych nam patriotów, a pozostałe 10 milionów Filipińczyków ujarzmiliśmy z pomocą „dobrowolnej asymilacji" (tak nazywają dziś muszkiety)..."

A czyż nie aresztowano sen. Taylora dlatego tylko, że odważył się bronić Murzynów?

Pokój! Pokój ludziom dobrej woli! To jest Ameryka, która przynosi światu swój pokój — i plan Marshalla.

Dziś współpraca ze Stanami Zjednoczonymi jest sine qua non polityki krajów kapitalistycznych. Postawiły na kartę — która przynosi przegraną. Ale nie dlatego, że poczuły nagłą miłość do monopoli amerykańskich. Zdają sobie nieraz sprawę z efektów współpracy.

6 kwietnia br. wybitny prawicowy publicysta francuski — Pertinax ogłosił artykuł, w którym całkiem niedwuznacznie mówi, że proniemiecka polityka państw anglosaskich jest największą groźbą dla Republiki Francuskiej. Ale jednak godzi się na nią. Nie protestuje. Wręcz przeciwnie— dowodzi, że Francja stara się jak najwięcej dołożyć do polityki, którą nazywa — frankfurcką.

Dlaczego?

Werner Sombart kończy swego „Bourgeois" charakterystycznym dylematem:

„Co przyniesie przyszłość? Co będzie, gdy kiedyś duch kapitalistyczy straci swą dotychczasową energię — nas to nie interesuje. Być może będzie musiał olbrzym— ślepy już — ciągnąć demokratyczną landarę. A być może będzie to jutrzenka bogów?...

Kto wie?"

Sombart postawił pytanie przed pierwszą wojną światową. Ale w pełni aktualne stało się ono dziś, gdy „olbrzym" ślepnie i gnije.

Jest faktem niezaprzeczalnym, że kapitalizm przeżywa dziś swój najcięższy kryzys. Nie trzyma w uchwycie — jak jeszcze po poprzedniej wojnie — socjalizmu i demokracji — ale wręcz przeciwnie — demokracja i socjalizm coraz ciaśniej zaciskają pierścień w okół imperializmu.

Trudno się zgodzić z finałem caldwellowskiego Dutaeta. Kretynizmem i apatią robotników.

Zakończenie drugiej wojny światowej przyniosło tak wielki wzrost ruchów demokratycznych — a w pierwszym rzędzie robotniczego — że imperializm czuje na sobie coraz wyraźniej ich oddech. Dutaetowie wzrastają w siły i świadomość. W Ameryce i na całym świecie. I coraz mocniej biją w mur kapitalizmu.

A sam stary zmurszały kapitalizm zaplątuje się w tak wielką ilość przeciwieństw, że z coraz większym trudem udaje mu się z nich wyplątać.

W wyniku drugiej wojny światowej wzrosła ogromnie nierównomierność rozwoju krajów kapitalistycznych. Coraz ostrzejszy staje się kontrast sytuacji gospodarczej Stanów Zjednoczonych i pozostałego świata kapitalistycznego. Warto by chociaż przytoczyć dane porównawcze potencjału gospodarczego Stanów Zjednoczonych i Anglii — których dysproporcje przed ostatnią wojną były mniej więcej zrównoważone.

W 1945 r. Stany Zjednoczone produkowały miesięcznie energii elektrycznej w miliardach kw/godzin — 18,5, Anglia — 3,1; wydobywano węgla w Stanach Zjednoczonych w milionach ton 47,5, w Anglii—15,4; stali — 6 milionów ton i 1 milion. Szczególnie charakterystyczne są cyfry porównawcze tonażu floty obydwu państw, w którym Anglia przed wojną miała wyraźną przewagę. Tonaż floty handlowej miał się w 1945 r. jak 3:1 na korzyść Stanów Zjednoczonych, a floty wojennej jak 2:1.

Nie bez przyczyny pisał angielski „Economist" w lutym 1946 r.: „Wzrost amerykańskich sił, które dziś znacznie przerastają angielskie, wykazuje nieunikniony wpływ na polityczne stosunki między obydwoma państwami. Jeśli w przeszłości USA nie dążyły do przywództwa w zachodniej półkuli, i wolały przywództwo to pozostawić w rękach Wielkiej Brytanii — to w zmienionej sytuacji i to położenie uległo zmianie. Stąd wniosek, że Wielka Brytania — by utrzymać harmonię między polityką swoją a USA — musi przyjąć inicjatywę amerykańską w tych wypadkach, w których dawniej bardziej naturalnym było przywództwo Wielkiej Brytanii".

Stany Zjednoczone uzależniają od siebie kraje — które dotąd szczyciły się swoją niepodległością i suwerennością. A w konsekwencji hamują ich rozwój społeczny. Czy tylko?

Kolosalny wzrost potencjału gospodarczego Stanów Zjednoczonych zawiesił nad nimi i nad zależnymi od nich krajami kapitalistycznymi groźbę gwałtownego kryzysu gospodarczego — według przypuszczeń ekonomistów znacznie ostrzejszego od wszelkich poprzednich kryzysów. Mówią o nim nawet ci pisarze burżuazyjni — którzy niechętnie stwierdzają rzeczywisty stan dzisiejszego kapitalizmu.

I jeszcze jedna sprzeczność. Gwałtowny proces koncentracji kapitału w Stanach Zjednoczonych przyczynił się do pauperyzacji szerokich rzesz drobnych posiadaczy — którzy siłą rzeczy stają w antagoniźmie do kapitału monopolistycznego. (Jako dowód można by przytoczyć chociażby wzrost partii Wallace'a — mimo szykan stosowanych przez Wall-Street i Biały Dom).

Czy można dziś jeszcze wątpić, że imperializm, który wyciąga rękę po świat — nie jest wewnętrznie kontuzjowany? I jest już dziś publiczną tajemnicą, że okazuje coraz większy apetyt (na rynki zbytu) tylko dlatego — by wyleczyć swą chorobę—a reszta partnerów wyczekuje amerykańskiej pomocy — by uchronić się przed demokracją.

*

Lord Vansittart w wydanej w 1944 r. książce dokonuje ciekawego stwierdzenia. Otóż — przyznaje — po długich rozmyślaniach doszedł do wniosku, że postęp społeczny ma charakter ruchu rakowatego — toczy się wstecz, a nie naprzód.

Myśl to charakterystyczna dla członka klasy reprezentującej imperializm. Tym charakterystyczniejsza — że nie nowa.

Przed stu laty hasło powrotu do pierwotnych form społecznych głosili utopiści (Fourier), ideologowie drobnomieszczaństwa (Proudhon, Sismondi) albo przedstawiciele klas odchodzących, którzy chcieli ominąć kapitalizm przez powrót do przeszłości. U pierwszych było to wynikiem niedostatecznej analizy kapitalizmu, u ostatnich — pobożnym życzeniem.

Czym jest zaś stwierdzenie Vansittarta? Wydaje się przyznaniem klęski kapitalizmu. Choroby, która go drąży od wielu dziesięcioleci. I niewątpliwie marzeniem, które umożliwiłoby uniknięcie socjalizmu.

W okresie międzywojennym głoszono „Untergang des Abendlandes" (upadek zachodu), katastrofizm, zanik cywilizacji, powrót do barbarzyństwa. Żaden jednak z katastrofistów i głosicieli nihilizmu nie dostrzegł (— ślepy jest olbrzym!), że to właśnie oni jako współuczestnicy imperializmu żyją pod naporem rozkładającego się ustroju — i sami, niejednokrotnie własnymi rękoma kopać będą grób dla wychwalanej przez siebie kultury i cywilizacji. Zapatrzeni zaś w rozkładający się imperializm — nie widzą nowej tworzącej się kultury.

Czyż to nie paradoks: Bernanos, katolik, w pisanych na emigracji książkach szerzy katastrofizm a Fucik w „Reportażu spod szubienicy" — mówi o miłości życia. Vansittart — członek klas rządzących — głosi pesymizm i regres, a komunista francuski Karol Peguy, na krótko przed rozstrzelaniem przez gestapo pisze: „Porche du Mystére de la deuxième vertu" — pean na cześć postępu przyszłości i nadziei?

(Dalszy ciąg na str 2-ej)

Stanisław Zalewski

O strategii drugiej wojny światowej

Gdyby ktoś jednym słowem chciał scharakteryzować strategię II wojny światowej, słowem tym byłby — „manewr". Manewr bowiem, w jego właściwym szerokim znaczeniu pogrzebany od przeszło stu lat, odrodził się w tej wojnie z tym większą siłą, im potężniejszymi środkami technicznymi dysponowano. Lotnictwo i broń pancerna otworzyły przed sztuką wojenną nowe horyzonty, stworzyły nowe, niepomiernie rozszerzone możliwości. Zniknęły raz na zawsze owe bezpłodne bitwy „równoległe", w których spychano w natarciu czołowym przeciwnika zyskując kilometry bezużytecznego terenu, zniknęły walki pozycyjne I wojny światowej, często bardziej wykrwawiające nacierającego niż obrońcę, w wyniku zaś przynoszące co najwyżej sukces taktyczny. Nie udawało się prawie nigdy przed tym wyjście w wolną przestrzeń operacyjną i rozegranie bitwy niszczącej, bitwy rozstrzygającej losy wojny, brakowało bowiem decydującego czynnika — szybkości.

Szybkość, którą wraz z powszechnym zastosowaniem motoru w armiach walczących rozporządzano w II wojnie światowej, sprawiła, że manewr — i to w gwałtownej formie — stał się znowu możliwy. Posiadając szybkość można było sięgać po wielkie cele — zniszczenie wielkich zgrupowań nieprzyjacielskich, a przez to dążyć do roztrzygającej zmiany stosunku sił i osiągnięcia stopniowo miażdżącej ich przewagi, przesądzającej losy wojny.

Manewr okrążający, realizowany przez wyjście na skrzydła i tyły przeciwnika szybkich jednostek pancernych wspartych potężnym lotnictwem, otoczenie go, rozerwanie na kawałki i całkowite zniszczenie — był typowym manewrem ubiegłej wojny.

Ale myliłby się ten, kto wzorów tego manewru szukałby w pierszym okresie „wojny



Manewr okrążający w półn. Francji sierpień 1944

błyskawicznej" (1.9.1939 — 22.6.1941), w hitlerowskich zwycięstwach w Polsce, Francji czy na Bałkanach. Kampanie te, rozegrane „błyskawicznie", wprawdzie uwieńczone były całkowitym powodzeniem, walczono jednak z przeciwnikiem zupełnie nieprzygotowanym do wojny technicznie i myślowo, w warunkach przygniatającej przewagi sił i środków. Wnioski wyciągnięte z tych kampanii, oparte powierzchownie jedynie na ich wyniku, z natury rzeczy łatwo mogły być błędne. Takie właśnie błędne wnioski wysnuł Hitler.

Kiedy w 1941 r. począł on stosować na wschodzie swe „wypróbowane" na zachodzie metody, metody klinów pancernych prących naprzód nie oglądając się na boki i tyły, w oderwaniu od posuwającej się daleko z tyłu powolnej piechoty, okazało się, że metody te są fałszywe. Co było słuszne w stosunku do przeciwnika słabego, stało się zgubne tam, gdzie przeciwnik był silny, przygotowany do wojny, gdzie operował metodami, wypływającymi z doktryny realnej i naukowo przemyślanej. Ten błąd krwawo okupił napastnik już w 1941 roku w bitwie pod Moskwą i szeregu następnych.

Wzoru manewru okrążającego należy szukać gdzie indziej.

Gdybyśmy, znowu w telegraficznym skrócie, chcieli przedstawić przebieg owego długiego i wstrząsającego dramatu, jakim była czteroletnia kampania na wschodzie, moglibyśmy użyć jako analogii owej słynnej bitwy pod Kannami (216 r. przed Chr.).

Kiedy wódz Rzymian Varron w dniu bitwy ujrzał przed sobą wojska Hannibala gotowe do walki, spostrzegł, że uszykowane są w jakiś dziwny, niespotykany dotychczas sposób. Rzeczywiście — środek oddziałów kartagińskich wygięty był w łuk wybrzuszony w stronę Rzymian. Łuk ten miał być sprężyną — zderzakiem, miał osłabić uderzenie ciężkiej masy legionów rzymskich ustawionych w ogromny prostokąt. Wódz Rzymian nie rozumiał jednak istotnego sensu ugrupowania Hannibala. Kiedy zrozumiał — było już za późno. Zwarty prostokąt legionów rzymskich uderzył w łuk — zderzak, powoli spłaszczył go i zagęścił, następnie począł wyginać go do tyłu. Ale w tym momencie był już ogarnięty od czoła i skrzydeł przez Kartagińczyków, a kiedy kawaleria Hannibala uszykowana na skrzydłach uderzyła na tyły Rzymian, pierścień dokoła nich zamknął się. Rozpoczął się trzeci akt — akt zniszczenia dwukrotnie silniejszego przeciwnika.

Podobnie stało się z armiami Hitlera. Kiedy w 1941 roku parły one na wschód, wyginając zderzak osłonowych armii radzieckich aż pod Moskwę, Hitler wołał dnia 3 października w uniesieniu bliskiego, jak sądził, zwycięstwa: „Ten wróg jest już zdruzgotany i nigdy się nie podniesie". Hitler — podobnie jak Varron — mylił się: to tylko zderzak wygiął się do tyłu. Rozpoczął się akt drugi. W kolejnych operacjach okrążających, począwszy od Stalingradu, na przełomie 1942 i



Operacje okrążające Armii Radzieckiej pod Stalingradem

1943 r., gdzie zginęły całkowicie dwie armie niemieckie marsz. Paulusa, kończąc na Prusach Wschodnich w styczniu i lutym 1945 r. i Berlinie w kwietniu i maju tegoż roku, w nieprzerwanym łańcuchu tych operacji zniszczono całkowicie niemieckie siły zbrojne.

Wzorów operacji okrążających tu właśnie szukać należy.

Strategia radziecka nie była jednak podobna do szaleńczej strategii Hitlera. Działania radzieckie były zawsze metodycznie przez dowództwo radzieckie przemyślane, przygotowane i świetnie przeprowadzone. Broń pancerna stanowiła wydłużone ramię piechoty ściśle z nią współdziałające. Lotnictwo przedłużało działanie czołgów, a artyleria torowała im drogę. To ścisłe współdziałanie wszystkich broni we wszelkich fazach walki jest inną jeszcze istotną cechą strategii radzieckiej.

Ale manewrowi w II wojnie światowej chciano nadać większy jeszcze rozmach; nie wystarczała już szybkość broni pancernej — tyły przeciwnika otoczone od czoła i obu skrzydeł przez oddziały naziemne miało zamknąć lotnictwo. Taki właśnie manewr okrążający „w trzecim wymiarze" przeprowadzili na wielką skalę Anglosasi w sierpniu 1944 r. w północno - zachodniej Francji.

Kiedy armie amerykańskie Bradley'a przełamały w końcu lipca niemiecki front pod Avranches i, początkowo, posuwając się na południe do Loary następnie skręciły na wschód, 7 armia niemiecka w Normandii znalazła się w worku zamkniętym z trzech stron: od północy przez Kanadyjczyków i Anglików, od zachodu i południa przez Amerykanów. Czwarty bok od wschodu był otwarty — zamknąć go miało lotnictwo na linii Sekwany, od Paryża aż do ujścia. Uprzednio już zburzono na Sekwanie mosty stałe.

Manewr ten w skali, jakiej go zamierzał dowódca alianckich sił lądowych gen. Montgomery, nie udał się. Pomimo ogromnych strat Niemcy zdołali się przeprawić przez Sekwanę i uratować znaczną część swej 7 armii. Potężne lotnictwo anglosaskie, wbrew przewidywaniom Montgomery'ego, nie potrafiło szczelnie zamknąć okrążającego pierścienia.

W innej jeszcze formie, również na wielką skale, zastosowano na zachodzie manewr „w trzecim wymiarze".

Kiedy we wrześniu 1944 r. 21 grupa armii pod dowództwem gen. Montgomery'ego minęła Brukselę i doszła do kanału Moza-Escaut, zdecydowano uchwycić na tyłach niemieckich przeprawy przez potrójną przeszkodę rzeczną: Mozę, Waal i Dolny Ren. Działanie to miała przeprowadzić aliancka 1 armia lotniczo - desantowa. Zrzucono jednocześnie: 1 angielską dywizję spadochronową do najbardziej wysuniętego rejonu Arnhem na Dolnym Renie, 82 amerykańską dywizję lotniczo - desantową w rejonie Nijmegen na Waalu i również amerykańską 101 dywizję lotniczo - desantową w rejonie Eindhoven - Grave w pobliżu Mozy; trochę później także polską brygadę spadochronową. Do tych jednostek spadochronowo - desantowych miał przerwać się poprzez niemiecki front 30 korpus angielski, wykorzystać „korytarz" przez nie stworzony, rozszerzyć go, ostatecznie opanować przeprawy i w ten sposób zapewnić sobie łatwe wtargnięcie w głąb Niemiec.

Operacja ta nie udała się. Niemcy rozbili angielską dywizję spadochronową, która przewożona w dwóch rzutach lotniczych, zbyt wolno koncentrowała się w rejonie Arnhem. Straciła ona w jeńcach z górą 6.000 ludzi tj. około połowy swego stanu liczebnego.

Trzeba jednak stwierdzić, że pomimo niepowodzenia tych dwóch działań lotniczych, znaczą one nowe drogi rozwojowe manewru.

* * *

W drugiej wojnie światowej walczą milionowe armie. Nasycenie przestrzeni siłami, tzw. „gęstość operacyjna" jest ogromna, fronty zaś — ciągłe. Żeby więc oskrzydlić, otoczyć i zniszczyć nieprzyjaciela trzeba przede wszystkim przełamać jego front w jednym lub kilku miejscach. Stąd inna typowa operacja — bitwa przełamująca, która poprzedza zwykle manewr okrążający.

Natarcie przełamujące pozycje silnie zazwyczaj umocnione i najeżone środkami ogniowymi jest niezmiernie trudne w warunkach nowoczesnej wojny. Artyleria odgrywa w nim zasadniczą rolę. Po stronie radzieckiej, która doprowadziła metody przełamania do wielkiej doskonałości, powstał nowy, nieznany dotychczas termin — „natarcie artyleryjskie". Nigdy dotychczas artyleria nie działała tak masowo. W natarciu pod Stalingradem ilość dział na głównych kierunkach przełamania sięga 300 na 1 km frontu, tzn. trzy razy więcej niż w największych bitwach pozycyjnych pierwszej wojny światowej. Poza artylerią — czołgi i lotnictwo są potężnymi środkami przełamania. Rola piechoty nie zmieniła się — jest po dawnemu zasadnicza.

Ale nadewszystko po stronie radzieckiej silny nacisk w bitwach przełamujących kładziono na doskonałe współdziałanie wszystkich broni. To współdziałanie jak również pedantyczne przygotowanie i metodyczna praca sztabów planujących natarcie jest nieodzownym warunkiem powodzenia.

Przełamanie planowane jest zawsze z punktu widzenia operacyjnego wyzyskania taktycznego sukcesu. Trzeba więc przełamać obronę na całej głębokości, aby w wyrwę we froncie rzucić szybkie związki pancerne, okrążyć i zniszczyć wielkie zgrupowania nieprzyjaciela.

* * *

Trudno pominąć czynnik ekonomiczny, kiedy się mówi o stategii drugiej wojny światowej. Na skutek niebywałego wzrostu techniki i wielkiego zużycia materiału wojennego, zaopatrzenie frontu musiało opierać się przede wszystkim na bieżącej produkcji. Państwo prowadzące samodzielnie wojnę musi więc posiadać w dostatecznym stopniu rozwinięty przemysł, aby zaspokoić potrzeby frontu. I tu z całą jaskrawością widoczny jest wpływ ustroju politycznego i społecznego państwa na sposoby prowadzenia wojny, wyższość zaś systemu gospodarki socjalistycznej nad systemem kapitalistycznym jest oczywista.

Istota gospodarki socjalistycznej polega na własności społecznej środków produkcji oraz na planowym charakterze gospodarki i organizacyjnej roli państwa w życiu gospodarczym kraju. Państwo może więc racjonalnie wyzyskać wszystkie zasoby dla obrony kraju.

W państwach kapitalistycznych, gdzie środki są własnością prywatną, z natury rzeczy produkcja jest mniej lub więcej bezplanowa z punktu widzenia potrzeb państwowych. W okresie wojny powstają tarcia między interesami poszczególnych przedsiębiorstw i państwem. Konieczna jest interwencja państwa — natrafia ona jednak na różne trudności; w rezultacie — mobilizacja sił ekonomicznych jest spóźniona, a możliwości gospodarcze — niewykorzystane.

Stalin mówi: „Doświadczenia wojny uczą nas, że ustrój radziecki okazał się nie tylko lepszą formą organizacji ekonomicznej i postępu kulturalnego państwa w latach pokojowej rozbudowy, lecz także lepszą formą mobilizacji wszystkich sił narodu do odparcia wroga w czasie wojny".

* * *

Najważniejszym czynnikiem strategii, obok sztuki wojennej, techniki, ekonomiki,



Manewr w „trzecim wymiarze" Flandria, wrzesień 1944

jest — człowiek. Ogromne znaczenie czynnika moralnego na wojnie jest dobrze znane. Wszystkie państwa przygotowujące się do wojny wszelkimi środkami mobilizują siły moralne swych narodów. Różne są jedynie źródła skąd się te siły czerpie.

Morale faszystowskich Niemiec, szykujących agresję, siłą rzeczy trzeba było oprzeć na sztucznych i fałszywych podstawach: teoria rasizmu głosiła ideę rasowej wyższości Niemców i prawo „doskonalszej rasy" do panowania nad innymi narodami; geopolityka zaś, podniesiona do godności państwowej nauki hitlerowskiej, propagowała konieczność zdobycia kosztem innych narodów „przestrzeni życiowej", niezbędnej dla dalszego rozwoju „narodów panów". Hitleryzm wychowywał w duchu śmiertelnej nienawiści do innych narodów — zwłaszcza słowiańskich.

Cóż więc dziwnego, że morale Niemców, oparte na bezprawiu i nienawiści człowieka, załamało się.

Zupełnie inaczej w Związku Radzieckim. Siły moralne wypływają tam z socjalistycznego ustroju, w którym nie istnieją klasy posiadające, a stosunki między ludźmi opierają się na współpracy w ustroju, który harmonijnie łączy dobro jednostki z dobrem społecznym, wychowuje ludzi w zbiorowej pracy i wpaja zasady socjalistycznej etyki. Ten ustrój musiał stworzyć nowy typ żołnierza i nowy typ armii. Ustrój radziecki podniósł człowieka, zahartował moralnie, uszlachetnił i zrodził w nim wyjątkowe siły duchowe. Żołnierz radziecki wiedział o co walczy i rozumiał, że sprawa jego jest słuszna. Jego siły moralne nie tylko nie załamały się w krytycznym okresie wojny, lecz nieustannie rosły. I tym się tłumaczą gigantyczne wysiłki żołnierza i człowieka zaplecza, jakich nie znała dotychczas historia, o których nie sądzono, że są w ogóle możliwe.

* * *

W przeciwieństwie do pierwszej wojny światowej, nowe rewelacyjne wynalazki techniczne pojawiają się dopiero pod koniec drugiej wojny światowej i na jej przebieg nie mają większego wpływu. Posiada się więc zbyt mało doświadczeń bojowych, aby określić jaką rolę mogą odegrać i jak wpłynąć na rozwój strategii. Takimi wynalazkami są przede wszystkim bomba atomowa, pociski kierowane o wielkiej donośności typu V-1 i V-2 i silnik o napędzie odrzutowym zbliżającym szybkość samolotów do szybkości dźwięku. Środki te po wojnie znajduja się w okresie ciągłego rozwoju. Trudno jest przeto ustalić, jaką rolę mogą odegrać w przyszłości.

Należy jednak stwierdzić, że wbrew poglądom niektórych teoretyków wojny Zachodu, wyolbrzymiających znaczenie techniki — człowiek będzie zawsze odgrywał na wojnie decydującą rolę.

Imperializm i pokój

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Cofa się wstecz i gnije tylko imperializm — jego kultura i cywilizacja. A gnijąc — roznosi chaos i rozkład.

Czy to jest pokój, o którym marzyły narody w czasie wojny? Czy można się więc dziwić, że narody buntują się i walczą i nazywają pocztylionów imperialistycznego (bez) ładu zdrajcami?

Ale zwycięstwo przyniosło również prawdziwy pokój i wolność — pomnożyło siły tych, którzy o pokój i wolność walczą.

Kim są? I gdzie? Są wszędzie — na całym świecie. Bo front walki z imperializmem przechodzi przez wszystkie państwa i narody — Europy, Azji, Afryki, Ameryki. Walka toczy się wszędzie. W Polsce — gdy zacieśnia się jedność partii robotniczych i wzrasta szybko produkcja przemysłowa, w Grecji — gdy naród walczy z rodzimym faszyzmem, w Chinach — gdy armia ludowa rozbija wojska Czang Kai Szeka, w Ameryce — gdy robotnicy organizują strajki. Wszędzie.

Walka przybiera różne formy i różny charakter. Ale za przeciwnika ma zawsze — imperializm, za cel — pokój.

Krzysztof Sławiński

LISTY ZE WSI

Jan Marszałek

W „Kraju Warty"



OKUPACJA przeorała głęboko stosunki społeczne na wsi polskiej. Zmiany, jakie ona spowodowała miały zarówno podłoże polityczne, jak i gospodarcze. Nie na wszystkich terenach Polski były one jednak identyczne. Niewątpliwie nieco inaczej przedstawiała się sytuacja na terenach ówczesnej G. G., inaczej na terenach włączonych do Rzeszy jak np. w tzw. „kraju Warty" (Wartheland), a inaczej na takich „praniemieckich" terenach jak Śląsk, czy Pomorze.

To, o czym będę pisał, dotyczy tylko i wyłącznie okręgu nad Wartą (Warthegau).

Generalnym wstępem do mających wkrótce nastąpić masowych wysiedleń chłopskich było zagrabienie dworów, które na przełomie 1939/40 r. całkowicie przeszły pod zarząd niemiecki, a mieszkańcy ich wraz z pierwszymi wysiedleńcami z miast i miasteczek zesłani zostali do utworzonej już wówczas Generalnej Gubernii.

Do czasu pierwszych żniw okupacyjnych, wieś w swojej masie na ogół nie ucierpiała. Poza sporadycznymi wypadkami chłopom poprawiła się sytuacja materialna. Wywołany wojną wzmożony popyt na płody rolne stał się źródłem poważnych dochodów gospodarstw chłopskich, tak małych, jak i dużych. Oczywiście te ostatnie ze zrozumiałych względów były uprzywilejowane. Zasobność spichrza decydowała o większych dochodach. Ale i mniejsze gospodarstwa odczuły natychmiast pomyślną koniunkturę gospodarczą.

Szczególnie pożądanymi klientami byli Żydzi. Nawet ich przesiedlenie do ghetta i odgrodzenie od społeczeństwa polskiego, poparte ostrymi zarządzeniami okupanta zabraniającymi utrzymywania wzajemnych stosunków handlowych — nie zamknęło chłopom dobrego rynku zbytu. Wprost przeciwnie. Ghetta przyśpieszyły jeszcze proces odpływu pieniędzy i towaru z miast do wsi. Żyd bowiem zamknięty w ghetcie płacił cenę nieraz dwukrotnie wyższą. Nie tylko dlatego, że ściśnięta w ghettach masa ludności żydowskiej nie miała dostępu do odpowiedniej ilości produków żywnościowych, lecz i dlatego, że początkowo Żydów stać było na to, by za pewne, a z czasem coraz poważniejsze ryzyko, na jakie ich dostawcy ze wsi byli narażeni, płacić odpowiednio wyższą cenę.

Nie całej wsi jednak dochody te miały pozostać stałym udziałem. Drugi rok bowiem okupacji zaczęli Niemcy masowym wysiedlaniem chłopów.

Na pierwszy ogień poszły gospodarstwa większe. Polityka okupanta była prosta: kontrola gospodarki rolnej przez skolonizowanie wsi polskich elementem niemieckim. I tak jak zagrabienie ziemi dworskiej dało im kontrolę nad produkcją rolną wielkiej własności ziemskiej, tak wysiedlenie co bogatszych gospodarzy i obsadzenie ich gospodarstw pewniejszym, bo niemieckim elementem miało być dalszym krokiem na tej samej drodze.

W stosunkach społecznych wsi wywołało to zasadniczą zmianę. Bogaty, a więc wpływowy dotychczas w swym środowisku gospodarz, jeśli nawet udało mu się ukryć przed wysiedleniem, stawał się właściwie nędzarzem. Skazany na pracę w charakterze służącego, „knechta" (nierzadko w swoim własnym gospodarstwie) u niemieckiego osiedleńca, lub u swego byłego sąsiada Polaka, tracił swą dotychczasową pozycję społeczną.

Natomiast drobne gospodarstwa, które na ogół zachowały swych właścicieli, stały się dla nich źródłem znacznego awansu gospodarczego i społecznego. Nawet 3—4 hektarowy gospodarz właśnie ze względu na koniunkturę gospodarczą miał okazję łatwego wzbogacenia się, a tym samym podniesienia swej pozycji społecznej w ramach społeczności polskiej. Mimo ściągania kontyngentów chłopi pozostali na swych gospodarstwach, zdolni byliby do poczynienia niemałych inwestycji, gdyby nie ucisk polityczny hitlerowców i związana z tym niepewność jutra. Toteż każdy chłop, biedny, czy bogaty, wysiedlony, czy pozostający na własnym gospodarstwie, chciwie nastawiał uszu na wszelkie nowiny, wiadomości polityczne. Brak dobrze zorganizowanej i stałej prasy podziemnej („gazetki" do wsi docierały tylko sporadycznie) i brak odbiorników radiowych — stwarzał doskonałe pole do popisu dla wszelkich „dobrze poinformowanych", najczęściej gości z miasta, którzy idąc na wieś za „szmuglem" opowiadali chłopom nieraz wręcz fantastyczne historie. Hitlera uśmiercano w tych opowiadaniach co pewien czas, każdą wiosnę zaczynano lądowaniem Anglików w Gdyni. Rosja na długo przed agresją niemiecką przekraczała Bug, przed każdą zimą regularnie wybuchała w Niemczech rewolucja i następowała bezwzględna kapitulacja hitlerowców. Fragment przypadkowo zasłyszanych wiadomości stawał się podstawą bardzo szczegółowo opracowanych planów strategicznych, które miały przynieść ostateczną klęskę hitlerowskim Niemcom. Oczywiście z czasem „fantaści" tracili coraz bardziej kredyt moralny u chłopskiego słuchacza, ale nie wydaje mi się, by chłopi nawet w czasie największych prześladowań mieli utracić wiarę w Polskę. Tyle tylko, że oceniając trzeźwo zwodniczość radiowych wiadomości londyńskich odrzucali je na rzecz konkretnych faktów, jakie pod koniec wojny coraz natarczywiej dawały o sobie znać głuchymi detonacjami frontu wschodniego.

Może jeszcze bardziej istotne zmiany w stosunkach społecznych wsi „Warthelandu" wywołała przeprowadzona w trzecim roku przez Niemców komasacja drobnych gospodarstw chłopskich, pozostających w rękach polskich.

Kontrola produkcji rolnej przy tak rozproszkowanych gospodarstwach nastręczała Niemcom bardzo poważne trudności. Najlepszym wyjściem z sytuacji byłoby skomasowanie tych gospodarstw i oddanie ich niemieckim osadnikom. Brak jednak tych ostatnich, jak również konieczność wzmacniania nowymi rocznikami poważnie nadszarpniętych frontów zmuszały Niemców do pozostawienia tych skomasowanych gospodarstw Polakom.

To zaś stało się przyczyną poważnych konfliktów w łonie społeczności wiejskiej. Gospodarz, w którego ręce oddawano zarząd nad całym skomasowanym gospodarstwem, nieraz uważał się za pełnoprawnego właściciela. Jakkolwiek nie było to zjawisko powszechne, to jednak zdarzało się, że tzw. „bauer" zagarnąwszy z ziemią inwentarz żywy swych sąsiadów nieraz mleka dla dzieci nie chciał sprzedać wydziedziczonym. Podobne fakty zdarzały się nie tylko wśród obcych, lecz i w rodzinach. Zadawnione antagonizmy i urazy najczęściej na tle majątkowym (choć społeczne antagonizmy wewnątrz grupy chłopskiej miały swoje znaczenie) stwarzały powody do bardzo brutalnej polityki odwetu. Zadrażnień na tym tle było mnóstwo. Niektóre do dziś nie znalazły jeszcze swego epilogu.

Niewątpliwie obok względów gospodarczych musiało i to leżeć w planach okupanta, bowiem skłóconych łatwiej było utrzymać w ryzach. Divide et impera — było między innymi kardynalną zasadą niemieckiej polityki okupacyjnej.

Temu też chyba przede wszystkim przypisać należy brak na terenach „Warthelandu" aktywnych oddziałów partyzanckich. Jakkolwiek organizacje polityczne i wojskowe istniały, brak było na szerszą skalę zakrojonych dywersji i aktów sabotażu, o jakich dochodziły jedynie słuchy zza granicy G. G.

Oczywiście nasycenie kraju żywiołem niemieckim jak i wysiedlenie najbardziej wartościowego elementu do obozów koncentracyjnych były poważną przeszkodą w organizowaniu partyzantki, niemniej właśnie wewnętrzne skłócenie wsi taką akcję skazywało z góry na niepowodzenie.

Wzajemne żale i pretensje wysiedlonych do „bauerów" i odwrotnie, przedwojenne jeszcze urazy na tle społecznym (biedniaków do bogaczy), sztucznie podsycane przez Niemców faworyzowaniem elementu bardziej lojalnego (Leistungspole) uniemożliwiały zorganizowaną akcję zbrojną przeciw okupantowi na terenach „kraju Warty".

Józef Kapuściński

Żarna



KIEDY Polskę zajęli Niemcy, zagarnęli młyny pod swój zarząd, utworzyli szereg przepisów, które utrudniały mielenie zboża na mąkę. Nie opłaciło się nawet ryzyko przekupienia Niemca, gdyż skonfiskowane zboże zawiezione do młyna stanowiło skarb wielki. Nie można zemleć we młynie, będziemy mełli na żarnach — powiedzieli sobie ludzie. Powyciągali kamienie z kątów, oczyścili cały aparat żarnowy i dalejże mleć, co się dało. Z początku Niemcy nie zwracali na to uwagi, ale kiedy ludzie do młyna coraz mniej przywozili, a mimo utrudnień chleb jedli — zaczęli się interesować żarnami. („Hausmühle")—to jest młynami domowymi. Wydano najpierw karty przemiałowe tym, którzy oddali wyznaczony kontyngent zboża; na mocy tej karty można było zemleć ograniczoną ilość zboża, ale w tak mikroskopijnej ilości, że sami Niemcy rozumieli, że to jest niewystarczające. Znowu przy każdej okazji oglądali się za chlebem na wsi, czy już znikł ze stołu chłopa. Ku swemu zdumieniu spostrzegli, że na wsi nawet ten, co nie wykupił Mehlkarty na chleb — ma chleb. Wtedy wydano surowy zakaz używania żaren we własnych gospodarstwach. Ale co kogo obchodził duży jak płachta afisz na urzędzie gminnym, że nie wolno mleć na żarnach, że za to grozi kara grzywny, zniszczenia żaren, obóz, areszt itd. Ludzie czytali, śmiali się, pokpiwali tak szpetnie, że gdyby Niemcy to słyszeli — to by całą wieś spalili. Dla „świętego spokoju", bo diabeł nie śpi — obracali swoje żarna wieczorami, o świcie, lub w nocy. Wyciągali z ukrycia zboże, mełli na żarnach, mieszali mąkę zbożową z kartoflami, kukurydzanką, piekli chleb, placki i kpili z plakatu Generalnego Gubernatora. Wreszcie i ta sielanka się skończyła. Czy to na skutek podsłuchu patroli nocnych, czy też przymilenia się ukraińskich nacjonalistów, którzy byli na usługach Niemców — zostało wydane zarządzenie o zupełnej konfiskacie żaren, a ściślej mówiąc kamieni górnych.

Rozporządzenie przyszło nagle i w tej samej chwili zostało wykonane. Zaraz po wywieszeniu plakatu przez policję ukraińską występującą w asyście niemieckiej, szła tak zwana komisja od domu do domu, zabierała górne kamienie od żaren i zwoziła do tymczasowego magazynu przy kancelarii wójta. Potem już kiedy miała być cała wieś w ten sposób ogołocona z żaren, miało się odbyć generalne tłuczenie tych kamieni i wyrównanie tym złomem wyboi na drodze.

Z pierwszej części wsi zwieziono kamienie do kancelarii możliwie najlepsze, ale w drugiej już ludzie ochłonęli z przygnębienia i zaczęli myśleć i kombinować — zaczęto wyszukiwać najstarsze kamienie, ukrywać te dobre, a na żarna nakładać te, które leżały pod schodami, na przyźbie, czy też pod podwalinami domu albo stodoły. Kamienie te migiem wycierano z ziemi, posypywano mąką, nakładano na żarna i obojętnie czekano „komisji". Skoro Komisja się zjawiła i orzekła konfiskatę, chłop z pokorą i udanym żalem prosił „świetną komisję" o pozostawienie kamieni, aby kurom zemleć trochę. Z góry był pewny wyniku swej prośby — to też gdy usłyszał z ust Niemca — weg, raus! — zdejmował z głębokim wstchnieniem ów kamień, śmiejąc się w duszy, rad ze swego sprytu a głupoty całej komisji i wynosił na wóz, kładąc go czasem tak lekko, że ów kamień pękał na dwie połowy. Jednak większość chłopów została poszkodowana. Ci wstydzili się sami siebie, a nie chcąc pozostawać w tyle zaczęli się zbijać grupkami i radzić nad tym, w jaki sposób zabrać te swoje dobre kamienie, w zamian za stare, które powyciągali z różnych zakamarków. Prośba nic nie pomoże, wykupno czasem ryzykowne — najlepszy fortel w guście imć Zagłoby. Zwykle w wieczór, w kancelarii gminy było dużo interesantów. Drzwi od magazynu, gdzie leżały „srogie" kamienie, były otwarte. Brał chłop jakiś stary kamień pod płaszcz, przynosił go do kancelarii, jego sąsiad podrzucał upatrzony dobry kamień, składał u nóg, potym szedł przed oblicze samego wójta i żądał jakiegoś wyjaśnienia: czy to z wykazu podatku czy kontyngentu, zależy co było aktualne. Wójt z początku tłumaczył się, lub odmawiał zależnie od humoru, ten nie ustępował, zaczynała się sprzeczka, czy długie sprawdzanie — ludzie byli zajęci dyskusją, a tymczasem sąsiad niby to, że jest mu gorąco zdejmował palto, lub kurtkę, trzymał przed sobą, opuszczał na kamień i sprytnie otulał kamień i wynosił się z izby, wspólnik kończył dyskusję, przepraszał wójta i wychodził. W ciągu kilku wieczorów zniknęło znowu kilka kamieni. Wreszcie po zaprowadzeniu spisu kamieni, wydaniu zaświadczeń, wszystkie kamienie złożono w jednej izbie oczekując dalszych rozkazów.

Jan Marcinek

Moje spotkanie z Adamem Polewką



BYŁO to w drugim roku ostatniej wojny światowej, w pierwszej połowie kwietnia. Dzień był nad wyraz smutny i ponury. Po południu zaczął padać śnieg dużymi płatkami. Drogi były rozmokłe, pełne wybojów i błota.

Wracałem z Sieprawia, gdzie pracowałem w charakterze zastępcy sekretarza gminnego, strudzony i głodny. Żona przyjęła mnie skromnym obiadem, który był zarazem podwieczorkiem i kolacją. Jeszcze nie skończyłem jedzenia, gdy wbiegła do izby córeczka i powiada: — Tatusiu, Adam Polewka przyjechał. W milczeniu położyłem łyżkę i razem z żoną wyszliśmy na spotkanie.

Polewkę znałem z opowiadania żony i trochę z literatury. Przyjechał chłopską furmanką, zaprzężoną w dwie zbiedzone szkapy, wraz z żoną i córeczką — pięknym podlotkiem. Wrażenie moje na widok tych ludzi, zmarzniętych i niedostatecznie ubranych było silne, tym bardziej, że sam byłem biedny.

Po przywitaniu zabraliśmy się do przeniesienia skromnych sprzętów i szczupłego zapasu żywności. Na pytanie Polewki, co będę żądał za mieszkanie, odpowiedziałem, że mieszkanie odstąpię bezpłatnie, lecz poza tym, w niczym mu pomóc nie mogę, bom biedny.

Jeżeli chłopskie stare twierdzenie, że „myśl uczynkiem rzadko się stanie", nie zawsze się iści, to w stosunku do Polewki ziściło się w całej pełni. Wyjeżdżając z Bronowic do Bieńkowic, należących do powiatu myślenickiego, zabrał z sobą drobne narzędzia rzemieślnicze i pewien zapas materiału, albowiem na utrzymanie rodziny miał zarabiać wyrobem zabawek dziecięcych, a jak się później okazało nie zrobił przez cały ten czas ani jednej.

Polewka mimo swego ubóstwa był człowiekiem ambitnym. Pomimo, że tak ja, jako też i moja żona, nie daliśmy poznać po sobie, że jest dla nas zawadą i że żałujemy dochodu, jaki można było osiągnąć za wynajęcie innym ludziom mieszkania, to jednak starał się naszą rzekomą stratę, w inny sposób nagrodzić. Znając się na zdobnictwie ludowym, a przy tym władając wprawnie pędzlem odmalował z dużym poczuciem artyzmu stancję w której mieszkał. I to nie tylko w moim domu, lecz także w domach sąsiednich można kunszt jego pędzla podziwiać, a i w pałacu byłego obszaru dworskiego w Kawącinach też można zobaczyć jego malowanie.

Tymczasem — co charakterystyczne dla czasów okupacji — wzmagała się na wsi potrzeba oświaty. Pierwszym pionierem tajnego nauczania w tutejszej okolicy był nauczyciel z Gorzkowa Zbigniew Szatkowski, wysiedlony z poznańskiego. Ten młody, energiczny człowiek, zapuszczał się także poza granice wioski, w której pracował, a chodząc od domu do domu za marne wynagrodzenie nauczał młodzież, w zakresie szkoły powszechnej, organizował komisje egzaminacyjne, ułatwiając młodzieży złożenie egzaminów. Dzięki jego owocnej pracy złożyło kilku chłopców z okolicy egzaminy z VII kl. szkoły powszechnej, a między tymi Władysław Marcinek i Stanisław Kania z Bieńkowic. To były początki, to był posiew, który miał wydać owoc w niedalekiej przyszłości.

Pęd do oświaty zataczał coraz to szersze kręgi. Miejscowa i okoliczna ludność dowiedziawszy się, że Polewka nie tylko potrafi ładnie malować, lecz także posiada obszerne wiadomości naukowe w różnych kierunkach wiedzy i włada kilkoma językami, zaczęła się do niego zbliżać. Jego wysoka kultura towarzyska i łagodna natura zjednały mu wkrótce szacunek i zaufanie tak, że szybko stał się niezwykle popularny i powszechnie lubiany i to nie tylko przez starszych gospodarzy, lecz także i przez młodzież, która gromadnie garnęła się do niego. Nie długo czekać, a moja chałupa zaroiła się młodzieżą z podręcznikami naukowymi i wkrótce nie było kąta w którym by nie pisano zadań i nie słuchano wykładów. Nauka trwała nie tylko w dnie powszednie od rana aż do późnego wieczora, lecz także w niedziele i święta.

Nie sposób wymieniać po nazwisku wszystkich korzystających z nauki, albowiem uczyli się nie tylko miejscowi, lecz także z odległych okolic, Gorzkowa, Nowej Wsi, Raciborska, Czechówki i Koźnic Wielkich. A że praca Polewki i jego żony była owocna, świadczy fakt, że kilku z jego uczniów i uczennic uczęszcza dziś na Uniwersytet Jagielloński i Akademię Górniczą w Krakowie, wielu zaś młodszych uczęszcza do gimnazjum w Wieliczce i do liceum w Krakowie.

Jeżeli o pracy oświatowej Polewki mówiono półgłosem i z pewną obawą, to o pracy w organizacjach padziemnych i partyzanckich szeptano sobie już na ucho i z jawnym lękiem. Nie wiem napewno, czy działały w tutejszej wiosce oddziały B. Ch. Na podstawie jednak zachowania się Polewki można było wnioskować, że jakieś nici tej organizacji trzyma w swych rękach, bo często był odwiedzany przez obcych, nieznajomych osobników, z którymi odbywał dłuższe lub krótsze narady. Natomiast było wiadomym, że na terenie gminy działała organizacja A. K., do której nastawienie Polewki było wrogie i lekceważące. Uważał, że ta organizacja przynosi wiele szkody dla narodu i miejscowej ludności. Ponieważ z tymi poglądami bynajmniej się nie taił, będąc przy tym gorącym zwolennikiem sojuszu polsko - radzieckiego i niezmordowanym propagatorem sojuszu Polski ze wschodnimi sąsiadami, ściągnął na siebie podejrzenie, że jest zdecydowanym komunistą, wrogiem wiary katolickiej i istniejącego dotąd porządku społecznego.

Miałem wypróbowanego przyjaciela w osobie Michała Pokrywy z Nowej-Wsi. Ten zacny człowiek nie taił przede mną, że jako były podoficer wojska polskiego został wciągnięty do A. K. i że powierzono mu misję śledzenia Polewki, na którego padło podejrzenie, że jest szpiegiem na rzecz Rosji i organizatorem B. Ch. w okolicy. Po dłuższych naradach stanęło na tym, że będziemy wszelkimi możliwymi sposobami bronić Polewkę, któremu zagrażało wielkie niebezpieczeństwo ze strony Niemców, ewentualnie ze strony organizacji Akowskiej. Pomimo, że Pokrywa na moją propozycję chętnie się zgodził — to jednak zobowiązał mnie do wypowiedzenia mieszkania Polewce, by w ten sposób uchronić mnie przed zemstą Niemców, a siebie przed podejrzeniem władz przełożonych, które mu powierzyły tak ważny obowiązek.

Zemsta i okrucieństwa niemieckie były mi dobrze znane. Toteż postanowiłem pozbyć się niebezpiecznego lokatora. Nie śmiałem mu tego otwarcie wyznać, więc postanowiłem udawać obrażonego, nie podając powodu. Moja rzekoma obraza wkrótce zrobiła swoje. W niespełna dwa tygodnie, Polewka przeprowadził się na drugi koniec wioski, gdzie kontynuował dalej swą pracę tajnego nauczania młodzieży i utwierdzania starszych w przekonaniu, że tylko w porozumieniu z Rosją może się Polska utrzymać i zapewnić sobie długotrwały pokój i dobrobyt obywateli.

Z niebezpieczeństwem, jakie mi ze strony Niemców groziło, oswoiłem się wkrótce i zacząłem żałować i wstydzić się przed samym sobą swojego tchórzliwego postępku. To też po upływie roku znalazł się Polewka, a z nim całe grono uczącej się młodzieży z powrotem w mojej chacie.

Widocznie rozumowania Polewki trafiały coraz bardziej do przekonania ogółu, a jego oświatowa robota jednała mu coraz więcej przyjaciół, a ci nie tylko nie myśleli mu szkodzić, lecz byli gotowi ostrzec go przed niebezpieczeństwem i udzielić mu bezpiecznego schronienia.

Nie tylko powyższe czyny jednały Polewce przyjaciół. Władając doskonale językiem niemieckim w piśmie i słowie, prowadził u siebie pokątne biuro pisania podań i porad prawnych. Biuro to przepełnione było zawsze klientelą. Zwłaszcza okoliczni biedacy bardzo często korzystali z jego bezpłatnych usług.

Polewka posiadał umysł bardzo wnikliwy, szybką orientację, a pamięć niezwykle chwytną, przy tym miał wiele sposobności obcowania z ludźmi. To też nic dziwnego, że poznał nawskroś tutejszych ludzi i miejscowe stosunki.

Podówczas w Bieńkowicach był sołtysem niejaki Chlebda, a później Widamski. Tak jeden jak i drugi posługiwali się bardzo często w sprawach urzędowych pomocą Polewki aż wreszcie został on pisarzem gromadzkim. Na tym stanowisku wyświadczył niemało usług miejscowej biedocie np. przy sporządzaniu wykazów na roboty do Niemiec lub przy statystyce produkcji rolnej jako też przy odstawianiu kontyngentu zbożowego i bydła.

Wpływ Polewki na ludność w tutejszej gminie okazał się bardzo dodatni, zwłaszcza przy wyborach sołtysów i radnych gminnych. Pomimo, iż z bogatszymi gospodarzami żył w dobrych stosunkach i często korzystał z ich pomocy, to jednak przy wyborach okazał się prawdziwym przyjacielem małorolnych robotników tak, że ci ostatni odnieśli w wyborach pełne zwycięstwo. **Jan Marcinek**

W OSTATNIM NUMERZE 18—19 (147—148) z dnia 9 maja 1948 r.

Witold Łukaszewicz — Manifest sprzed stu lat; **Roman Kaczmarek** — U narodzin Święta Wolności; **Leonard Sobierajski** — Z takich był Pstrowski; **List Polityczny** — Histeria i optymizm; **Waldemar Kiwilszo** — Polska po pierwszej wojnie; **Wiesław Jażdżyński** — Młodości...; **Henryk Bitner** — Łódź w roku 1905; **Piotr Pigwa** — Notatnik z dawnej Łodzi; **Anna Kamieńska** — List z Łodzi; **Helena Brodowska** — Życie Ireny Kosmowskiej; **Wanda Brzeska** — Opowieść o „Kuczymuni"; **Leon Gomolicki** — Lud, obrońcy ludu i „ludomani"; **Witold Jedlicki** — Tradycje i rzeczywistość; **Effendi Kapijew (tłum. Jerzy Pomianowski)** — Finał; **Stefan Ignar** — Polityka w gminie; **Władysław Blachut** — Posłowie chłopscy przed stu laty; **Maciej Czuła** — Podkrakowskie namówiny; **Seweryn Skulski** — Pierwszy Maja w Ameryce; **Michał Stefanowicz** — Świetlice robotnicze; **Bartosz** — Znacie ich?; **Listy** — Dwie drogi; **Dr J. Lekczyńska** — Propozycje dla pisarzy; Komunikaty; 18 ilustracji; stron 16.

Łukasz Kumor

Początki ruchu ludowego w Królestwie

Przytaczamy fragment z obszernej pracy Łukasza Kumora, poświęconej zagadnieniu kształtowania się ruchu ludowego na terenie Kongresówki. Widzimy z przytoczonego fragmentu, jakie siły społeczne narzuciły się warstwie chłopskiej, by w swojej potrzebie organizowania się nie sięgała ona po wzory, które wypracował socjalistyczny ruch robotniczy. Inteligencja spod znaku Witkiewicza, Popławskiego, Abramowskiego w swojej walce o lud starała się wszelkimi sposobami odciąć go od proletariatu miejskiego, radząc chłopu organizować się na zasadach „bardziej duchowych". Tezy programowe Polskiego Związku Ludowego są jeszcze jedną ilustracją wysiłku zamknięcia wsi w pierwszych latach XX wieku w odrębności stanowej. Program powstającego w Kongresówce Stronnictwa Ludowego inspirowany, jak mówi Kumor, przez Edwarda Abramowskiego jest właściwie jednym z rodowodów ideologii ruchu młodo - wiejskiego z lat międzywojennych. Naczelną tezą tego programu było nieustanne tworzenie i rozszerzanie demokracji, stowarzyszeń **„jako społecznej przeciwwagi rządu"**, nawet w sytuacji, gdy rząd ten wyłoni naród w ramach własnej instytucji państwowej. Widzimy, że program ten neguje za Abramowskim samą ideę państwa, pragnąc na drodze rozwijania „kooperatyzmu ludowego we wszelkich postaciach" przeobrazić kraj w „kooperatywną gospodarską republikę".

U podstaw programu Polskiego Związku Ludowego stoi Abramowskiego koncepcja — wolnego, swobodnie działającego człowieka. Jak nie historyczną była ta koncepcja wykazała krytyka Jana Aleksandra Króla w całym szeregu artykułów drukowanych na łamach „Wsi"*).

Do sprawy tej więc teraz wracać nie będziemy. Chcielibyśmy tylko zrócić uwagę na to, że koncepcja ta nie uderzała w system liberalistyczny, ale pragnęła go udoskonalić, wysublimować. Była ona swojego rodzaju szczepionką, którą kapitalizm zaszczepiał ludowi, by znieczulić go na socjalistyczne idee, domagające się bezwzględnej walki dołowych mas społecznych — chłopów i robotników o nowy, niekapitalistyczny porządek społeczny.

Pokazujemy tu Polski Związek Ludowy, jako jedną z mutacji usiłowań zamknięcia ruchu ludowego w stanowości, w izolacji od reszty społeczeństwa. Przypominamy, że czasy kształtowania się programu PZL, to rok 1905 a więc rok nasilenia się ruchu robotniczego. Ta koncepcja o wolnym człowieku, którą wówczas jak kukułcze jajo podrzuca chłopu „idealistycznie myśląca inteligencja", a według której ma on „urzeczywistnić ten idealny wzór życia jaki każdy z nas nosi w sobie" jest koncepcją fatalnie ciążącą nad ruchem ludowym, koncepcją przeszkadzającą chłopu jeszcze w okresie międzywojennym znaleźć wspólny jezyk z robotnikiem, walczącym z siłami, które w jednakowym stopniu wyzyskiwały masy pracujące wsi i miast. Łagodziła ona ostrze walki klasowej, opóźniała jednolity front chłopsko - robotniczy.

Redakcja

*) Patrz „Wieś" Nr 26, 27, 28, 29, 30 — rok 1946.

„POLSKI ZWIĄZEK LUDOWY" była to pierwsza w Królestwie organizacja, zmierzająca do skupienia masy chłopskiej. Stosunkowo szybko wyłania ona zasadnicze założenie programowe i wzrasta liczbowo, zwłaszcza, gdy Narodowa Demokracja w obliczu ruchów rewolucyjnych cofa się z uprzednio propagowanej myśli o zbrojnej walce niepodległościowej, potępia ruch strajkowy.

Wstępują w jej szeregi coraz to nowi ludzie: Jan Dmochowski, Danysz, St. Osiecki, Józef Konic, R. Radziwiłowicz, K. Dulewa, Edward Abramowski. Ten ostatni wnosi do programu Polskiego Związku Ludowego idee kooperatyzmu.

Pod redakcją Stefana Brzezińskiego wychodzi nielegalny organ PZL „Głos Gromadzki". Niebawem jednak (25.12.1905) S. Brzeziński zostaje aresztowany i wywieziony w głąb Rosji, a „Głos Gromadzki", po wydaniu zaledwie kilku numerów, zamknięty. Praca jednak trwa dalej i ujawnia się dopiero w r. 1906, korzystając ze swobód konstytucyjnych. Ukazuje się (21.VI.1906) nowy organ PZL, tygodnik — „Życie Gromadzkie".

W jednym z pierwszych numerów czytamy:

„Życie Gromadzkie" założone nie przez pana takiego lub owego, a założone przez kółko chłopów inteligentnych. Do redakcji tego swego chłopskiego pisma zwracajmy się bracia sercem! Pamiętajcie, że kret widzi tylko w swojej norze, lecz na nas chłopów czas już wielki, żebyśmy wyszli na szersze terytorium, spojrzeli szerzej na świat, bo życie leci naprzód — naprzód idą wypadki, czas już wielki obudzić się ze snu, wstać do pracy, pracy społecznej, pamiętając, jak nas traktują, miatają nami jak pionkami; nikt nas nie uszanuje jak ludzi, jeżeli my sami szanować się nie możemy, a nakazywać szanować siebie możemy, jak będziemy zjednoczeni i silni duchem. A wtenczas się spełnią słowa wieszcza: „Hej ramię do ramienia! Wspólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko. Zestrzelmy myśli w jedno ognisko, i w jedno ognisko duchy"!

I uzasadnia dalej inny autor konieczność zarganizowania się masy chłopskiej w imię obrony wspólnych interesów, konieczność posiadania własnego organu prasowego.

„Dziś się czasy zmieniły, robotnicy po miastach potworzyli związki, łączą się między sobą, poznali, że tylko razem działając mogą swój byt poprawić, panowie różni utworzyli również swoje związki, broniące ich interesów. My tylko jedni do tej pory nie możemy się porozumieć, by również mieć taką siłę w połączeniu ze sobą, nas jeszcze ciągają na wszystkie strony; panowie ku sobie, a my jeszcze musimy żyć po dawnemu, czekając, aż ktoś nam z łaski jaki byt wymyśli i ofiaruje, a skończy się na tym, że każdy wywalczy dla siebie jakąś cząstkę z dobra ogólnego a nam rzuca jakąś ogryzioną kość, która nic naszej doli nie poprawi".

W artykule Z. Nowickiego („Ż.Gr." Nr 5 z dn. 12.7.1906 r.) p. t. „Nowi Ludzie" — czytamy:

„Nowy człowiek, acz w sukmanie i butach chłopskich chadza, a na zagonie swoim ciężko pracuje, przy spotkaniu się z „panem" lub księdzem nie całuje ich pokornie po rękach, nie obłapia za nogi, chociażby wielki interes do nich miał, lecz przywita, jak na człowieka godność swoją szanującego przystało. Ksiądz i „pan" zmartwieni, bo, o zgrozo — „lud się psuje". Gromi go tedy, iż nie potrafi ich uszanować! A od ciemnych sąsiadów kpinki i drwinki się sypią niby z rękawa na jego głowę".

Nowa, niepodległa Polska była jednym z zasadniczych celów konspiracyjnej pracy oświatowej, jaką koła PZL krzewiły. Wizję tej Polski widział chłop i tak rozumował („Ż. Gr." Nr 5 z dn. 21.7.1906 r.).

„Prędzej czy później dojdzie do tego, że będziemy mieli swój polski sejm w Warszawie, do którego posłów wybierać będziemy wszyscy nie przez wyborców, ale od razu sami, sposobem bezpośrednim, żeby nie było przekupstwa przy głosowaniu, aby biedny taki sam miał głos jak bogaty. Na naszym sejmie będziemy radzili, jak chłopi biedni mogą mieć dostęp do gruntów, żeby się nie potrzebowali poniewierać po obcych krajach lub wysługiwać na cudzym. Jak tę sprawę przeprowadzić, żeby krajowi krzywda się nie stała, to nie można przez parę godzin na wiecu uradzić, ale trza długo i głęboko rozmyślać nie jeden dzień i nie jeden tydzień. Trzeba poznać wszystkie sposoby, jakie podają, żeby ludziom ziemi udzielić i wybrać z tych sposób ten, który dla ludu naszego będzie najlepszy".

Poruszenie w masach chłopskich zaniepokoiło i władze zaborcze. Przyglądając się ożywieniu, jakie przez wieś szło, a węsząc niebezpieczeństwo probują przeciwdziałać i chłopskimi rękami hamować na sile wzrastający rozwój życia gromadzkiego.

Donosi o tym w korespondencji do „Życia Gromadzkiego" (Nr 4, z dn. 14.7.1906 r.) Kultys. z pow. Kozienickiego:

„Urzędy gminne dają nakaz sołtysom, ażeby prześcigali i nie dopuszczali do żadnych narad po wsiach...".

Spotkawszy się na ogół z przychylną postawą już uświadomionych i myślących chłopów. Polski Związek Ludowy ogłasza projekt („Ż. Gr." Nr 4, z dn. 14.7.1906 r.) programu, w oparciu, o który zamierza prowadzić dalszą pracę. W programie tym czytamy:

„Stronnictwo Ludowe wobec całości spraw społecznych staje na stanowisku walki o wolnościowe interesy Polski; zaś jako Stronnictwo Ludowe podejmuje obronę interesów ekonomicznych i politycznych włościaństwa polskiego, rozumiejąc pod tym słowem całą ludność żyjącą na roli, zarówno gospodarzy jak i najemników".

Według tego dążenia Stronnictwa rozpadają się na trzy wielkie działy pracy i walki społecznej: polityczne, kulturalne i ekonomiczne.

I. Dążenia polityczne streszczają się w haśle: walka o wolność kraju i o wolność człowieka.

II. Dążenia kulturalne streszczają się w haśle: wytworzyć demokrację stowarzyszeń, jako jedyną gwarancję wszechstronnego i wolnego rozwoju kultury narodu.

Stronnictwo Ludowe, uważając, że kultura narodu nie rozwija się przez reformy, narzucone z góry i przeprowadzone biurokratycznie, że rozwój jej jest ściśle zależny od stopnia umiejętności, jaką posiadają masy ludowe w samodzielnym organizowaniu spraw swoich, że wreszcie jej rozwój naturalny i wszechstronny odbywać się może wtedy tylko, gdy są powołane do życia rozmaite wolne siły i dążności społeczne, stawia sobie za zadanie szerzenie stowarzyszeń we wszelkich dziedzinach społecznych, stowarzyszeń opartych na zasadach demokratyzmu i kooperacji, któreby powołały jak najszersze masy ludowe do pracy twórczej w zakresie swoich interesów zbiorowych. Przede wszystkim więc będzie mieć na widoku organizowanie i szerzenie następujących typów stowarzyszeń:

1) Związki najemników rolnych, mające za zadanie wywalczenie lepszych warunków bytu od pracodawcy za pomocą strajków i wprowadzenie w życie zbiorowego kontraktu najmu.

2) Stowarzyszenie pomocy wzajemnej, mające na celu zabezpieczenie w chorobie i w starości i dążące do posiadania swoich własnych szpitali i ochron wiejskich.

3) Stowarzyszenie wzajemnego kredytu, typu kas Reiffeisena, udzielające włościanom dogodnych pożyczek na potrzeby gospodarskie na zasadzie wzajemnej poręki.

4) Spółki rolne, organizujące wspólne nabywanie przedmiotów gospodarskich i artykułów spożywczych, wspólna sprzedaż produktów rolnictwa i przemysłu wiejskiego, wspólna produkcja w zakresie mleczarstwa, hodowli, sadownictwa itp., a w dalszym swoim rozwoju dążące do organizowania rozmaitych instytucji oświaty ogólnej i fachowej.

III. Dążenia ekonomiczne streszczają się w haśle: jak najwszechstronniejsze zrzeszenie gospodarstw włościańskich w wielkie kooperatywne gospodarstwa; inaczej mówiąc wolny kolektywizm federacyjny, zasadzający się nie na przymusowym wywłaszczeniu i upaństwowieniu ziemi, lecz na dobrowolnym, stopniowym zrzeszeniu się gospodarstw prywatnych w celach zorganizowania wspólnego kupna, sprzedaży, produkcji.

Przetworzenie całego kraju w taką republikę kooperatywną jest zasadniczym celem Stronnictwa Ludowego, do urzeczywistnienia tego celu dążyć ono będzie nie przez reformy biurokratyczne, narzucone z góry, lecz przez samodzielne reformowanie się społeczeństwa metodą kooperatywizmu we wszystkich dziedzinach kultury i gospodarstwa społecznego.

Interwencję państwa w zakresie reform ekonomicznych Stronnictwo Ludowe będzie starać się ograniczyć do następujących tylko aktów prawodawczych:

1. Prawo minimalnego zarobku najemników, oddane pod kontrolę związków zowodowych robotników rolnych.

2. Podatek postępowy od dochodu.

3. Unarodowienie lasów i dróg komunikacji.

4. Zwrot majątków koronnych, poduchownych i innych, skonfiskowanych dawniej, które jako dobra narodowe przechodzą w wieczystą dzierżawę ludowych stowarzyszeń rolniczych i kredytowych, prowadzących administrację i gospodarkę tych dóbr na zasadach kooperacji.

Z nastaniem okresu przedstawicielskich autonomicznych rządów Polski, główna działalność Stronnictwa Ludowego zasadzać się ma z jednej strony na walce parlamentarnej i pozaparlamentarnej o zdemokratyzowanie konstytucji kraju wg. zasadniczych celów politycznych stronnictwa i o zyskanie potrzebnych dla ludu aktów prawodawstwa w zakresie spraw ekonomicznych; z drugiej zaś strony, na nieustannym tworzeniu i rozszerzaniu demokracji stowarzyszeń, jako społecznej przeciwwagi rządu i na rozwijaniu kooperatyzmu ludowego we wszelkich postaciach, mając za główną wytyczną przeobrażenie kraju w kooperatywną gospodarską republikę.

Stronnictwo Ludowe uważa, że idąc po tej drodze jest przedstawicielem historycznych interesów włościańskich, które wobec całego rozwoju kultury ekonomicznej i społecznej, mają dwie główne wytyczne: w polityce jak największy samorząd ekonomiczny rozmaitych grup społecznych, w gospodarstwie zaś krajowym, jak najwszechstronniejsze zrzeszenie się.

W całości tak nakreślonego programu widać potężny wpływ duchowy Edwarda Abramowskiego, według którego przedmiotem życia miały być nie bezduszne dogmaty, wyrozumowane teorie, ale żywy człowiek z jego zmiennymi potrzebami. Według jego rozumowania przymus państwowy nie daje warunków do przebudowy moralności ludzkiej, ani swobodnego rozwoju, aby „mógł się urzeczywistnić ten idealny wzór życia, jaki każdy z nas nosi w sobie".

Stąd ta daleko idąca reforma życia, w której przeważa idea współdziałania gromadnego, samostanowienia o własnym losie. Uzasadniał Abramowski, że wspólny wzór życia narzucony i policyjnie strzeżony, nie może obejmować wszystkich dziedzin indywidualnego czy zbiorowego życia. Urzeczywistnienie ideałów społecznych, które w zarodku normalnej jednostki ludzkiej tkwią, widzi Abramowski w dobrowolnych zrzeszeniach, które skupiają dla zaspokojenia takich lub innych, ale zawsze istniejących wspólnych potrzeb. Dlatego też spółdzielczość, która na każdym odcinku i o każdej porze pozwala tworzyć nowe wartości, miała być jedną z zasadniczych form, w życiu gospodarczym jak samorząd w życiu politycznym.

Carl Johansen

Polska emigracja chłopska w Danii*)

1.

Od fiordu napłynęła mgła i — nabrzmiała deszczem — rozciągnęła się na pola i drogi. Zbliżał się wieczór, mrok łączył się z mgłą, wszystkie kontury zacierały się i zatracały.

Wszystkie dźwięki stały się ciche, dalekie, przytłumione — dawał się tylko uchem złowić oddalony turkot, wolno przybliżający się w ciemności.

Wozy z cukrowymi burakami toczą się w kierunku miasta, do fabryki cukru. Dosięgły głównego traktu i ciągną w stronę portu — karawana, która szczęśliwie przebrnęła prerie i teraz płynie ku cywilizacji? — Nie, podróż jeszcze nie skończona.

Za drzewami — ciemniejsze plamy mgły — czyha dwóch Indian. Dwaj chłopcy podkradli się ku ostatniemu z jadących wozów. Jeden z nich wskakuje szybko na wóz i zrzuca z niego kilka buraków. Zamach udał się.

Stoję i patrzę, jak chłopcy znikają unosząc zdobycz i przypominam sobie czasy mego dzieciństwa na Zachodniej Lollandii, szare dnie zasnute mgłą i siepiącym deszczem. Nad miastem rozciągnęła się siwa mgławica i takie krótkie, ciemne, takie przygnębiające wydały mi się te dni, o których poeta z Nakskov. Olaf Hansen pisze:

„Wicher tu pogania szare dni jesieni
Huczy przez dzień cały... liść się nie zieleni.
Wśród głębin wąwozów szara mgła osiada.
Dni są tutaj krótkie, ciemne...“

Pola leżały czarne rozorane. Drogami ciągnęły załadowane, burakami wozy. Drogi były zdołowane, niebezpieczne, śliskie od liści buraczanych i zmiażdżonych buraków, spadających z wozów po drodze do fabryki. W powietrzu ponad miastem unosiła się mdława słodycz, fabryka wyglądała w nocy jak oświetlony pałac, dniem i nocą szumiały maszyny, jak wielkie, bijące serce.

My — chłopcy — leżeliśmy w rowach, napadaliśmy na wozy cukrowe i rabowaliśmy największe buraki, jakie udało nam się pochwycić.

Z tym obrazem szarzyzny, mgły i deszczu wiąże się jeszcze inny obraz — uroczysty, promienny od barw: lato na Lollandii. Spokojne, ciepłe powietrze otulało łagodnie wyspę, pola buraczane biły w oczy zielenią, gromady ptactwa obsiadły pola — barwne gromady polskich dziewcząt pochylały się nad buraczanymi grzędami.

I oto teraz pochylają się nad zielonym polem Polacy, ludzie, którzy przed 30 — 40 laty przybyli do Danii jako robotnicy sezonowi, aby pracować na duńskich polach buraków cukrowych. Wiele polskich mężczyzn i młodych kobiet przyjeżdżało co roku, aby przez całe lato pracować w wysoko - gatunkowej hodowli buraczanej. Z chwilą nadejścia zimy większość z nich odjeżdżała do swej ojczyzny, aby tam oczekiwać następnego lata, z pieniędzmi zarobionymi na robotach w Danii.

Przyjeżdżali co wiosny — ci wszyscy chłopcy i dziewczęta o dziwacznych imionach: Andrzej, Stanisław, Wojciech, Agnieszka, Katarzyna, o słowiańskich rysach. Mężczyźni nosili długie buty i błyszczące niklowe łańcuszki do zegarków przewieszone przez kamizelkę, dziewczęta — różnokolorowe spódnice i pstre chusteczki na głowach, korale na szyi i różaniec u pasa. Wesołymi gromadkami szły do miasta boso, niosąc w ręku drogocenne trzewiki, które wkładały dopiero przy granicy miasta.

Sklepikarze w miastach i miasteczkach Lollandii nauczyli się mówić po polsku „Dzień dobry“ i „Czego żądasz?“. Wśród Polaków mieli szeroki krąg klienteli, płacącej gotówką, przebierającej towary z wesołymi dowcipami, ze śmiechem, zapotrzebowującej dobrych i mocnych materiałów, mnóstwa drobnostek i taniej biżuterii.

Jakież urocze były te rumiane, zdrowe, silne dziewczęta z długimi warkoczami, szumiącymi spódnicami, barwnymi wstążkami, śmiejące się bielą wspaniałych zębów, nie znających pasty ani szczoteczki, lecz sól i chleb razowy. Rzadko spotykało się twarze ładne, nieraz były one zeszpecone ospą, ale tyle w nich było świeżej, zdrowej kobiecości i dziecięcej radości życia. Widziało się je, gdy szły szosą do pracy, lub wieczorami siadywały przed koszarami, czy na skraju pola i śpiewały pieśni swego kraju. W niedzielę i święta katolickie wędrowały długimi, zakurzonymi traktami na mszę. Wysokie buciki, tęczowe chusteczki, książka do nabożeństwa i różaniec w ręku. Sterczące, mocno wykrochmalone spódnice chwiały się jak kielichy kwiatów i ujawniały pełną swą krasę, gdy dziewczęta ze świeżą i nie znającą hamulców radością brały udział w lokalnych ludowych uroczystościach, kręciły się na karuzeli, lub podczas znanego „święta strzelania do ptaków“ w Nakskov dawały się uwieść centryfugalnej sile „wesołego koła“.

Maribo było centrum życia religijnego polskich robotników rolnych. Mieli tu swój kościół, jeszcze przed zbudowaniem małego drewnianego kościółka w Nakskov. Ale z powodu małej zapłaty i stałego oszczędzania — nie zawsze stać ich było na bilet kolejowy do Maribo. Zanim więc został zbudowany mały kościołek w Nakskov, Polacy często odbywali swoje nabożeństwa przy improwizowanych ołtarzach w dużych magazynach fabryki cukru. Tam klękali wśród oparu kadzideł, mieszającego się ze słodkawym zapachem cukru i czosnku, który unosił się z ich ubrań.

Praca na obcej ziemi nie była łatwa dla tych ludzi, nie posiadających własnej ziemi. Od świtu do wieczora posuwali się pochyleni nad niekończącymi się liniami grząd buraczanych. Odznaczali się pracowitością i gorliwie oszczędzali zarobione pieniądze. Jeśli lollandzki chłop nie oszukał ich, lub jeśli nie natrafili na pozbawionego skrupułów nadzorcę, wielu z nich potrafiło odłożyć sobie nieco pieniędzy. W niedzielne ranki stawali — szczególnie dziewczęta — przed okienkiem urzędów pocztowych z 30 lub 40 koronami, zawsze w brzęczącej srebrnej monecie, którą wyciągały spośród spódnic — i posyłali pieniądze rodzinie w Polsce.

Byli prymitywni w swym życiu, silni w uczuciach, łatwo wybuchający i gwałtowni — ale byli jednocześnie dziecinni i naiwni pod „ojcowstwem katolickiego kościoła“. Noże często mogły być w użyciu w ciemnych barakach, wódka, zazdrość, nieraz kradzieże jajek, czy kury dla urozmaicenia jednostajnych potraw — wprowadzały ich w konflikt z przedstawicielami lollandzkiej Temidy. Te polskie sprawy sądowe często sprawiały trudność starostwom, mowa utrudniała znacznie przesłuchanie, tłumacze — zwykle nadzorcy — nie znali w swej łamanej mowie zwrotów prawniczych, nie zawsze można im było zaufać i oskarżony uważał ich za swoich wrogów. Nadzorca występował w charakterze impresario polskich robotników, zawierał umowy z chłopami duńskimi, często oszukiwał Polaków przy zawieraniu tych umów i płatał im różne figle.

Z dni spędzonych w starostwie pamiętam pewnego Polaka, Wojciecha, który miał jakieś nieporozumienie ze swoim nadzorcą. Dla Wojciecha była to sprawa życia i śmierci. Strzelił więc do nadzorcy, nie trafiając go zresztą, sam jednak został trafiony ręką sprawiedliwości. Gdy go zaaresztowano — znaleziono podczas rewizji osobistej rewolwer i harmonijkę ustną w kieszeni — dwa bieguny jego uczuciowego życia. Tłumacz-nadzorca nie mógł wydobyć z niego ani słowa.

„Inwazja“ Polaków przez wiele lat kładła piętno na życiu miasteczek i wsi lollandzkich, ale z latami traciła swój odrębny charakter. Wiele chłopców i dziewcząt, którzy pozostawali na czas zimy w Danii pobierało się z Duńczykami i dostosowywało się do zwyczajów okolicy. Przykład ich działał na innych Polaków, przybywających na sezonowe roboty.

Ale chociaż polscy robotnicy rolni stykali się, a nieraz przyjaźnili z duńskimi robotnikami i gospodarzami, nigdy między nimi nie doszło do jakiejś silniejszej organizacyjnej współpracy. Był to obcy lud w obcym kraju, który zachowywał wiernie swoje staro - ludowe i religijne zwyczaje, mimo pewnej narodowej aklimatyzacji.

Upłynęło około 40 lat od czasu, gdy wielkie karawany Polaków rozeszły się po krajach Lollandii. Nie były to typy wspaniałych, jurnych władców z obrazów warszawskiego muzeum, ale proletariat tułaczy. A jednak udało im się położyć piętno swoiste na okolicy, która ich gościła. Polskie nazwiska i rysy słowiańskie spotyka się w wielu domach lollandzkich robotników i gospodarzy, w Maribo zostało założone polskie muzeum, a mały drewniany kościołek, zbudowany przez biednych robotników buraczanych, zastąpił murowany kościół, do którego potem dokupiono kilka willi na schroniska i szkołę.

2.

Już nie widzi się w ciepłe dnie letnie barwnych rzesz polskich dziewcząt wśród lollandzkich pól buraczanych, a pod siekącym deszczem jesiennym nie pełzają w ciężkim trudzie schylone postacie wzdłuż zielono-żółtych grząd.

Ale rok po roku, gdy kampania już ukończona i maszyny fabryczne stukają dniem i nocą jak wielkie bijące serce, a mgła stoi nad miastem mdłym zapachem i słodyczą, toczą się z turkotem wozy naładowane burakami, które staną się świecącym, białym cukrem i mocną walutą.

I tak jak dawniej czyhają chłopcy, aby napaść wóz buraczany i skraść największe buraki i na skręcie drogi przed małą zagrodą stoi czarnooka dziewczynka z jedwabną, barwną wstążeczką we włosach i krzyczy za wozami:

„Ci maj en Roue“ (daj mi burak).

Ale woźnica drzemie na swoim ładunku i nie słyszy dziewczynki. Wóz toczy się dalej. A dziewczynka woła:

„Ka dunte gi maj en Roue, dit Kvaj, dìn świnia“. No, oczywiście polska dziewczynka.

„Jak się nazywasz“ — pytam.

„Agnieszka - Katarzyna“.

I Agnieszka siada na skraju rowu czekając na następny wóz. Ma na szyi stary różaniec, a na rączce świecący łańcuszek niklowy, który prawdopodobnie kiedyś tkwił u zegarka na aksamitnej kamizelce jakiegoś z tych polskich robotników, którzy przybyli do obcego kraju, by w nim pozostać i założyć nowe życie.

tłumaczyła **M. Hołyńska**

---

*) Fragment wspomnień o chłopskiej emigracji zarobkowej sprzed 40 laty, pokazuje społeczne konsekwencje liberalnego ustroju Polski — tułaczkę sproletaryzowanych chłopów.

W sytuacji kiedy tragedia chłopów w ustroju liberalnym była już zupełnie wyraźna „ideolodzy“ ruchu ludowego, wypracowali właśnie koncepcję odrębności klasy chłopskiej, jako, jeszcze jednego kontrachenta w wolnej grze interesów społecznych w ustroju liberalno-kapitalistycznym.

Listy polityczne

Dwie jedności

PRZYJACIELU, czy jednomyślna uchwała kongresu połączeniowego Stronnictwa Ludowego z 31 roku o ustanowieniu Zielonych Świąt dniem Święta Ludowego nie rzuca charakterystycznego światła na ruch ludowy przed wojną? Wszak wiadomo było, że **Wyzwolenie**, skłaniało się raczej ku 1 majowi. Są to sprawy odległe i już nieważne, przed kilkoma dniami widziałeś jakie rzesze, jakie kompanie i bataliony chłopów z rozwiniętymi zielonymi sztandarami spływały ze wsi do najbliższych miast i miasteczek, by tam, na ulicach obramowanych czerwienią, połączyć się z robotnikami w jednej manifestacji ludzi pracy.

A jednak musiały działać tam, na kongresie, ukryte siły, z powodu których 1 maj nie stał się wspólnym świętem chłopów i robotników.

Są to sprawy znane i nie będziemy wnikać w te rozbieżności między stronnictwami chłopskimi. Dość przypomnieć o najważniejszej: reformie rolnej. Pamiętasz walkę o nią. Pragnęli jej wszyscy. Ale **Wyzwolenie** wprowadziło do swego programu zasadę o wywłaszczeniu **bez odszkodowania** już w roku 1925, **Stronnictwo Chłopskie** głosiło ją od chwili swego powstania, to jest od stycznia 1926 r., jedynie **Piast** stale i niezmiennie żądał reformy rolnej **z wykupem**. Dopiero w **dwa** lata po połączeniu ruchu ludowego wprowadzono do programu S. L. żądanie wywłaszczenia majątków, ale nie mniej w pierwszym rzędzie tych „za zaległe podatki i długi w bankach państwowych“.

Z okazji Święta Ludowego pisał w 1936 r. Balcerzak, w jednym z najbardziej postępowych pism, wydawanym przez Łódzki Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici“, w **Chłopskim Życiu Gospodarczym**: „Współpraca... z ugrupowaniami takimi, które odpowiadają nam najwięcej ideowo i dążą do podobnych zmian, do zniesienia wyzysku, do zmiany ustroju... lecz nigdy prawicowe, konserwatywne, choćby również demokrację na swych sztandarach wypisywały, Bogiem i katolickością się zasłaniały“... „Z powyższych wywodów wynika, gdzie jest nasze miejsce: na prawicy czy lewicy społecznej“.

Lecz wiemy, ruch ludowy nie zawsze jednomyślnie opowiadał się za lewicą społeczną.

Przyjacielu, to wahanie się chłopów w sprawie najważniejszej, sprawie o której marzył ks. Ściegienny, sprawie wojny chłopów przeciwko wspólnemu wrogowi — obszarnikowi — jest wyrazem oddziaływania na klasę chłopską ideologii burżuazyjno-kapitalistycznej. W jednym z numerów „Wsi“ obliczał Piotr Chmura, ilu to posłów—ziemian zasiadało w sejmie z ramienia poszczególnych stronnictw chłopskich. Artykuły J. A. Króla dawno już zdemaskowały pseudopostępowe, a w istocie konserwatywne i antypostępowe założenia agraryzmu, usiłującego i teraz po wojnie opanować ruch ludowy, usiłującego stawiać jak największe bariery pomiędzy klasą chłopską a robotniczą.

„Te same hasła czy zamierzenia mogą być albo postępowe, albo wsteczne w zależności od tego, na jakim etapie rozwoju społecznego są wysuwane“ — pisze Gomułka - Wiesław. I ustrój kapitalistyczny był skokiem naprzód, w porównaniu z ustrojem feodalnym, ale ten sam ustrój dziś „staje się hamulcem postępu i rozwoju“. Agraryzm przed wojną nie walczył a podtrzymywał ustrój wyzysku. Ugody **Chieno-Piastowskie** nie posuwały naprzód a cofały wstecz sprawę chłopską. Mit o narodowej zgodzie „wszystkich z wszystkimi“, o jedności wsi, w której mieszczą się obok dwór i chałupa chłopska, okazał się szkodliwym i wstecznym mitem.

Powiesz teraz — ale chłopi walczyli. Tak, bunt klasowy, wyrażający się w krwawych strajkach chłopskich do najwyższego napięcia doszedł w protestacyjnej defiladzie 200.000 chłopów przed Rydzem Śmigłym. Gaponowska defilada! — gdy na wsi żyły — jak pisze ówczesny publicysta — miliony „ludzi zbędnych“, kiedy „milion dzieci w wieku szkolnym siedziało w domu, rosła nowa armia analfabetów, a obok tego 15 tysięcy nauczycieli bez pracy“ i równocześnie stały „fabryki, kopalnie zalewa się wodą“, „nadprodukcja w przemyśle i rolnictwie, pół miliona zarejestrowanych ludzi bez pracy“!

Przyjacielu, wiem, na myśli masz wciąż strajki chłopskie krwawo tłumione, na myśli masz ruch oddolny robotników rolnych, folwarcznych, biedoty wiejskiej, tysięcy nieznanych bohaterów! Na myśli masz te miliony, które przed wojną brały udział w świętach ludowych, ofiary mordów policyjnych w Krzeczowicach, Ostrowie Tuligłowskim, Racławicach..., pacyfikacje w środkowej Małopolsce! Wspominasz nazwiska Nocznickiego, Kowalskiego, Baranowskiego, Korzyckiego, nazwiska działaczy Samopomocy Chłopskiej, poprzednio NPCh, wprawdzie rozwiązanej, lecz wciąż działającej! Myślisz o Kongresie S. L. z roku 1937, który nakazał przeprowadzenie chłopskiego strajku generalnego! Myślisz o roli, jaką odegrała **Wola Ludu** podczas ostatniej wojny uniemożliwiając zaprzedanie ruchu ludowego sanacyjnym obszarnikom. Na myśli masz ten oddolny płomień, który rozpalał biedniacką wieś do żaru buntu, do gwałtownych strajków rolnych, do krwawych starć z policją!

Tak, to jest tą jedna tradycja ruchu ludowego, tradycja Ściegiennego i Nocznickiego, do której nawiązujemy obecnie. Przyjacielu, obok tej, postępowej, istniała jednak druga, wsteczna, tradycja kompromisu i pojednania z warstwą kapitalistów i obszarników, podbudowywana i umacniana założeniami „filozofów“ agrarystycznych. I ta druga, kompromisowa, osłabiała rewolucyjne ostrze ruchu ludowego i niweczyła efekty walk biedniackiego i średniego chłopa o sprawiedliwość społeczną.

Przyjacielu, to już przeszłość. Dziś chłopskie marzenie, reforma rolna uchwalona i zrealizowana w 1944 r. jest fundamentem nowego domu „w którym — jak mówił Wiesław — nie będzie już nigdy niewoli chłopskiego bandosa, w którym podniesie się i rozkwitnie gospodarstwo chłopskie“. Ale dopiero dziś, niemal w cztery lata po spełnieniu najśmielszych marzeń chłopskich — reformy oświaty, wojska — dopiero dziś następuje podpisanie deklaracji o współdziałaniu S. L. i P. S. L.

Dopiero dziś po czterech latach walk, po latach rebelii mikołajczykowskiej, która opóźniła proces całkowitego zjednoczenia ruchu ludowego! Ale świadczy ta deklaracja o ostatecznej klęsce mikołajczykowszczyzny, haseł ugody z reakcją społeczną i klęsce tendencji agrarystycznych w ruchu ludowym. Świadczy ona o ostatecznej klęsce tendencji kompromisowych ruchu ludowego z warstwami wstecznymi.

Przyjacielu, to już nowy rozdział w historii naszego ruchu! Po etapie zjednoczenia, nawiązującego do społecznych założeń lewicy ludowej, do **tradycji walki** a nie ugody z obszarnikiem, do wojennej tradycji Woli Ludu, następuje etap ostatecznej likwidacji tendencji liberalnych w ruchu ludowym, etap ostatecznego zwycięstwa nad kapitalizmem na wsi, próbującym odrodzić się, jak wylicza Tepicht, poprzez lichwę sąsiedzką, poprzez splatanie się rozmaitych ogniw spółdzielczości z prywatnym kapitałem spekulacyjnym, przez spekulacyjne pośrednictwo między miastem i wsią, przez wyzysk pracy najemnej. Walka z tymi tendencjami, to dalsze **jednoczenie ruchu ludowego**, dalszy postęp. „Jesteśmy z tymi, co broniąc pokoju, stoją na straży niepodległości narodów, co dążą do wyplenienia ostatnich resztek faszyzmu“ — pisze Antoni Korzycki, generalny sekretarz S. L. i wicepremier Rządu. „Nasz radykalizm nie jest koniunkturalny. S. L. kroczy drogą radykalizmu, drogą postępu społecznego — mówi w innym miejscu Korzycki — nie dlatego, że się chce „przystosować“ do obecnej rzeczywistości politycznej w Polsce. S. L. jest wraz z innymi partiami demokratycznymi **twórcą tej rzeczywistości polskiej**“.

„Trudno dlatego nie widzieć — pisze we „Wsi“ w związku ze Świętem Ludowym w r. 46, Piotr Chmura — że sojusz przedwojenny oparty o braterstwo walki ze wspólnym wrogiem społecznym i wspólne poczucie lewicowego buntu dziś dopiero nabiera pełnej doniosłości. Chodzi tu bowiem o **sojusz w budowaniu** i to budowaniu **cywilizacyjnym** w pierwszym rzędzie, skoro od niego zależy wszystko: los każdego obywatela i los całego narodu“.

Przed zjednoczonym ruchem ludowym, przyjacielu, stoją nowe zadania — odbudowa, planowanie, współzawodnictwo, spółdzielczość, oświata, nowe perspektywy współpracy ze zjednoczonym ruchem robotniczym **w organizowaniu lepszego świata pracy i sprawiedliwości.**

Twój Maciej

Marian Sołtysiak Rys. K. Hierowskiej

Moje wspomnienia

NASZE placówki są wysunięte najbliżej w stronę Daleszyc, około 2 km. Leżymy więc bezpieczni w chłodnym lesie. Zajmujemy faktycznie cały cisowski las leżący między wsiami: Niwki Daleszyckie — Cisów — Ocieseki — Orłowiny — Smyków. Las wysokopienny, bardzo gęste podszycie — las znamy lepiej niż kto inny — każdą ścieżką wyjdziemy z niego — nawet w nocy. Mieszkamy w barakach budowanych z pni jodłowych, gdzie ściany tworzą przeplatane gęsto gałązki jedliny. To nas chroni przed deszczem. Mamy co jeść. Ostatnia grupa wracająca z terenu przywiozła doskonałe zaprowiantowanie. Rzeźnik wyrobił nawet kiełbasy — nie mamy więc na razie potrzeby wychodzić do wsi gdzie nasze pojawienie się wywołuje obok chwilowego radosnego podniecenia, dłużej trwającą obawę przed represjami ze strony Niemców, którzy bezwzględnie spalą wieś i przerzedzą ludność, gdy dowiedzą się, że w pobliżu są partyzanci. Nie wypowiadamy już swej wściekłości przy tym — stępieliśmy zupełnie, zdaje się nam, że tak powinno być, że rzeczywiście nie muszą ścigać nas albo szukać ewentualnie spotkania z nami. Widocznie taki już u nich porządek — partyzanci niech siedzą w lesie , oni będą stosować bandycki terror w stosunku do ludności, wtedy nie znajdziemy u nich koniecznego poparcia, bez którego nie damy sobie rady. A zresztą tak ciężko coś siłą zabierać u ludności.

Od dwóch dni leżymy. Nie robimy żadnych ćwiczeń, wykładów. Broń mamy wyczyszczoną. Odpoczywamy. Czas nam schodzi na praniu bielizny, reperowaniu ubrań, wyłapywaniu „czołgów", których bardzo dużo w słomie, na której śpimy. Poza tym wszyscy mówią. Nasze rozmowy są nieskładne, często



nielogiczne, nikt nie potrafi dłużej prowadzić zaczętego tematu jak do momentu wyrażenia swego uczucia — wtedy opowiadanie urywa się — któryś opowiada o tym jak pojawili się w ciągu dnia we wsi na chwilę po wyjściu stamtąd Niemców. Widok przerażonych ludzi, którzy nie mogli zestawić dwóch światów, tego, który znikł przed chwilą i tworzonego przez nas, wywołał u nich najpierw odruch jak do bicia, a później żalu. Swoje wrażenia skonkretyzował w lapidarnym określeniu, po którym przestał opowiadać.

Podobne wypadki są często. Z Niemcami spotykaliśmy się już parokrotnie i nie zaczepialiśmy ich ponieważ miało to miejsce zawsze we wsi, dokąd oni przyjechali w tym samym celu co i my — po jedzenie. W dodatku zawsze byli to żołnierze.

Mamy rozkaz prowadzić akcje celowe; gdybyśmy zastali ich podczas przeprowadzania aresztowań lub palenia i mordowania ludności wtedy nawet rozkaz nie powstrzymałby nas. Niemców musimy przekonać, że żaden ich bandycki napad na naszą wieś nie ujdzie bezkarnie. Ale spokojnych nie zaczepiamy.

W czasie jednego przemarszu z lasów Bukowej Góry w okolice Niestachowa zatrzymaliśmy się w Mąchocicach dla posiłku. W jednym sklepie dostaliśmy papierosy i kiełbasę, po chleb musieliśmy iść do Mąchocic Dolnych. Dochodząc tu zauważyliśmy we wsi jakieś podniecenie i ruch. Wydało nam się to dziwne bo wieś ta była znana z szczerej współpracy z nami i witała nas zawsze z entuzjazmem. Stojąc w drzwiach sklepu zauważyłem, że świeże ślady opon samochodowych skręcają z drogi na podwórko znajdującego się na wprost drugiego sklepu, i stamtąd nie wychodzą z powrotem. Zapytany sklepowy daje wykrętną odpowiedź. Wyczuwam, że są Niemcy. Zobaczyli nas dochodzących do wsi i schowali się. Jest nas pięciu — ich więcej być nie może. Z odbezpieczonymi Coltami wpadamy z Andrzejem do izby. Działamy szybko by ich zaskoczyć. Jest ich dwóch. Żołnierze. Stoją obaj przy stole i udają, że nie są przerażeni naszym zjawieniem się. Ich strach zdradza drganie grdyki pod brodą i połykanie śliny ze słowami. Uśmiechają się blado. Bez oporu podnoszą ręce do góry. Ich broń wraz z samochodem jest ukryta w stodole. Przyjechali po masło i jaja. Tłumaczą się, że z zaprowiantowaniem u nich coraz gorzej. Podają oddział macierzysty — personalia. Decyduję się puścić ich. Andrzej ma złe błyski w czarnych oczach; wiem, jak mu żal tej okazji.

Tłumaczę im, że jesteśmy wojskiem, że walczymy jako partyzanci ale w miarę możności staramy się przestrzegać zasad rycerskości. Oglądają z zainteresowaniem naszą broń. Nie chcą wierzyć, że Sten to pist. masz. — podziwiają zgrabną sylwetkę Colta. Są wdzięczni — dziecinni, jeden przez drugiego stara się nam przypodobać, przymilić. Tego nie lubimy. Nie przyjmuję ofiarowanej mi paczki niemieckich papierosów.

Rozeszliśmy się w dziwnych warunkach. Trudno mi w tej chwili powiedzieć, czy byłem zadowolony czy nie, z tego załatwienia sprawy. Ale widziałem wdzięczność miejscowej ludności — to mi wystarczyło.

Nieraz trzeba było postępować wbrew własnemu zadowoleniu, wbrew wyrobionej w lesie „partyzanckiej etyce" tylko dlatego by uchronić wieś przed represjami.

Lipiec w tym roku jest wyjątkowo upalny. Nam przyzwyczajonym do chłodu leśnego i wilgoci trudno poruszać się w dzień, bez cienia. Dzień spędzamy zawsze w ukryciu — pracujemy i poruszamy się nocą. Nawet nie jesteśmy opaleni.

Najbliższa od nas wieś Cisów — pięknie rozłożona na pofałdowanym terenie w czworoboku pól, otoczonym lasami. Jedyna droga słabo uczęszczana prowadzi od Daleszyc do Rakowa.

We wsi tej mamy swych ludzi. Donoszą nam to, czego sami nie możemy stworzyć. Jest niedziela. Nasza modlitwa poranna trwała dłużej niż zwykle. Po południu po lesie zaczynają się kręcić dziewczęta. Niby przyszły na maliny, niektóre przypędziły krowy. Wśród chłopców widać podniecenie. Podobno niektórzy umówili się nawet. Trudno opanować ten dziwny pęd. Są już wypoczęci, syci i jest ciepło. A wiem z ich opowiadań, że mają sympatie, nawet narzeczone. W ich zachowaniu się jest dużo niekonsekwencji i desperacji żołnierza frontowego. Sytuację swą, zwłaszcza w rozmowach z dziewczętami, starają się tragizować i odpowiednio zabarwiać, że wyglądają na tym tle jak straceńcy. Dużo w tym prawdy. Nie utrzymujemy stosunków rodzinnych; życie, które zostawiliśmy za sobą nie pociąga nas, w tym odległym świecie czulibyśmy się obco. Brak nam tematu w rozmowie z ludźmi, którzy żyją legalnie w ramach nowego porządku. Czujemy się wyżsi od nich. Mamy dla nich pewnego rodzaju pogardę i współczucie. Rzuciliśmy wszystko na jedną stawkę. Każdy z nas, widziany z pistoletem w ręku, automatycznie odgradzał się od otoczenia, wchodził na drogę, z której już nie ma powrotu. Dojdziemy do celu — lub kula osadzi nas na miejscu. Śmierci nie boimy się. Zbyt często spotykamy się z nią. Pragniemy tylko pięknej śmierci i sławy. Chłopcy — to duże dzieci. Są dobrzy, mają gołębie serca, znają litość obok wyrafinowanego okrucieństwa.

W stosunkach między sobą są opryskliwi i czuli — rzadko kiedy rozmawiają o dawnym życiu — żyją mocno teraźniejszością. Nie znają się z prawdziwych nazwisk ani pochodzenia. Są z różnych środowisk ale przeważają inteligenci. Wiek różny — średnio 20 lat. Jurand nie poszedł do dziewcząt, leży obok mnie. Ten 25-letni chłopak ułaskawiony od śmierci przez kaprys żandarma jest stale ponury. W jego mądrych, zamyślonych oczach widać głębie zdziwienia i jakiś nieopisany stan duszy na granicy silnego wrażenia i obłąkania. Pochodzi z wioski w Górach Świętokrzyskich z rodziny wieśniaczej, w której zawsze była żywa tradycja walk o wolność, zapoczątkowana przez kwaterującego w domu jego dziadka Langiewicza. Z licznej rodziny pozostało ich dwóch braci. W czasie sławnej ekspedycji na wiosnę 1943 roku żandarmi zegnali kilkudziesięciu ludzi, złożyli wszystkich twarzą do ziemi pod płotem w jednym szeregu i powoli strzelali do leżących. Widział jak strzelano w głowę matki, ojca, brata, dwóch sióstr. Czuł śmierć swoją, gdy żandarm załadował świeży magazynek i po tej chwilowej przerwie kierował pistolet w jego głowę. Bał się tylko samej świadomości, że ginie. W tym momencie, któryś z żandarmów podszedł i podniósł go z ziemi, kazał stać z rękoma do góry a sam strzelał dalej do leżących. Wywieziony do więzienia w Końskich został zmuszony do podpisania zobowiązania, że będzie konfidentem na korzyść żandarmerii. Wypuszczony „do pracy" zgłosił się do nas.

Jest okrutny, chwilami tępy i beznadziejny. Trzeba będzie mu dać dużo przeżyć, by zapomniał o tamtych. Prawie wszyscy wiedzą o tej sprawie ale nikt z nim o tym nie mówi.

Z tej samej wsi pochodzą — Bogdan, Dan, Andrzej i Orlicz — zawodowi kaprale.

Roch — przedwojenny kłusownik, człowiek, który niechętnie mówi o swojej przeszłości (ma żonę z którą nie mieszkał), poszedł z karabinem na koziołka. Pod wieczór przyniósł ubitą wiewiórkę.

Wracający po zmianie placówek opowiadają, że na szosach jest duży ruch samochodowy.

— Tak, ale do lasu nie wejdą.

— To my ich poszukajmy.

Wiem, że dwa dni odpoczynku — to dla nas za dużo. Nam trzeba więcej nowych wrażeń, nam trzeba broni i amunicji, której brak pokryjemy tylko ze zdobyczy.

*

Dan z czterema jest od paru dni w Kielcach. Polują na Witka, który właściwie wie o tym polowaniu i dlatego trudno go uchwycić. Mieszka w dzielnicy niemieckiej obok budynku „Gestapo". Konfidenci nasi mają utrudnione ruchy po mieście, ze względu na łapanki.

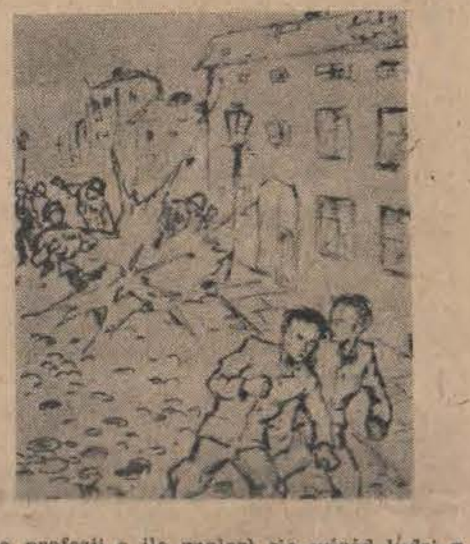
Daremne chodzenie denerwuje ich. Dla rozrywki udają się do Nowego Folwarku pod miastem w „odwiedziny" do osławionego hakatysty. Schwycili go w chwili, gdy zaniepokojony ruchem na podwórzu wyglądał przez okno. Niestety, temu należała się tylko porcja batów na goły pośladek. A Tadek bił po mistrzowsku.

Tego samego dnia zauważył ich patrolujący funkcjonariusz Schupo na ulicy i jako do wyglądających podejrzanie podszedł do nich celem wylegitymowania. Zaszachowany pistoletem został wyprowadzony za miasto i zlikwidowany.

A Witka trudno było złapać. Dreszcz pracy powiększała jeszcze ponura legenda, jaką ten Chorwat stworzył około swej osoby. Z kilkunastu zamachów ani jeden nie udał się. To go jeszcze bardziej rozzuchwaliło. A „dwójka" przysłała w międzyczasie rozkaz zlikwidowania go bez względu na straty w ludziach.

19 lipca przed godziną 11 Dan rozstawił sekcje na przypuszczalnej trasie, którą musiał przechodzić Witek idąc do „Gestapo". Dan jak zwykle spokojny i opanowany usiadł na furmance przy rogu ul. Seminaryjskiej i Śniadeckich, których dużo zjechało do miasta z okazji jarmarku.

Wyglądem nie odbijał od otoczenia. Niski, rudy blondyn, oczy duże, lekko wysadzone na wierzch, twarz okrągła, śmiała. Był spokojny gdy śpiewał piosenki, spokojny był w każdej akcji. Jego prostota w zachowaniu się nie nasuwała nikomu podejrzenia co do



jego profesji o ile znalazł się wśród ludzi z miasta.

Wbrew wszelkim przewidywaniom, Witek nie przechodzi. Natomiast Tadek zauważył go wychodzącego z „Gestapo" i idącego wdół ul. Seminaryjskiej. Zobaczył go z daleka z rogu Słowackiego i pl. Wolności. Opanowało go silne drżenie. Bez względu na sytuację poboczną dobiec go. Co będzie później to głupstwo. Biegiem puszcza się wzdłuż ulicy, przebiega obok zdumionego wartownika przed gimn. Królowej Jadwigi, który nie zdążył strzelić. Biegiem dołącza do niego Heniek. Witek skręcił w Wesołą i wszedł w podwórze Seminarium Duchownego, mając prawdopodobnie zamiar przejść do parku. Pędzą za nim. Jest już za węgłem drwalki. W to miejsce dobiega Tadek i przykładając Stena do ramienia puścił krótką serię. Witek upadł na lewy bok na wskos, lewą ręką wyciągnął Wisa i oddał dwa strzały w kierunku Tadka. Ten puścił drugą serię, która skręciła nogi Witka w konwulsyjnych drgawkach. Witkowi opadła ręka, wysunął się z niej pistolet.

Na odgłos strzałów z okien Seminarium, zamienionego na niemiecki szpital wojskowy zaczęli wychylać się żołnierze. Niezorientowani, zaczęli strzelać do Heńka i do leżącego Witka. Heniek oddał dwa kurtuazyjne strzały do okien i obaj zaczęli wycofywać się tą samą drogą. W bramie trafiają na Dana, który zabezpieczał ich akcję od strony ulicy. We trójkę idą niby spokojnie ale szybko w górę Seminaryjskiej i skręcają w Słowackiego. Tu dopędza ich niemiecki pościg. Z taksówki wyskakują gestapowcy z automatami. Granat ręczny rzucony przez Tadka wyjaśnia sytuację na ich korzyść. Niemcy wieją dając im przez to możliwość wycofania się. Wycofują się podwórkami i ogrodami w stronę Lipowej. Po drodze przy przesadzaniu wyższego muru odpada Heniek, który ze względu na swoją tuszę nie może przesadzić przeszkody. Dochodzi więc do ulicy; usadawiając się w przygodnie napotkanym samochodzie, terroryzuje szofera i każe zawieźć się na melinę. Dan z Tadkiem szczęśliwie wydostają się z miasta i pod wieczór dostają się do obozu.

Są zmęczeni. Wyrażają swoje obawy, co do Heńka, nie wiedząc w tym czasie, co się z nim stało. Tadek kładzie się na wilgotnej ziemi i odpoczywa. Pije dużo wody wbrew zakazowi. Dzika twarz z małymi, wiecznie rozbieganymi oczami i bujną czupryną odrzuconą w nieładzie do tyłu — jest w niej coś z obrazu, który w dzieciństwie wywarł na mnie silne wrażenie. Gdyby Tadek był moim wrogiem bałbym go się bardzo; jako przyjaciel stwarza obok siebie atmosferę pewności i bezpieczeństwa. Byłem z nich dumny, gdy Dan po wejściu w rejon obozu melduje wykonanie zadania. Padliśmy sobie w ramiona. Takie chwile przeżywa się rzadko.

Desanka Maksimowić

ZBURZONY POMNIK MICKIEWICZA

Pomnik poety, co ludy i lądy
Uchodźca w sercu połączył gorącym
I swą ojczyznę daleko rozsławił
Giserniom dano na nieludzkie sprawy.
I cudem wrócił
granatem burzącym.

Z serca, odlane ze słonecznej miedzi,
Sfabrykowane błyszczące pociski:
Na Francję padły, na dżdżystą Słowenię,
Dwóch siwych starców zabiły przy Senie,
Licznych czabanów
w Bałkanie pobliskim.

Malachitową twarz, wyniosłe czoło,
Natchniony uśmiech, schylony nad słowem
W świst bomb przelano, co nad stropem pękał,
I sypki piasek kładł na ludzkich lękach
I Warszawiaków
pobudce bojowej.

Lecz choć go zgnietli w metalowy tłuczeń
I zaprzeczyli, skuwszy w broń, istnienia,
To widać milion Mickiewiczów wstało
I na front poszło i kule mijało —
To żyło słowo
w rodaków sumieniach.

Kraj był do burzy warczącej podobny,
Gołąb nienawiść surową przywołał,
Powolna rzeka syczała jak żmija,
Krew chyba wstała i poszła zabijać,
Dłoń wzięła
miecz Archanioła.

z chorwackiego przełożył
Tadeusz Chróścielewski

Partyzanci

Vladimir Dedijer *Jugosławia*

Żeby ranny kolega nie wpadł w ręce wroga...

Początek walki wyzwoleńczej narodów Jugosławii przypada na pierwsze chwile po wkroczeniu okupanta. Działające z początku grupy dywersyjne przeradzają się z czasem w regularne wojsko rozporządzające już w r. 1943 własną flotą morską i lotnictwem. O sile ruchu partyzanckiego świadczy fakt, że wiązał on stale 35 dyw. niemieckich, kilkadziesiąt włoskich, węgierskich i innych. Po stronie najeźdźcy walczyli otwarci kollaboracjoniści chorwaccy — ustasze Pavelicza oraz leśne oddziały królewskiego rządu emigracyjnego — czetnicy Michajłowicza.

Okupanci przeprowadzili w skali ogólnokrajowej 7 ofensyw mających na celu zduszenie wzrastającego ruchu oporu. Najtrudniejsze zadanie przypadło wojskom partyzanckim w końcu r. 1942, gdy to w czasie IV ofensywy 60.000 partyzantów otoczonych zostało na terenie wyzwolonej Czarnogóry przez 120 tys. Niemców, 35 tys. Włochów, 18 tys. czetników i kilkanaście tys. ustaszów. Po wydarciu się z tego kotła część oddziałów partyzanckich została powtórnie otoczona przy przeprawie na rzece Neretwie pod miastem Konic koło góry Prenji. Powagę sytuacji zwiększał fakt, że w kotle znajdowało się 4 tys. rannych, kilkuset chorych na tyfus plamisty i odmrożonych. Przerwanie okrążenia i ewakuacja rannych z nad Neretwy były najtrudniejszą akcją strategiczną sztabu marsz. Tito.

Podany fragment zaczerpnięty został z popularnych w Jugosławii pamiętników Vladimira Dedijera, partyzanta - pisarza, jednego z pionierów realizmu socjalistycznego.

Piątek, 12 marca.

Przeszliśmy przez Krstac na zbocze Prenji aż do przełęczy Strobiny. Tu spotkaliśmy Starego*) i Marka. Tito siedzi na głazie i czyta jakąś depeszę. Przedstawiliśmy jemu i Markowi, jak się ma rzecz z ewakuacją. Stary mówi:

— Wszystko zrobimy dla uratowania rannych, ale służba zdrowia też musi stanąć na wysokości zadania Na odcinku Prozor — Jablanica ewakuacja mogła być szybsza.

Znajdują się tu Vicko Krstulowić i Ljubisa Urcsević, komendant i z-ca d-cy 9 dyw. Chca oni od Starego, by 9 dyw. przyłączyła się do naszej głównej siły, żeby nie pozostała sama na prawym brzegu Neretwy. Stary:

— Cały obszar Dalmacji zostanie opuszczony.

Ale Dalmatyńczycy chcą iść z nami. Stary spojrzał na Marka, a ten kiwnął głową.

— Przerzućcie więc — i wy swoich 600 rannych przez Neretwę. Niech idą jednostki! — mówi Stary.

Szpital dalmatyński w Zlo-Polju napadli Niemcy i ustasze.

Ci ranni, którzy mogli uciec, rozproszyli się po okolicznych lasach; reszta wpadła w ręce wroga. Dziesięciu zakłuli, sześciu poranili. Dwa nasze bataliony przeprowadziły kontratak i rannych uratowały. Niemcy i ustasze zwiali.

Przygotowaliśmy plany ewakuacji. Przed mrokiem zaczęliśmy pracę. Tabor nie funkcjonował dobrze. Pozostało nam około 170 ciężko rannych i ponad 200 chorych na tyfus plamisty. Miejmy nadzieję, że w ciągu przyszłej nocy uda nam się ewakuacja wszystkich rannych.

Czoło naszej kolumny odrzuca czetników coraz dalej. 2 Brygada Proletariacka i 4 Brygada Czarnogórska przerwały pozycję czetników pod Bijelą. Czetnicy zostali na tym odcinku całkowicie rozbici. We wsi Borcima 2 Brygada Proletariacka wzięła do niewoli dużą liczbę czetników, magazyny, i kilka sztabów. Naszego skrzydła na odcinku Mostor — Nowesinja bronią: 7 Brygada Bańska, 16 Brygada Bańska i 10 Czarnogórska. Te siły otrzymały zadanie przeczołgania się przez najbliższe szczyty Prenji i przerzucenia się na Zimnje, a stamtąd na Novesinja. 7 Brygada otoczyła główny szczyt Prenji, jednak czetnicy przeważającymi siłami przeprowadzili przeciwnatarcie i odrzucili Banijczan. Zginął nam Żica, z-ca oficera politycznego 7 Brygady. W walce o główny szczyt Prenji zginął także Śpanowić, d-ca baonu. Nie możemy się na tym odcinku przebić, więc dwie brygady banijskie pozostają na miejscu celem utrzymania pozycji pod Mostorem i Novesinjem, by nie dopuścić do zaskoczenia nas przez nieprzyjaciela. Hercegowińczycy zaś ruszają w kierunku głównego natarcia, celem obejścia Prenji i uderzenia na Novesinjskie Polje poprzez jar Neretwy.

Sobota, 13 marca.

Jablanica. Jeszcze jedna noc bezsenna. Zdecydowaliśmy się na ewakuację także i w dzień. Bezustannie krwawią nam oddziały broniące rannych.

Na łące leży około 30 zakrwawionych noszy. Mają one połamane uchwyty, do niektórych trzeba przymocować płótno. Drobne, 10-minutowe naprawy. Obok mnie znajduje się ekipa majstrów stolarskich zmobilizowanych przez nas wraz z narzędziami w jednym z miast dalmatyńskich z centralnego szpitala.

— Hej tam koledzy, idźcie szybko naprawić te 30 noszy dla uratowania 30 ciężko rannych z Lugi! Gotowi będziecie za pół godziny.

Nie chce się im iść. Granaty włoskie zasypują cały teren. Jeden z nich mówi:

— Otrzymaliśmy rozkaz udania się odrazu do Krstaca, żeby tam naprawiać nosze. I zaraz idziemy, niech tylko przestanie artyleria.

— Ani jeden nie śmie ruszyć się z miejsca, póki nie naprawicie tych 30 noszy! Chodzi o 30 ludzkich istnień!

Nic nie pomogło, musiałem sam wziąć karabin i doprowadzić ich tak do noszy. Przybiegło też na pomoc kilku szoferów, tak, że za pół godziny wszystkie nosze były już gotowe.

Popołudniu ma nas sześciu w kwaterze odprawę, gdy nagle zaczynają bić włoskie haubice. Pociski padają blisko. Mówię do Veljka, że celują w naszą kwaterę. Po uderzeniu trzeciego pocisku mówi on, byśmy przenieśli się do tunelu. Zaledwie weszliśmy do tunelu, gdy pocisk uderzył w środek dachu kwatery. Piąty zasypał wejście do tunelu i rzucił grad kamieni. W tunelu leżą chorzy na tyfus plamisty. Kilku jęczy a grupa rekonwalescentów śpiewa. Chcieliśmy przejść na drugi koniec tunelu, ale i tam Włoch grzmoci. Jeden pocisk na jedno wejście, drugi na drugie. Jasne, że chcą zablokować tunel. Wtem przybywa kurier 9 dywizji — czetnicy są na lewym brzegu Neretwy, udało się im zająć Gradac — szczyt 157!.

Spoglądamy w tę stronę; są nie więcej niż 1500 m od Lugi, całkiem blisko naszego tunelu. Nieda rady wynieść teraz rannych i chorych. Brak ludzi a artyleria tłucze bez przerwy. Przybyło jej na pomoc lotnictwo. Jesteśmy w ciężkiej sytuacji. Jasne, że nieprzyjaciel wziął sobie za cel zablokowanie nas w tunelu i wzięcie żywcem. Wysyłamy patrol w kierunku na Lugę, żeby nas czetnicy nie zaskoczyli. Nadchodzi wieczór. Rekonwalescenci śpiewają, śpiewają. Artyleria cichnie. Otrzymujemy wiadomość od Jaksića — „16 Brygada z wielką trudnością powstrzymała nieprzyjaciela i odbiła utracone pozycje, straciła jednak ponad 30 ludzi...".

Niedziela, 14 marca.

Jablanica. Wszedłem o świcie do tunelu. Wynoszono ostatnich chorych. Pozostało pięciu. Ale Włosi kopali dla nich grób. Wynędzniali, wyżółkli chłopcy zapadali na tyfus. Znad Neretwy przeniesiony został ostatni ranny — górnik Polovina z czwartego baonu. Strata rannego nie stanowi jedynie utraty żołnierza. Oznaczałoby to utratę i to niepowrotną tego wszystkiego, cośmy zdziałali pod Vakufem, Prozorem, na Neretwie, byłoby to złamaniem naszego przykazania partyzanckiego: bić się do ostatniej kropli krwi, żeby tylko ranny kolega nie wpadł w ręce wroga. Dlatego trzeba jeszcze większego wysiłku.

9 Dalmatyńska przebiła się tej nocy. Ludzie są potwornie zmęczeni. Muszą dziś przetransportować na noszach swych kolegów. Vicko, jego oficer polityczny Jordan, Veljko i ja zeszliśmy w stronę Neretwy do jednego z wąwozów, w którym umieszczony był tabor dywizji po rozpoczęciu się ognia artyleryjskiego. Artyleria biła na tę stronę Neretwy prosto w Jablanicę. Mimo ogromnego zmęczenia roześmiałem się. Gdy tylko uderzył pocisk, z domu wyskakiwali jeńcy — Włosi z prześcieradłami, kurami...

Popołudniu pokazało się 8 „sztukasów". Krążyły nad nami, ale zaraz wzięły kierunek na Krstac, gdzie leży na noszach kilkuset rannych. Potem nadeszła wiadomość, że zginęło 30 ciężko rannych, a dziesięciu doznało obrażeń. Obok szeregu dawnych sanitariuszek wyróżniły się nowe, i to te, których wczoraj jeszcze nie było w partyzantce. W czasie bombardowania wskakiwały do zburzonych domów i odgrzebywały rannych. Nie mało też pomogła lekarka.

Poniedziałek, 15 marca.

Wymarsz, ostatni oddział na prawym brzegu, 3 Brygada Krajińska przechodziła rzekę. Nie było już na Neretwie rannych. Zadanie zostało wykonane. Mogliśmy teraz to miejsce opuścić.

*) Stary — marsz. Tito.



Mikołaj Pirnat

Matka i partyzant

Serg Grussar *Hiszpania*

U komendanta „gerylasów"

Poprowadzili nas ku skale z zaokrąglonym szczytem, u podnóża półokrągły otwór. Schodzimy w dół po dwóch stopniach i znajdujemy się w pomieszczeniu, które robi wrażenie piwnicy. Jedyne oświetlenie stanowi łojowa świeczka uczepiona pod krzemiennym wyciosem. Zapach potu, zjełczałego masła, niedopałków. Na słomie leżą wyciągnięci „gerylasi".

Ujrzeli mnie mimo to nikt nie rzekł ani słowa. Długo nie zapomnę tego nieprzyjemnego milczenia. Wreszcie wstał i podszedł do mnie mężczyzna, nienaturalnie wysoki i odpowiednio do tego zbudowany.

Okulary w szyldkretowej oprawie, jedno szkło pociągnięte czarną farbą.

Zawsze ten sam kostium z brunatnego barchanu w pasy. Na kurcie szeroki pas z ładunkami i olstro rewolweru. Wyciągnął rękę, nie podając nazwiska. Wiedział, że go poznałem. Był to Hafas.

Do owej nocy, kiedy to krótko, przed świtem wpadł do nas zadyszany robotnik w niebieskim kombinezonie i ostrzegł, że „afrykańcy" zorganizowali olbrzymią obławę na terenie całej prowincji i jeden z oddziałów jest już o kilkaset metrów, często dochodziło między nami do rozmów, ale jakie by nie padały słowa były mniej ważne od tego, o czym się nie mówiło. Nieustannie napięte nerwy, zasadzki, konni gwardziści uwijający się po dolinie, kurczący się worek z grochem. Nieustanny, przenikliwy wiatr, nocą mróz. Życie wygnańca w górach wydało mi się nie do zniesienia szczególnie zimą, gdy śnieg głęboki, a po prowiant trzeba iść i kilkadziesiąt kilometrów.

— Hafasie — powiedziałem któregoś dnia. Twoi ludzie wykolejają się przy takim życiu, prawda?

Markes, były student farmacji — wstąpił do partyzantki przed trzema laty, gdy frankiści zamordowali mu brata — odpowiedział:

— Mylisz się, kierujesz się pozorami. Nie jesteśmy bynajmniej tacy przygaszeni. Przywykliśmy. W nas arabska krew.

Hafasa to rozdrażniło.

— Ach ci inteligenci, ze swymi głupkowatymi rozważaniami i subtelnostkami zawsze uszminkują sens tej tragedii. Mam żonę i dwoje dzieci — wykrzyknął — żona w obozie koncentracyjnym, dzieci zabrano na wychowanie do domu falangi. Na wszystkich ścianach portrety Franco i krucyfiksy. Przerobią ich tam na fajnych faszystów. A ty masz czelność mówić, że ja przywykłem. Nie wiem, jaka tam we mnie płynie krew arabska czy chińska. Wiem to, że nie widziałem swoich najbliższych 11 lat.

Mówiliśmy kiedyś o sytuacji bojowej i politycznej.

— Pytasz się czy istnieje jakiś sztab generalny, któryby kierował całokształtem działań „gerylasów"? Chyba kpisz? Posłuchaj mnie, jestem komendantem trzech prowincji. No tak. Rozdzieliliśmy się na drobne grupy, po 10—15 chłopców. Żyjemy w górach, w miejscach trudno dostępnych. Jesteśmy w ustawicznym ruchu. Prześladują nas gorzej wilka i kabana. Są grupy, z którymi całymi tygodniami nie mogę nawiązać kontaktu. W takich warunkach, rozumiesz chyba, nie łatwo planować, a ty mówisz o generalnym sztabie.

Ostatniego wieczoru czekaliśmy na Riosa, zastępcę komendanta. Wyszedł z czterema ludźmi na jakąś niewielką wyprawę. Dawno już powinien wrócić. Niepokoiliśmy się.

Szelest nóg, szepty strażników i wszedł do pieczary Rios. Na jego zeschłej od wiatrów i pooranej cierpieniem twarzy, malowało się coś takiego, że od razu zrozumieliśmy wszystko. Za nim weszło trzech towarzyszy. Z minutę jeszcze patrzyliśmy w kierunku otworu. Jednakże nikt już nie wszedł. Brakowało Michela Basy.

— A Michel? — zapytał lakonicznie Hafas.

Rios zacisnął zęby, pozostali nie rzekłszy ani słowa osunęli się bezwładnie na barłogi. Minuta milczenia. Komendant nie pyta po raz drugi. Wie już wszystko.

Byłem pewny, że tej nocy rozmawiać nie będziemy. Hafas zastąpił jednego z wartowników i krążył z automatem przed jaskinią. Czynił wrażenie drapieżnika obijającego się o kraty klatki. Długo wodziłem za nim oczyma. Chodził szybko, nie czując lodowatego wiatru. Wrócił przed samym świtem. Wielu nie spało tej nocy. Michel był dobrym kolegą.

Hafas podszedł do mnie. Drzemałem zakutany w żołnierski szynel. Było mi zimno.

— Powiedz im tam we Francji — szepnął, ale ten szept był ostrzejszy chyba, niżeli krzyk.

— Co za upodlenie!

Oparł mi rękę na ramieniu i cisnął do bólu.

— Wiesz przecież! Zmotoryzowane karabiny maszynowe, które otaczają nas coraz ciaśniejszym pierścieniem, poruszane są benzyną, sprzedawaną przez rząd Labour Party. Motory z Detroit. Łajdaków, którzy do nas strzelają, opłaca się szterlingami i dolarami, konserwy, które żrą, pochodzą z Chicago.

Zupełnie zrozumiałe. My — antyfrankiści nie odstąpilibyśmy baz lotniczych ani kopalni ołowiu. Nie poparlibyśmy ich w kampanii antyrosyjskiej. Więc niby dla przyzwoitości, że to nam pomagają, zapisują papierki potępiające dyktaturę. Niech sobie obetrą swoimi papierkami swoje...

W migotliwym świetle świecy wydał mi się prawie straszny. Czarne szkło zasłaniające wybite kulą oko, olbrzymie ramiona; zachrypnięty, blaszany głos.

— Myśmy pierwsi zaczęli walkę z faszyzmem, a ostatni żyjemy pod tyranią wspólnika Hitlera. Alianci pomagają temu „wspólnikowi" — alianci sprzedali krew swych umarłych z 39 i 45 roku... 8 maja w 1945 roku szaleliśmy ze szczęścia, dzisiaj zaś...

O świcie z bronią na ramieniu, z workami i węzełkami na przygiętych plecach poszliśmy — 15 ludzi — na południo-wschód ku górom Galicji.

Tłum. Tadeusz Chróścielewski.

Adolf Sowiński

PAMIĘCI TADEUSZA PIETRZYKA

Kula chybiła. Twarzą w twarz
stanąć ze szpiclem, przyjacielu,
to scena zwykła, to los nasz:
ty jesteś jednym spośród wielu.

Że nam nie został nawet grób,
aby nań poszła płakać matka,
więc tylko zemsta — łup za łup —
nad miastem drży jak sępia klatka.

A ty — już anioł naszych gór —
nie kuś nam serc o przemienienie
na senne dobro, lecz nas puść
między demony i płomienie.

T. Łagunowa ZSRR

Klęska

(z powieści „W lasach Smoleńszczyzny")

NADSZEDŁ 1942 rok. Spotykaliśmy go w oddziale uroczyście: Wolna Rosja była blisko. O północy wyszliśmy z ziemianki — usłyszeliśmy z oddali artyleryjską kanonadę.

— Armia Czerwona przesyła nam noworoczne życzenia — powiedział Wasia Ampiłogow.

Poczułam — oto nadchodzi najszczęśliwszy rok mego życia.

3 stycznia 1942 roku udałam się do oddziału Pawłowa po ostatnie wiadomości z Wolnej Rosji. Dowiedziałam się, że na 5 stycznia Szerstobitow przygotowuje akcję na majątek Gonczarów.

— Weź mnie z sobą — prosiłam. Uśmiechnął się.

— Dawno nie wojowałaś, ręka świerzbi? Tak, to będzie ciekawa robota. Pojedzie tylko sześciu, ja siódmy.

Ściemniało się. Weszłam na szosę Stara Russa — Smoleńsk.

Podniosła się zadymka. Zasypało mnie zupełnie śniegiem.

W lesie, między Nowym Dębem i Judiną — spotkałam Rimę.

— Ty gdzie? — Chwyciła mnie przestraszona za rękaw. W Judinie obława! Niemców huk. Nie wychodzą z domów i nie wypuszczają ze wsi nikogo.

Obława w Judinie! A Szerstobitow wybrał się do Judiny poprzetrącać policję. Siedmiu partyzantów zaatakuje siłę wroga. Wstrząsnął mną dreszcz. Prosto przez las zawróciłam do obozu. Trzeba było zrobić 25 km. Biegłam tak szybko, że wiatr świszczał mi w uszach, lecz siły opuszczały mnie coraz bardziej. Zadymka wyła, rzucała mnie w zaspy. Nie, nie zdążę uprzedzić Michała o obławie. A może iść im na spotkanie, na Niży, drogą, którą Szerstobitow powinien iść na akcję?

*

Z Niżów wyjechali, gdy ściemniło się zupełnie. Szerstobitow jak zawsze, sam powoził, Chajredinow i Wasia Ampiłogow siedzieli z tyłu.

Dom Jemielianowa stał na skraju wsi. Gdy Szerstobitow nadjeżdżał, drzwi otworzyły się na chwilę, zabłysło światło, jakby ktoś zapalił zapałkę.

— Stop — krzyknął Michał — niech komisarz się nie wygłupia. Bić wroga, byle celnie!

Zeskoczył z sani, rozkazał:

— Misza, do okna! Z granatami! Ja do drzwi. Sygnał — strzał. — Chajredinow wylazł z sani. Zaszedł od tyłu i podszedł przez śnieg do chałupy. Michał spokojnie kroczył ku drzwiom... W tej chwili wyszłam z lasu. Musiałam przejść przez rzeczkę płynącą tuż koło domu Jemielianowa. Poprzez zadymkę doszedł moich uszu pojedyńczy strzał. Zatrzymałam się. I zaraz zaszczekotała długa seria z karabinu. Narty ześlizgnęły się w dół, do rzeki, upuściłam kij. Serce mi zastygło. Gdzież dojadę na nartach bez kijów. Podpełzłam na kręty brzeg, ugrzęzłam w śniegu, położyłam się, aby uspokoić bicie serca. W tej chwili walka rozgorzała w całej wsi. W końcu udało mi się oderwać narty od stóp, zapadłam się w śnieg po szyję. Wiatr rwał i znosił dźwięk; gruchot karabinów dochodził głucho.

Skoczyłam na krzyk Michała, pobiegłam. Wiatr powalił mnie z nóg i upadłam w śnieg i nie mogłam już się podnieść. — Strzelali po całej wsi bezładnie. Koń stojący z boku szarpnął, stanął dęba i zarżawszy żałośnie, upadł na kolana.

I znów rozległ się głos Szerstobitowa.

—Nie, żywcem mnie nie weźmiecie!

Oparłam się dłońmi o ziemię, usiadłam. Ku upadającemu Szerstobitowowi biegli Niemcy. „Ranny — przemknęło mi przez myśl — wezmą, zamęczą". Lecz w tej chwili zabłysło światło, rozległ się wybuch. — Michał rzucił granaty. Odzyskałam siły, podpełzłam, myśląc: „Wyniosę, wyniosę go, ranny"... Tylko 2 Niemców pozostało na placu nierozerwanych granatami Szerstobitowa. „Wyniosę Michała!". Zastukotały strzały. Schylając się, pełzłam. Lecz oto kula trafiła mnie w lewą skroń. Śnieg zaczął się zapadać, straciłam przytomność.

*

„Życie... pocóż mi ono? — myślałam. Chyba tylko, aby pomścić towarzyszy". Zginęli wszyscy: i Ukraińskij i czterech partyzantów z nim — Wasia Ampiłogow strzelał do ostatniego naboju, dopóki Niemcy nie zakłuli go bagnetami...

Po dwóch miesiącach choroby, w marcu, wzmocniłam się na tyle, że mogłam już chodzić. Lękałam się jednak iść odrazu na mogiłę. Poszłam do rodzinnej wsi.

Szkołę, gdzie uczyłam się sama i gdzie potem uczyłam jako nauczycielka Niemcy zamienili na garaż, świetlicę w warsztat reperacyjny samochodowy, mój dom rodzinny — w sztab, miejsce tortur.

W umówionym miejscu spotkałam się z Miszą Chajredinowem. Resztki naszego oddziału przeszły do Michała Nestorowicza Szulca. Lecz Chajredinow został ze mną, starał się rozerwać mnie. Poszliśmy na mogiły kolegów. Rima towarzyszyła nam. Śnieg topniał. Słońce grzało. Pączki brzozowe już nabrzmiały i stały się brązowe. Zapomniałam o wszystkim: że wojna mija, że dzień zwycięstwa bliski. Widziałam tylko dwa wzgórki: duży, wspólny i drugi — wąziutki.

Żółta ziemia zapadła się, w słońcu błyszczały kałuże. Przylgnęłam piersią do ziemi.

Tłum. Anna Kamieńska.

Józef Ozga-Michalski

Rys. K. Hierowski

B A L L A D Y

B U R M I S T R Z O W I E

Berło burmistrza Pińczowa
ciosane w dębowym pniaku
przywieziono wprost z Krakowa
Wisłą na drewnianym statku.
Okręt żaglem załopotał,
trębacz rogiem dawał znak
na bezrybiu i łódź — flota
burmistrz król jak w polu mak.
Szły z nim dziewczęta w wianuszkach
na rozkołysanych nóżkach,
on jak żółta płynął dynia
na dziewczęcych ócz głębinach.
Posuwano się ku rzece
przy srebrzystym w ustach flecie.
Komu się nie podobało



siedział w domu, lub stał w rynku
byli tacy, co drzemali
zażywając odpoczynku.
Nie wiadomo ile lat
ile nocy, ile dni
przewiał w kalendarzu wiatr
kiedy się ten obraz śnił.
Od wieczora aż do rana
muzyka w uliczkach grała
wymuskana, malowana
panna w kółku przyklękała.
W innym miejscu beczki wymię
ssało radnych dwa tuziny
bulgotały jak deszcz w rynnie
ich gardła pełne gęsiny.
Burmistrz wiosłami widelca
i sterami nóg i rąk
unosił się na butelkach
jak na rzece żółty pąk.
Dziewczęta w wianuszkach spały,
ich sny były tak niewinne,
że z nich chmurki ulatały
nad ranem lekkie i zwinne.
Potem były starsze, stare
nie do tańca za lat parę,
nie do słychu za lat dwieście
nikt nie wiedział o nich w mieście.

Któżby je próbował znać
i pić z nimi, śpiewać, grać,
lub w muzyce je unosić,
całować, do tańca prosić.
— — — — — — — —
Dzisiaj przybył w miasto poseł,
do Pińczowa pierwszy raz.
Rozejrzał się, stanął w rynku,
wyżej rzeki, niżej gór,
przy pomniku, przy kominku,
w którym szumi miasta chór.
Jakże pozna on burmistrza,
gdzie odszuka drogomistrza,
jacy tutaj aptekarze,
i kto drogę mu pokaże?
Popuścił na brzuchu pas
i to nieco mu ulżyło,
kto jest w mieście pierwszy raz
ten ma kłopot z parcia siłą.
Spojrzał na łąki kwitnące,
po których kiedyś biegały
dziewczęta zwinne i rącze,
co się w proch już rozsypały.
Ruszył naprzód jak człek żywy,
który zna prawa przyrody
nagi nie wchodzi w pokrzywy,
i nie płynie pod prąd wody.
Szuka, wietrzy w tym miasteczku
przy kościółku, w ogródeczku,
w bramach domów, i na stacji
jakiejś skromnej ubikacji.
Do łąk dalej chociaż niżej,
do gór bliżej ale wyżej.
Chodzi, kręci się jak zając,
gdy ogary go ścigają.
Nie ma miejsca, nie ma skrycia,
bodaj w gaju, bodaj w życie.
Aż się przed nim wraz odkrywa
magistratu szyld, podwórze,
malowana jako żywa
stoi z drzewa tuż przy murze.
Stanął blisko, wzrok wybystrza
i postrzega taki napis:
„Ubikacja magistratu
kluczyk od niej u burmistrza".
A na drugich drzwiczkach bocznych
takie słowa napotyka:
„Ubikacja miejskiej poczty,
kluczyk jest u naczelnika".
Poseł wtargnął do burmistrza.
— Jakie sprawy, skąd pan jest —
pyta posła biuralista,
który miał na imię Grześ.
Burmistrz marszczy gniewnie brew:
— kluczyk jest dla urzędników,
ma pan sprawę — albo nie,
nie przyjmuję takich bzików,
którzy bez burmistrza miasta
załatwić się wprost nie mogą,
to nie czasy króla Piasta,
nowe czasy, nowe drogi!
Dawniej inni burmistrzowie,
pląsy, tańce, — pijatyka,

chodzili ludzie na głowie,
nie myśleli o kluczykach.
Przyjeżdżali różni goście
na łodziach Wisłą i Nidą,
ryby jedli w wielkim poście,
zakrapiali okowitą.
— Ja też panie posłem jestem,
któremu się przydarzyło
wylądować w waszym mieście
nieszczęśliwie i niemiło...
Burmistrz wystrzelił jak raca
i wyskoczył łokieć wgórę
honor daje i cześć zwraca,
nadyma swoją figurę.
Kręci korbkę telefonu,



i starostwo zawiadamia
Grześ zaprzęga cztery konie,
żeby odwieźć mociumpana.
Na koniec z właściwą gracją,
przejęty godnością posła
mówi — czeka z ubikacją
na was panie sam starosta.
Targnął posłem tęgi śmiech,
aż mu pękł na brzuchu miech.
Wylądował, — strach, niemiło,
impetycznie z wielką siłą.
Gdyby chociaż nie w tym mieście,
albo choć nie na tym krześle.
A tu w takim kraju złud,
gdzie na cudzie siedzi cud,
gdzie na łąkach kiedyś w maju
chodził burmistrz przy ruczaju
i jak żółta płynął dynia
na dziewczęcych ócz głębinach,
albo wiosłami widelca
i sterami nóg i rąk
unosił się na butelkach
jak na rzece żółty pąk.
Gdyby chociaż nie w tym kraju,
gdzie o każdym wydarzeniu
wróble na dachu ćwierkają
wstecz od kilku pokoleni.

M I S T R Z L E J W O D A

Na listki bzu
spadł miód
wraz z pierwszą
ranną rosą
lizały go szkolne dzieci,
gdy biegły do szkoły boso.
Pytały mistrza Lejwodę
dlaczego pada miód
na liście, nie na wodę
piłyby wtedy w bród!
Piłyby szklaneczkami,
albo konwiami wprost,
polnymi konikami
woziłyby pszczołom wosk.
A tak! A tak!
Mistrz im Lejwoda rzekł:
jadłoby się z miodem mak
piłoby się z nieba deszcz.
Obudził się z zamyślenia,
otworzył jedno oko
i wyrzekł: Jak też człowiek
śpi w sobie sam głęboko.
A właśnie pędził samolot
prusząc za sobą pył,
zadzierał w górę ogon,
jak koń, gdy w polu rży.
Jaki jest piękny świat!
Dzieci pobiegły dalej,
zrywały na łąkach kwiat,
śmiały się i śpiewały.
A mistrz Lejwoda stanął.
Uniwersytet Ludowy spał,
był on tu jego kapłanem,
nucił, mówił i grał.
Pewnego razu z rana,
a było to w Wielki Piątek
zaatakował plebana
i katolicki obrządek.

Jeszcze nie wzeszły kaczeńce,
lemiesz nie krajał roli,
chłopiec ustami — panience
przychylał kotki topoli.

Lejwoda postanowił, namyślił się, obliczył
z całej wsi, wszystkich świętych
zebrać w ludowej świetlicy.
Bójcie się diabły, iwany,
kryjcie się święci w kącie
świnie, indyki, barany,
będziecie jeść w Wielki Piątek.
Jak walczyć z czarnoksięstwem,
i z zabobonem na świecie
pokaże mistrz Lejwoda
w ludowym uniwersytecie.
Przeszło stu pańskich świętych
rozłożył na podłodze,
wstydliwie uśmiechniętych,
lub zachmurzonych srodze.
Każdemu kładzie na usta
kiełbasę, boczek, słoninę,
— raz w Wielki Piątek tłusty
będziecie jeść wieprzowinę.
Przybliża im do warg
tłusty indyczy antrykot



albo na harfie z psalmem
baranie podaje kopyto.
— cóż by z was byli za święci,
gdybyście nie potrafili
z grzechów się nowych wykręcić,
któreśmy wspólnie zbroili?
Nie chcę pozostać sam,
świat się rozwija, buduje,
wabię was z nieba bram,
drażnię i prowokuję!
Tak walczył mistrz Lejwoda
w noc wielkopostną do rana;
święci zmietli kiełbasę,
rozeszli się po ścianach.
Jeden najbardziej wzburzony
święty Augustyn srogi
zawisł na ścianie kościoła,
podkulił z gniewu nogi.
Inni wracają do chałup,
nad łóżka wieszając się chłopskie,
nie bardzo żałowali
i zasypiali w beztrosce.

Lejwoda w Wielką Niedzielę
przybył z uczniami w kościół
w ołtarzu było wesele,
jajka, kiełbasy i rosół.
Stanął pod ścianą tam,
gdzie rozdął gniew Augustyna
który wypijał dzban,
na Alleluja wina.
Dzieci zaśpiewały chórem
jak łączka, gdy zakwita
tuż za kościelnym murem,
gdy wzbiera pszczół muzyka.
Popatrzył Augustyn na wroga.
Oderwał się od ściany.
I skoczył na Lejwodę,
jak koń czterema nogami.
Wynieśli uczniowie mistrza,
dziewczęta nakryły go chustą.
Na drugi dzień zmartwychwstał.
Na trzeci poszedł w ministry.

Lech Budrecki

Z zagadnień publicystyki

I.

NIEDAWNO uskarżano się na złą prozę, pocieszając się przy tym stwierdzeniem, że mamy dobrą publicystykę. Ba publicystyka... To już coś w rodzaju pół-sztuki, coś niepewnego, nietrwałego w historii. Właśnie nietrwałego!... O trwałość bowiem chodzi tu najwięcej. Balzac został, a o publicystach z jego czasu wie co najwyżej jakiś dłubacz. Może czyta ich nawet, może uważa za wielkich pisarzy. Ale on jest jeden, ale zapas jego upodobań obejmuje także i „martwe pozycje" kultury. „Martwa pozycja" tak nazywano nieraz publicystykę. A gdy odpowiadano, że termin ten nic nie mówi, padały definicje, wyjaśnienia. Homer, Szekspir, Dante to coś znaczy. Tych nazwisk wykuwa się uczeń w każdej średniej szkole. Musi przeczytać choć jedną pieśń „Iliady", choć bryk do „Boskiej Komedii", choć streszczenie „Hamleta". Ta lektura oddziaływa zawsze w jakiś sposób na wychowanków zakładów naukowych.

Młody chłopiec wstępujący na uniwersytet objaśni nas kto to jest Pol, nie będzie wiedział nic o Mochnackim. Tak więc te wszystkie znane dziś jeszcze artykuły, glossy, felietony, zaczepne apologie idą w niepamięć. Świadomość kulturalna inteligenta, czy jak wolicie prościej, zasób jego wiedzy o kulturze nie obejmuje tych wszystkich pozycji, może ważkich dla erudyty, może zajmujących dla niektórych naukowców. W systemie wartości pisanym nazwiskami, potwierdzanym pomnikami, portretami „zasłużonych mężów", publicyści nie mają miejsca. „Ludzie nietwórczy" — tak mówi się o nich najczęściej. Może któryś przejdzie na karty historii literatury, może doczeka się nawet zbiorowego wydania swych dzieł. Nie ma jednak obaw i tak nikt go nie będzie czytał po latach. Wydawnictwo spełni deficytowy, kosztowny obowiązek, spłaci serwitut martwej pozycji literackiej. I to martwej nie dlatego, że nieudolnej, że miernej. Skądże! Pisarz może być uważany za świetnego narratora, doskonałego stylistę, nic mu to nie pomoże. Jest przecież publicystą. Być może szkicowałem tu obraz w barwach przesadnych, nazbyt czarnych, tym niemniej zostaje fakt drugorzędności publicystyki, jej minimalnego znaczenia w systemie wartości. A przecież oddziaływuje ona niezwykle silnie. Człowiek na ulicy zatrzymuje się przy kiosku, kupuje gazetę. Do takich jak on, a jest ich wielu, dociera publicystyka, kształtuje ich, „uczy". 40.000 ludzi czyta co tydzień „Odrodzenie". 40.000 ludzi będzie przyjmowało tezy wykładane tam w artykułach, będzie powtarzało je później.

Publicystyka bowiem wpływa na opinię publiczne w niesłychanym wprost stopniu. Gazety docierają dalej niż książki. W ten sposób wytwarza się paradoksalna sytuacja: „martwa pozycja kultury", popularyzuje ją, rozszerza jej zasięg.

II.

Miałem kiedyś bardzo dobrego kolegę, który choć świetnie znał łacinę, nie znosił mów Cycerona. Twierdził, że nie można ich czytać, że są absolutnie nudne, że dotyczą spraw obchodzących w najlepszym razie badacza dziejów rzymskich. W osądzie swym nie był on odosobniony, nie uważano go za ekscentryka, przeciwnie solidaryzowano się z nim najchętniej. To przykład losu czekającego dzieła wielkich publicystów. Publicystów, dziwicie się? Ach, tak Cyceron był mówcą. Pomyłka to jednak pozorna. Wówczas sprawy publiczne załatwiano na forum i w senacie. Mówca ćwiczony przez retorów wygłaszał długą i ozdobną orację. Później w czasach mieszczańskich, wystarczał dobrze napisany artykuł, zaczepny, trochę kalumniacki, taki właśnie, jakim obalał gabinety Jerzy Clemenceau. Wielka rola mówcy zanikła. Jeszcze w sądzie, w parlamencie, (jeśli chodzi o system demokracji liberalnej), mamy pozostałości świetnych czasów retoryki. Przeszła ona dziś zupełnie wyraźnie na łamy dzienników. Głos z chwilą wynalazku Gutenberga został zastąpiony przez druk, przez petit artykułów. Jeszcze renesansowe broszury noszą na sobie ślady dawnych form oracji. Później ginie to coraz wyraźniej. Pamflety z czasów Oświecenia nie liczą na mówcę, który by je odczytał, są wzorowym pismem ulotnym. Ale to już właściwie nawias, margines poprawnego toku moich uwag.

„Poczytają miesiąc, dwa. Potem i tak nikt do tego nie zajrzy!" powiedział mi kiedyś jeden z młodych poetów wskazując na bardzo popularny niedawno artykuł krytyczny. „Niedaleko posunęli się od dobrych rzymskich czasów. Papier okazał się nie wiele lepszy od pamięci. Kiedyś mowę pamiętało się dzień, dwa, trzy, dziś do artykułu zagląda się tydzień, dwa najwyżej, ale i to już zbytek gorliwości". Powiedziałem mu, że to złośliwość. Tak, to była złośliwość, ale bardzo trafna, bardzo celna. Publicystyka mija, szalenie szybko mija.

III.

„Publicystyka to po prostu popularyzacja", mawiano bardzo często. Może nie tyle popularyzacja, co praktyczne zastosowanie pewnych haseł. Publicystyki nie można oddzielić od nauk humanistycznych. One wyznaczają bowiem jej zasięg, jej problemy. Kiedy Brzozowski w paszkwilanckim ataku likwidował całą współczesną mu powieść polską, miał w swoim zapleczu system filozoficzny, który go krył i bronił. Zawiłą rozprawę z zakresu ontologii przeczyta nie wielu, po pamflet sięgną prawie wszyscy. Odwołując się już do historii śmiało można powiedzieć, że nie da się wyobrazić publicystyki literackiej lat romantyzmu bez niemieckiej, idealistycznej filozofii tych czasów. Profesor wykładający zagadnienia teorio-poznawcze oddziaływa osobiście bardzo słabo. Zamknięta struktura uniwersytetu ogranicza zasięg jego słów do koła najbliższych przyjaciół i uczniów. Coraz wyraźniej się zaznaczające przywiązanie do instytucji, język w zasadzie nieprzystępny, jak każdy język techniczny, elitarny, utworzyły w ustroju kapitalistycznym „zaklęty krąg" wokół intelektualistów, poza który rzadko udawało im się wykroczyć. Przystosowania tezy, dajmy na to „o pędzie życiowym" do wypadków politycznych, społecznych dokonywał w rezultacie pismak. Przeglądając każdy dziennik znajdujemy tam wulgarny wykład koncepcji głoszonych tak niedawno jeszcze z katedr. (Ba, czasem do gazet szybciej dochodzą pogłosy nowych prac niż na uniwersytet!). Później spotkamy się z rozlicznymi przykładami „mądrości ludowej", w której wykryjemy trud naukowca sprzed wielu lat. Ludzie przyjmujący jego hasła nie znają zazwyczaj ich pochodzenia, posługują się nimi jako prawdami najzupełniej oczywistymi. To stale odbywający się proces narastania konwencji. Prawdy narzucane przyjmują się czasem silniej, czasem słabiej, zawsze jednak przyjmują się.

„Opinia publiczna to my" mawiali ongiś twórcy gazeciarstwa ze złotych, balzakowskich czasów. Uśmiechnijmy się dobrodusznie. Nakład ich niewielkich pisemek nie przekraczał 20.000 egzemplarzy. Mimo to „tworzyli opinię", tworzyli „zdrowy rozsądek" czytelnika. W małym, podpisanym kryptonimem zazwyczaj, artykuliku tkwił łatwy do odcyfrowania morał, jakiś popularny wykład etyki. Filozofie faszyzmu w rezultacie mówiły to samo, co niemal każdy „wstępniak" w „Völkischer Beobachter".

Uskarżano się niedawno na hipnozę prasy, pod działaniem której mieliśmy rzekomo stale przebywać. Uskarżano się bardzo słusznie. Wystarczy odczytać cyfry zawiadamiające o nakładach poszczególnych dzienników, by ocenić szeroki zasięg ich wpływów. Krzyk gazeciarza zawiadamiający o wydaniu nadzwyczajnego dodatku porusza przechodniów, idących dotąd spokojnie ulicą. Rozstrzelony druk, tłuste litery są tu chwytem wręcz niezawodnym, nieomylną reklamą.

Mówiono nieraz o ścisłej relatywizacji klasowej kultury, o tym, że w innym kręgu żyje mieszczanin, w innym chłop, że tkwi pomiędzy nimi zupełnie wyraźny przedział. Zastanawiano się nad sposobami przełamania tej linii demarkacyjnej i utworzenia jednej, wspólnej kultury narodowej. Nie chcę tu mówić o słuszności czy też niesłuszności tych rozważań. Niewątpliwie zespół konwencji obowiązującej we wsi powiatu opoczyńskiego jest nieco inny od norm „zdrowego rozsądku" inteligenta. Te sprawy są łatwo uchwytne przy pomocy doświadczenia.

„Express" dochodzi na wieś. „Express" czyta robotnik, urzędnik Zjednoczenia, fryzjer siedzący właśnie na słońcu w drzwiach swojego zakładu. Recenzję teatralną, moralizatorski artykuł przeczytają wszyscy ci ludzie. Jedni żarliwie, drudzy ze znudzeniem, o to mniejsza. Ważne, że przeczytają. Pismo narzuca pewien smak, pewien sposób postępowania, pewne gusta. Czyni to czasem silniej, czasem słabiej. Wszyscy ci jednak ludzie z różnych grup społecznych w swoich zachowaniach, nawykach obyczajowych zaczynają się zbliżać do siebie. Uzyskują mniej więcej wspólny wzorzec. Będzie nim właśnie gazeta. Cóż bowiem czyta się, jeśli nie gazetę? Powieści bankrutują. Jeszcze ma jakie takie powodzenie beletrystyka odcinkowa. Jakiś „Cafe-bar Erica", jakieś „Wróć do mnie, gdy będzie ci źle"... Oczywiście pomiędzy czytelnikiem „Expressu", a czytelnikiem „Rzeczypospolitej" istnieje przedział, ale jest już on dziś mniej znaczny niż przed wojną. Zróżnicowanie społeczne czytelników gazet jest coraz mniejsze. Niedawno śmiało jeszcze można było powiedzieć na jakiej grupie socjalnej opiera się „Czas", na jakiej „IKC". Dziś różnice wskazań etyczno-moralnych w różnych dziennikach stają się coraz rzadsze. Jeszcze inteligencja czyta z tej racji „szanowne", „oficjalne" pisma, jeszcze ją da się wykryć jako głównego odbiorcę „Dziennika Polskiego", ale gazety coraz jawniej nabierają cech pozaklasowych. Ludzie z różnych środowisk czytają przeto te same artykuły, te same felietony.

Może to źle, że mówię tu o pismach codziennych, że tyle miejsca poświęcam znaczeniu „brukowców". Ich rola jednak wydaje mi się dziś szczególnie ważna, choć zupełnie niedoceniona. „Prawda ludu", mądrość prostego człowieka, zależą przecież od felietonisty, od dziennikarza, od tych ludzi, którzy mogą narzucać innym pewne systemy wartości. W ten sposób powstają dziś opinię „narodowe", opinie obowiązujące w prawie wszystkich grupach społecznych. Nie chciałbym tu czynić z publicystyki panaceum, doskonałego środka na wszystko, kataplazmu, leczącego każdą chorobę. Daleki jestem od tych uniwersalistycznych zapędów. Pragnę jedynie podnieść ważność spełnianej przez nią roli.

IV.

Publicystyka i powieść. Co za śmieszne zestawienie! Literatura najmniej szanowana, oceniana miarą najbardziej dla niej zabójczą: odporności wobec czasu i fetysz naszych pojęć estetycznych — beletrystyka. Z jednej strony niemal dziennikarstwo, pospieszne felietony, martwa pozycja kultury, z drugiej wielkość, trwałość, czytelnik dziś jeszcze schylony nad „Dekameronem". Gdy mówi się Sienkiewicz, Prus, wszyscy kiwają głowami z poważaniem, gdy wspomina się Świętochowskiego, Brzozowskiego na ustach naszych współrozmówców pojawia się wyrozumiały uśmiech: uważają nas za maniaków.

„Powieść to właściwie zawsze dzieło historyka" mawiano nieraz. Wydaje mi się, że sąd ten choć imperatywny i absolutny, choć rozstrzygający te sprawy bezwzględnie nie jest pozbawiony słuszności. Wielki powieściopisarz mówi prawie zawsze z dystansu, z odległości. Literatura postępowa nie rodzi się od razu. Powstaje po pewnym okresie czasu, wówczas gdy zaszłe już przemiany społeczne zaczynają wpływać na tok życia artystycznego.

Kategorie rewolucji francuskiej pojawiają się po raz pierwszy w beletrystyce z czasów panowania Ludwika Filipa, purytanizm Cromwella znajdzie swój literacki odpowiednik w sentymentalnej, angielskiej powieści z końca XVIII w., kronikę polskiej szlachetczyzny sporządzi po wielu latach, z lirycznym już rozczuleniem, Henryk Rzewuski. W tym miejscu zaczyna się wielka literacka rola publicystyki. Bez niej nie byłoby chyba „dobrej" powieści. Ona to uporczywie toruje drogę późniejszemu, świetnemu rozwojowi beletrystyki. Ale oto, jak widać, popadam w ton kaznodziei. Rozstrzygam bezapelacyjnie wszystkie zagadnienia i to za jednym zamachem, głosząc raz po raz uniwersalistyczne maksymy. Przejdźmy do faktów, mówmy historycznie. Otóż na podstawie doświadczenia możemy stwierdzić, że począwszy od XVIII w. publicystyka oddziaływała coraz silniej na przebiegi życia społecznego, w tym i na powieść. Dlaczego dziwicie się? To bardzo proste. Mówiłem już o poczytności pamfletu, wspomniałem o magii gazet, dodam teraz, iż kształtowała ona odbiorcę, wpływała na wydawców, urabiała gust, postulując ukrycie czy jawnie pewien typ sztuki: z takich właśnie wołań przeróżnych egzorcystów literackich, z najdziwaczniejszych potępień, moralizatorskich kazań rodziła się zazwyczaj powieść, której żądali. Czy zawsze? O nie! Wielu z nich działało na próżno, wielu z nich dane było przeżyć rozliczne klęski i zawody. Ci tylko, którzy w okresie przemian społecznych postulowali literaturę, popierającą w jakiś sposób postępową klasę, ci tylko zostawali poprzednikami wielkich dzieł i niejako ich współtwórcami. Ale twierdzenie to wymaga przykładów. O nie jednak zawsze najłatwiej. Proszę, wybieram trzy obrazki, mające wspierać mój wywód. Oto kolejno one:

1) Jest rok 1711. Anglia, Londyn, czas wojny sukcesyjnej hiszpańskiej. Ukazuje się po raz pierwszy jedna, z najbardziej dziś znanych gazet angielskich: „The Tatler", Wydają ją dwaj znani już literaci Addison i Steele. Pismo ma charakter polityczno-obyczajowy. Pozycje, na których stoi są niedwuznacznie purytańskie. Atakuje się spadek po Stuartach, formy zwyczajowe życia młodych „kawalerów" z czasów restauracji. Historyk obyczajów, badający ówczesną epokę stwierdza krótko, iż purytanizm szerzył się niezwykle silnie wśród dochodzącego właśnie do głosu mieszczaństwa. A pamiętajmy: jest to rok 1711. Minęło już sporo czasu od rewolucji cromwellowskiej, w której „piwowarzy" „okrągłe łby" obalili monarchię, niszcząc dawną Anglię. Król Jakub został wygnany, jego potomkowie mają zwolenników już tylko w Szkocji. Małe uliczki Londynu mieszczą coraz więcej Kompanii dalekomorskich. Rywalizują one już ze spółkami niderlandzkimi, grożą wielkim domom handlowym Amsterdamu, i Antwerpii. Kupcy angielscy są porządni i przezorni, wyznają i stosują etykę purytańską. I oto mamy w roku 1711 czasopismo szerzące ich poglądy, czasopismo surowe i kaznodziejskie. W latach 1700-nych autor „Robinsona" Daniel Defoe domaga się karania osób ze sfer wyższych za rozpustne życie (W 100 lat potem pogłos tej właśnie broszury wyklnie Byrona). Ale tu zatrzymajmy się przynajmniej na chwilę. Pisarze XVIII wieku, wielcy realiści angielscy podejmą ten sam trud. W ich powieściach powtarzać się będą raz po raz schwarz-charaktery, prowadzące życie rozpustne na tle ludzi „zacnych, a poczciwych". Wytworzy się swoista atmosfera cnotliwego sentymentalizmu, którą tak łatwo możemy znaleźć w powieściach Dickensa. Ludzie zostają tam z niesłychaną wprawą kastrowani. Wielką inowacją „Tattlera" było wprowadzenie działu sylwetek obyczajowych. Tego gazety angielskie nie robiły dotąd. Portrety obyczajowe są różne. Stary pamiętający czasy Stuartów „kawaler", „nieuczciwy" kupiec, stręczycielka, ludzie ze wsi, dwór. Powieść angielska XVIII wieku słynie z obrazów obyczajowych. Przejęła je stąd właśnie. Pierwszy wielki pejzaż Anglii: gospód, zajazdów, polującej stale szlachty, kupców prowadzących handel z Jamajką to nie „Tom Jones" Fieldinga, a rocznik „Tattlera" i „Spectatora", pełne pośpiesznie kreślonych sylwetek, których autorstwo trudno dziś wykryć. Takie były początki powieści obyczajowej. To już nie domysł, a raczej pewność. W przeszło 100 lat później pomyślane jako felietony, jako gazeciarskie szkice do karykatur i obrazków zręcznego rysownika pojawią się odcinki „Klubu Pickwicka".

2) Znów Oświecenie. Tym razem Francja. Dzieli nas kilkadziesiąt lat od tych wydarzeń, które nazwano wielką rewolucją. Publicystyka szaleje. Niderlandzkie drukarnie wypuszczają setki bezimiennych broszur, po salonach krążą w odpisach pamflety. Za taki pamflet można trafić do Bastylii. Mieszczaństwo potężnieje. Mamy domy bankowe, mamy próby wypuszczania papierowych banknotów, zakończone zresztą słynnym krachem i bankructwem. Monteskiusz wyłożył już zasady monarchii konstytucyjnej, jego następcy traktują państwo jako wynik umowy społecznej. Po całej Francji kursują niewielkie broszurki popularyzujące idee, które wkrótce potem głosić będą mówcy na zebraniach Konwentu. Chodzi o ograniczenie władzy królewskiej, a nawet niekiedy o zniesienie jej, chodzi o walkę z klerem, o hasła racjonalizmu i ateizmu. Potem przychodzi Rewolucja. Są pisma St. Justa, mowy Robespierre'a i Babeufa, artykuły Marata. A powieść, czy jest jakaś powieść współczesna tym wydarzeniom, je omawiająca i postępowa zarazem? Nie, oczywiście nie ma: hasła Woltera i Diderota żyją tylko w publicystyce. Powieść idzie inną drogą, nie nadąża.

„Mówiło się zawsze: pan de Voltaire; dziadek wymieniał to nazwisko z uśmiechem pełnym szacunku i przywiązania" — napisze później Stendhal w „Życiu Henryka Brulood". Stendhal to pierwszy pisarz wyzyskujący nauki encyklopedystów, przenoszący je na teren powieści. Postawa Jakobina pojawi się niedwuznacznie w „Czerwonym i czarnym", ślad „pięknej" jakoby rewolucji powtórzy się i w „Pustelni parmeńskiej" i nieco później w „Lucjanie Leuwen".

3 „Za rozprzestrzenianie agitacyjnej broszury W. M. Bielińskiego pt. „List do Mikołaja Gogola" skazuje się Teodora Michajłowicza Dostojewskiego... na karę śmierci". Tak brzmiał pierwotny wyrok wydany na późniejszego autora „Biesów" za rozprzestrzenianie agitacyjnej broszury... Czymże groziła ona, dlaczego karano jej lekturę tak bardzo? Lata 40-te w Rosji, panowanie Mikołaja I, początki wielkich liberalnych spisków, opartych najpierw o ziemiaństwo, później nieco o mieszczan. „Chodzenie w lud" w wielkiej pańszczyźnianej Rosji, kontakty z Paryżem, w którym pisze Hercen, ukryte odczytywanie pamfletów Bielińskiego. Kiedy historyk chce później ocenić literaturę rosyjską tamtych lat mówi, o wielkiej publicystyce, która przygotowała późniejszą powieść.



Nairi Zarian, poeta ormiański, (ur. 1900)

Leon Gomolicki

Od czajchanu do maszyny rotacyjnej*)



Dżambuł Dżabajew (1846 — 1945)

1. Na Pierwszym Zjeździe Pisarzy Radzieckich

Pierwszy wszechzwiązkowy zjazd pisarzy radzieckich odbywał się przy końcu 1934 roku w Sali Kolumnowej Domu Związków. To miejsce i ta data stały się ważnym punktem zwrotnym w dziejach literatury radzieckiej. Gorki nazwał ten zjazd „pierwszym w historii literatury Radzieckich Republik Socjalistycznych", „ponieważ wystąpił on — różnoplemienny i różnojęzyczny — jako zwarta całość przed proletariatem Państwa Rad, przed proletariatem rewolucyjnym wszystkich krajów i przed przyjaznymi literatami całego świata".

Istotnie w Sali Kolumnowej zebrali się liczni przedstawiciele 52 narodowości Republik Radzieckich w ilości przeszło 600 delegatów. Obok literatury gruzińskiej, której początek sięga wstecz aż do piątego wieku naszej ery, reprezentowane były na Zjeździe literatury liczące zaledwie 5 — 10 lat swego istnienia. Tak np. literatura republiki Mordowskiej powstała dopiero w piątym roku rewolucji Październikowej. Obwodowi Kara - Kałpakskiemu została nadana autonomia w 1924 r., a do tej pory ta dzielnica Związku Radzieckiego nie posiadała własnego piśmiennictwa. Przed rewolucją naród baszkirski nie miał ani własnego teatru, ani literatury — pisarze baszkirscy pisali po tatarsku. Od października 1917 roku wywodzi się także literatura Czuwaszów. Po 1924 r. powstało piśmiennictwo Kirgizji, Turkmenii i Dagestanu. W Jakucji od samego początku jej historii od roku 1920 wydano zaledwie 12 książek; po rewolucji na odcinku 12 lat ukazało się 600 książek, w tej liczbie 150 beletrystycznych.

Zjazd był przeglądem osiągnięć młodych kultur radzieckich, sprawozdaniem nowopowstałych ośrodków piśmiennictwa przed społeczeństwem ogólnozwiązkowym. Poza tym był on bilansem naturalnego wzrostu literatury radzieckiej za okres porewolucyjny. Jest to rezultat radzieckiej polityki kulturalnej, opartej na nowych podstawach teorii marksistowskiej, wynik reorganizacji zunifikowanego w 1932 roku życia literackiego w jedynym Związku Pisarzy Radzieckich. W Sali Domu Związków usiedli obok siebie pisarze o starych tradycjach literackich i odtwórcy pieśni ludowych. Zjazd trwał 16 dni, w ciągu których odbyto 26 posiedzeń, wygłoszono ponad 200 referatów nie licząc przemówień powitalnych.

Jeden po drugim delegaci wstępowali na podium, aby zabrać głos w dyskusji, lub przywitać obecnych w imieniu swojego narodu. Przemawiali tacy pisarze, jak Gorki, Szołochow, Aleksy Tołstoj i inni. Witali młodą literaturę radziecką pisarze zachodnioeuropejscy, którzy przybyli na Zjazd w pokaźnej ilości. Grupa ich liczyła do 40 przedstawicieli różnych narodów. Wśród nich przemawiał Marcin Andersen Necksö, duński pisarz komunista, autor książki o ZSRR p.t. „Dwa światy".

W pewnej chwili na trybunę wszedł szczupły starzec w kaukaskim beszmecie. Twarz miał sczerniałą od słońca i powietrza górskiego, postawę dumną i uroczystą. Zamiast przemówienia zanucił wierszowane powitanie, wysławiając ojczyznę socjalizmu — Związek Radziecki i twórcę polityki narodowościowej — Stalina. Był to aszug (bajarz) Dagestanu Sulejman Stalski (1869 — 1937). Stalski urodził się na Kaukazie w aule Aszaga-Stal (stąd pochodzi jego nazwisko, w języku Lezginów-Stal Sulejman) w biednej rodzinie chłopskiej. Od lat 13 pracował jako parobek w angielskich plantacjach w Gandże, w kopalniach nafty w Baku, wreszcie przy budowie mostu na Amu-Darii. Wcześnie zaczął układać pieśni o treści rewolucyjnej, które odegrały rolę w walce ciemiężonych górali z wyzyskiem ziemian i kapitalistów. Po rewolucji Sulejman szybko zorientował się w sytuacji politycznej. Rozpętane nastroje nacjonalistyczne, pogromy i nieustający ucisk odepchnął go od połowicznych środków rewolucji burżuazyjnej. Na pytanie byłego swego gospodarza, na którego dawniej pracował, czemu nie ułoży pieśni na cześć jednego z nacjonalistów kaukaskich, Stalski nic nie odpowiedział.

— Ten świat, — dodał były gospodarz, — jest podobny do koła — wciąż się obraca.

— Źle się obraca, — przerwał mu Stalski.

— Poczekaj-no, — zagroził gospodarz, — czy nie tęskni twój kark do haka?

— Bynajmniej, — odparł Stalski, — hak lubi słoninę, a mój kark to same nagniotki.

„Tego dnia, — dodaje od siebie aszug, — jedna kropla mojej krwi przemówiła po bolszewicku. Nie przeszkadzałem, pozostawiłem jej swobodę. Głos jej stał się bliski sercu".

Wystąpienie Stalskiego na Zjeździe dało początek niezwykłej jego popularności. Gorki nazwał bajarza z Dagestanu „Homerem XX wieku". Powitalna kasyda z entuzjazmem przyjęta na Zjeździe i podana w prasie radzieckiej wywołała specjalne zainteresowanie aszugiem a jednocześnie i innymi odtwórcami poezji ludowej. Odznaczony nagrodą stalinowską Stalski został wybrany na posła do Najwyższej Rady Związku Republik Radzieckich.

Drugim poetą ludowym, który zyskał wielki rozgłos w ZSRR był akyn Kazachstanu Dżambuł Dżabajew (1846 — 1945). Popularność Dżabajewa była tak wielka, że jego 75-letni jubileusz obchodzono we wszystkich republikach Związku Radzieckiego. Poeta Mikałaj Tichonow spotkał się z Dżambułem w Tbilisi na akademii z okazji 750 rocznicy urodzin narodowego wieszcza Gruzji Szoty Rustaweliego i tak opowiedział o tym spotkaniu:

„Różni poeci, którzy zjechali się tu ze wszystkich stron ZSRR wygłaszali przemówienia na cześć autora „Rycerza w skórze tygrysiej"... I oto nagle zjawił się Dżambuł! Podkreślam: zjawił się — **nie wszedł**, nie **podniósł się** z krzesła, lecz **zjawił się**, rozsunąwszy licznych członków tak lekko, jakby chwilę przed tym zeskoczył z rumaka i jeszcze zachował rozpęd niepohamowanego ruchu. Dżambuł nie wszedł na trybunę, od stołu prezydium spoglądał na salę, skupiony i uroczysty; rozłożył ręce i omało nie strącił karafki z wodą, dużego kałamarza i stosu papierów. Usuwał je, jak rzeczy niepotrzebne, wyraźnie przeszkadzające temu co właśnie zamierzał uczynić. Członkowie prezydium mimowoli rozsunęli się i Dżambuł został sam przy stole. Cała jego postać nie miała nic wspólnego z tym, co ją otaczało. Ubrany w ciemno zielony chałat, opasany jakąś szorstką, ciemną chustą, w lisiej czapce, której połyskująca sierść mieniła się iskrami w świetle żyrandoli, Dżambuł podniósł rozkazodawczo rękę — suchą, pokrytą siatką cienkich, brązowych żył, nakazując sali milczenie. Jego szeroka twarz zachowywała zdumiewający spokój, tyko oczy iskrzyły się, jak dwa ukośne promienie i ledwie dostrzegalny uśmiech ukrywał się w kątach cienkich i długich warg... Ta chwila skupienia nagle się urwała, Dżambuł niespodziewanie usiadł, w rękach jego zjawił się mały instrument strunowy, którego dźwięk z początku był tak cichy, jakby do sali zawędrowała duża osa, co nie może znaleźć okna, aby wylecieć na wolność. Od chwili, gdy zjawił się akyn, czas przestał istnieć, ściany w sali rozsunęły się dając miejsce dla wizji innego świata. Był on bliższy Rustaweliemu niż wszyscy ubrani w stroje miejskie słuchacze siedzący w dusznej sali. Rozległ się jego głos tak mocny i ostry, jakby krzyk powstały w głębi nocy, goniący w ślad mknącego jeźdźca. Potem zabrzmiały nuty płynne, wybuchły jakby nawoływania się orłów, nagle zadźwięczały w pieśni dzwoneczki i znów przeszył powietrze przenikliwy krzyk. Bajarz śpiewał przymrużywszy oczy i tylko nozdrza jego drgały, jakby wciągały gorzką i wspaniałą woń stepów... Był to cud, był to Dżambuł — ata akynów (ojciec bajarzy)... Wszyscy rozumieli, że bez Dżambuła uczta poetycka na cześć starego mescha, Rustaweliego nie nabrałaby pełni wyrazu"...

Po Stalskim i Dżambule uzyskali popularność bajarze innych ludów Związku Radzieckiego. W Buriat-Mongolii zjawił się rapsod Torojew. Kilku bachszów, bajarzy Uzbekistanu i Azerbajdżanu przyjęto na członków Związku Literatów. Sulejman Stalski dowiódł, że mają oni prawo do tego, by uznano ich wielką rolę w rozwoju radzieckiej kultury artystycznej.

2. Rozwój kultury umysłowej

Rozwój literatury połączony jest z ogólnym postępem kultury gospodarczej, uzależnionej od rozwoju oświaty i jednocześnie torującej jej drogę. W warunkach carskiej Rosji proces ten był wstrzymany zwłaszcza na peryferiach państwa, kierowanego przez wsteczne siły burżuazji i przeżytki feodalizmu.

„Nasz kraj, — czytamy w uchwale drugiej sesji Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR z dnia 20 października 1927 roku, — odziedziczył po carze, ziemianach i burżuazji prawie ogólny analfabetyzm ludności, szczególnie na wsi. Sprawa oświaty ludowej od góry do samych dołów społeczeństwa była zmonopolizowana przez klasy panujące. Imperium carskie było wielkim więzieniem ludów. Brutalna polityka rusyfikowania uważana była za jedną z zasadniczych metod rządów carskich. Gnębione przez ucisk wielkomocarstwowy ludy pozbawione były jakiejkolwiek możliwości rozwoju kulturalnego. W nader ciężkiej sytuacji były zacofane kulturalnie narodowości, które carat trzymał w stanie absolutnej ciemnoty, ponieważ stwarzało to warunki dla wyzyskiwania i uciskania ich z wyjątkowym okrucieństwem. Kres temu położyła rewolucja październikowa. Klasa robotnicza stając u władzy w naszym kraju, udowodniła, że pełni ona rolę istotnego nosiciela postępu ludzkości. Torując sobie drogę do wszelkich osiągnięć kultury i wiedzy, proletariat troszczył się również o rozwój i oświatę mas pracujących i wszystkich narodowości ZSRR. Gigantyczny przewrót kulturalny, odbywający się pod znakiem Października zostanie doprowadzony do końca, ponieważ budowany jest w oparciu o czyn i twórcze osiągnięcia milionów ludzi pracy, miast i wsi. Rewolucja październikowa postawiła sobie za zadanie zniesienie przepaści, która dzieliła dotąd ludność miasta i wsi. Szybkim tempem posuwa się wzrost kulturalny zacofanych narodowości, zapewniając tym samym dalszy rozwój ogólnego poziomu kultury całego naszego ZSRR. Sztuka staje się dorobkiem mas pracujących; rewolucja październikowa pozwala na tworzenie na froncie artystycznym ognisk kultury narodowościowej i szeroki rozwój twórczych sił narodów Związku Radzieckiego".

Przytoczone tu przesłanki postępu narodowości ZSRR zacofanych w swoim rozwoju kulturalnym mają swe źródło w poglądach Lenina i Stalina na problem narodowy. Na XVI zjeździe partii (w czerwcu 1930 r.) Stalin udowodnił, że okres budowy socjalizmu w ZSRR jest okresem rozkwitu kultur narodowych, socjalistycznych w treści, a posiadających swoiste formy narodowe. Ten rozkwit nie prowadzi do poróżnienia narodów, lecz przeciwnie — stanowi najgłówniejszy warunek ich zespolenia. Albowiem zespolenie kultur narodowych w sposób właściwy i rzeczywisty włącza wszystkie zacofane narodowości do wspólnej sprawy budownictwa socjalistycznego.

Pierwszym krokiem na drodze wyrównania poziomu kulturalnego narodów Związku Radzieckiego było stworzenie kadr inteligencji tam, gdzie wyższe szkoły zakładano niemal jednocześnie ze szkołami elementarnymi. Na odcinku pracy kulturalno - oświatowej widzimy to samo zawrotne tempo budownictwa radzieckiego. Walka z analfabetyzmem szła równolegle z wychowaniem pracowników naukowych ze środowiska narodów zacofanych w rozwoju. Wykształcone jednostki posyłano z jednej strony do rodzimych osiedli, z drugiej zaś przydzielano do naukowo - badawczych instytutów i do uniwersytetów w charakterze asystentów, naukowych współpracowników, aspirantów. Jednocześnie etnografia, folklorystyka i sztuka radziecka skierowały swoje badania i działalność w stronę młodych republik autonomicznych. Na miejsce wyruszyły wyprawy naukowe celem zbierania materiałów. Powstał projekt założenia w Moskwie centralnego teatru narodów Związku Radzieckiego. Zostały zorganizowane chóry i zespoły taneczne narodowe i ich doroczne popisy regionalne i wszechzwiązkowe. Twórczością chałupniczą zajęła się Akademia Sztuk Pięknych.

Tu spotkały się dwie siły: czynna i twórcza w swoim realistycznym, trzeźwym podejściu do gigantycznych zadań polityki kulturalnej i bierna ukryta w masach ludowych, romantyczna w swoich dawnych tradycjach narodowych, którą należało wydobyć i zaktywizować, zaś jej romantyzm skierować na nowe tory romantyzmu rewolucyjnego. Tym większej aktualności nabrały zagadnienia realizmu i romantyzmu, poruszone na pierwszym zjeździe pisarzy radzieckich.

3. Realizm i romantyzm socjalistyczny

Zjazd otworzył przemówieniem programowym Gorki. Była to synteza poglądów wielkiego pisarza, przemyślanych i sprawdzonych w wyniku pracy twórczej całego życia i wieloletniej opieki nad początkującymi literatami pochodzenia ludowego. W kilkugodzinnym referacie dał Gorki przegląd rozwoju literatury powszechnej, specjalnie uwzględniwszy ustną twórczość ludową, jako trwałe źródło odżywcze pisarzy wszystkich okresów historii ludzkości. Jako główne jej cechy wskazał realizm i romantyzm heroiczny walki, aktywności i pracy. Tu z trybuny Zjazdu padła definicja humanizmu i realizmu socjalistycznego.

Idea realizmu socjalistycznego została podpowiedziana przez ogólny kierunek polityki Lenina. Imię dał mu Stalin. Pierwszy zjazd pisarzy radzieckich przedyskutował zasady, po czym definicja realizmu socjalistycznego została włączona do statutu Związku Literatów, jako określenie podstawowej metody literatury radzieckiej. W pierwszym dniu Zjazdu A. Żdanow w swoim referacie poruszając zagadnienia nowej sztuki radzieckiej, określił ją jako sztukę przesiąkniętą entuzjazmem i heroizmem. Zdaniem Żdanowa, literatura radziecka jest w zasadzie optymistyczna, przy tym optymistyczna nie dzięki biologicznym wewnętrznym odruchom, lecz w istocie rzeczy, ponieważ reprezentuje ona wzrastające siły proletariatu, i ponieważ służy sprawie budowy socjalizmu. Taka literatura nie powinna odzwierciedlać życia scholastycznie. Powinna ona ujmować rzeczywistość jako „realność bezstronną", pokazując ją w rozwoju rewolucyjnym i twórczym. Prawda i ścisłość utworu artystycznego przy tym nie może nie kojarzyć się z zadaniem przemiany ideowej i wychowaniem ludzi w duchu socjalizmu. Taka metoda literatury pięknej i krytyki literackiej jest tym, co nazywamy metodą realizmu socjalistycznego.

Dalej Żdanow mówił o połączeniu realizmu socjalistycznego z romantyzmem rewolucyjnym: — „Naszej literaturze, która twardo stoi na gruncie materializmu, nie może być obca romantyka, ale romantyka nowego typu, romantyka rewolucyjna. Kiedy mówimy, że realizm socjalistyczny jest podstawową metodą radzieckiej literatury pięknej, przypuszczamy tym samym, że romantyzm rewolucyjny powinien być częścią składową twórczości literackiej, ponieważ całokształt życia naszej partii, życia klasy robotniczej i jej walka złożone są z najbardziej trzeźwej i ciężkiej pracy z jednej strony, a z drugiej z największego heroizmu i gigantycznych planów na przyszłość".

Przemówienia Gorkiego i Żdanowa były przestrogą dla wulgaryzatorów w literaturze, którzy usiłowali interpretować realizm socjalistyczny jako nową metodę, wyłączającą z praktyki literackiej wszystkie metody poprzednie. Aby zapobiec tym próbom została wprowadzona do statutu Związku Literatów teza uniemożliwiająca ciasną interpretację metody realizmu socjalistycznego, wyjaśniająca, że „realizm socjalistyczny zabezpiecza wyjątkową możliwość objawienia inicjatywy twórczej, wybór różnorakich form, stylów i rodzajów". Podczas dyskusji nad tym paragrafem na Zjeździe zostało ustalone, że metoda realizmu socjalistycznego nie sprowadza się bynajmniej w twórczości artystycznej do stylu. Styl jest funkcją, szczegółem realizmu socjalistycznego, w którym może być zastosowane niezliczone mnóstwo stylów, rodzajów literackich, form i chwytów.

Takie tłumaczenie zachowywało związki organiczne z wartościowymi osiągnięciami literatury klasycznej. Dla kultur narodowych uwzględniało to tradycje poezji ludowej, w której przeważał element romantyczny. Tak np. przyswajając metodę realizmu socjalistycznego poeci Uzbekistanu jednocześnie nie zrywali z tradycją poezji dawnej. Ale mocne romantyczne jej zabarwienie nie stało na przeszkodzie opanowaniu literatury przez zasady realizmu. Swoiste połączenie tych dwóch metod stworzyło styl współczesnej poezji uzbeckiej.

To samo zjawisko widzimy na terenie literatury innych narodów radzieckich. Miało ono z początku niebezpieczne odchylenia w postaci zapędów nacjonalistycznych, przed którymi ostrzegał Gorki jeszcze w roku 1928, dając w artykule „Jak nauczyłem się pisać" trafną syntezę romantyzmu: „W romantyzmie należy odróżniać również dwa zaprzeczające sobie kierunki: romantyzm bierny, który usiłuje albo pojednać człowieka z rzeczywistością, upiększając ją, albo z nią poróżnić, prowadząc do bezcelowego zagłębiania się w swoim wewnętrznym świecie, myślach o „fatalnych zagadkach życia", miłości i śmierci, które mogą być rozstrzygnięte w drodze eksperymentu naukowego, lecz nigdy za pomocą kontemplacji i rozumowania. Czynny romantyzm natomiast dąży do wzmocnienia w człowieku woli do życia, pobudza do protestu i buntu przeciwko uciskowi złej rzeczywistości".

Sprawa romantyzmu rewolucyjnego była poruszona na Zjeździe również w przemówieniach delegatów różnych narodów. Poeta gruziński Sandro Euli sygnalizował niebezpieczeństwo recydyw megalomanii nacjonalistycznej. Sulejman Stalski mówił o likwidacji waśni nacjonalistycznej w wielujęzycznym Dagestanie.

*) Patrz: L. Gomolicki. Folklor jako zagadnienie społeczne" „Wieś", nr. 17 i „Lud, obrońcy ludu i „ludomani", „Wieś", nr. 18-19.

4. Od czajchanu do maszyny rotacyjnej

Myśl stworzenia specjalnego organu literatury narodów ZSRR rzucił Gorki. Zapoczątkował on również wymianę kulturalną w postaci planu wydawniczego, pomyślanego na gigantyczną skalę. Przekłady na rosyjski ze wszystkich języków narodów Związku Radzieckiego i odwrotnie z rosyjskiego na te wszystkie języki. W połączeniu z akcją kulturalno-oświatową, włączającą zacofane narody w ogólne życie socjalne i gospodarcze Związku Radzieckiego, dało to wyniki nie mające precedensów na świecie.

Aby pokazać zjawisko szybkiego rozwoju kulturalnego, weźmy jako przykład dzieje ostatnich lat jednej z republik radzieckich położonej w Środkowej Azji, Turkmeńskiej SRR. Położona na granicy z Iranem i Afganistanem liczy ona milion 250 tys. ludności, która przed rewolucją za główne swoje zajęcie uważała hodowlę bydła. Przemysł tu prawie nie istniał, ograniczał się do wytwarzania surowców — bawełny, soli i masła. Obecnie w Turkmenii powstał wielostronny przemysł — kopalnie węgla i nafty, zakłady tekstylne, metalowe i huty szklane, wydobywanie soli glauberskiej, ozokeritu, bromu i jodyny—nieznanych dotychczas ludności miejscowej bogactw naturalnych jej ojczyzny.

Twórczość ludowa Turkmenii nie jest młodsza od rosyjskiej twórczości ludowej. Jej epos narodowy „Korkud-Ata" powstał około wieku X

Niemniej do rewolucji 1917 roku Turkmenia nie posiadała innej twórczości literackiej prócz ustnej. Poeci czytali swoje wiersze i opowiadali powieści w czajchanach siedząc na dywanie pośrodku tłumu słuchaczy. Czytanie „destanów", długich opowiadań historycznych i obyczajowych ciągnęło się przez kilka dni i nocy z rzędu. Przy tym ilość słuchaczy nie zmniejszała się, przeciwnie raczej ustawicznie rosła. Opowiadania i czytanie wierszy ludowych szachir przerywał dowcipami i przysłowiami. Zwyczaj „żywych książek" przechował olbrzymi spadek turkmeńskiej twórczości ustnej. Poeci turkmeńscy więcej dowierzali pamięci niż umiejętności pisania. Do roku 1917 umiejętność ta była przywilejem 7 proc. ludności. Obecnie analfabetyzm doprowadzono w Turkmenii do minimum. W ciągu niecałego ćwierćwiecza nastąpiła zdumiewająca przemiana. Świadczy ona o skuteczności radzieckiej polityki kulturalno-oświatowej. Pierwsza gazeta w języku turkmeńskim ukazała się w roku 1920, pierwsza książka w 1929. Od roku 1929 do 1943 wydano 110 utworów starych i nowych pisarzy o ogólnym nakładzie 600 tys. egzemplarzy. Książka i czytelnik narodzili się w Turkmenii jednocześnie. Niewidomy ludowy szachir Ata Salich zbiera książki, które czyta „oczyma swego brata". Bajarka Kauszutowa słucha z uwagą, gdy jej wnuki czytają zapisane przez folklorystów jej pieśni i bajki. Obok twórczości ojczystej ukazały się tłumaczenia klasyków rosyjskich i zachodnioeuropejskich.

W latach 1940 — 1944 została napisana pierwsza powieść realistyczna w języku turkmeńskim. Autorem jej był pisarz starszej generacji Berdy Kerbabajew. Właściwie jest to w ogóle pierwsza powieść w historii literatury turkmeńskiej. „Destane" ludowe były rodzajem opowiadania z „Tysiąca i jednej nocy", gdzie wiersze przeplatały się z intrygą miłosną, lub bajką alegoryczną. Powieść Kerbabajewa „Zdecydowany krok" jest epopeą narodową, odtwarzającą proces powstawania nowej Turkmenii. Obydwie jej części zawierają dzieje wojny i rewolucji w latach 1916 — 1920. Akcja powieści przenosi się z aułów do miast, gdzie w wirze wydarzeń dziejowych pokazane są typy kobiet i mężczyzn, Rosjan i Turkmenów. Nadzwyczaj płodna wielokierunkowa twórczość Kerbabajewa, zapoczątkowała dramat, literaturę dziecięcą, poemat obyczajowy, prozę. Poeta, dramatopisarz i tłumacz Karadża Burunow, autor najpopularniejszej w Turkmenii sztuki historycznej „Kejmir-Ker" tłumaczył: Szekspira, Gogola i Gorkiego. W repertuarze artysty narodowego Amana Kulmamedowa pierwsze miejsce zajmują Otello i Horodniczy z „Rewizora".

I otóż z szybkością nie mającą precedensów w historii zmienił się obraz nowej Turkmenii. Zamiast „żywych książek" — szachirów główną formą rozpowszechniania utworu artystycznego stała się tu książka, dziennik, czasopismo, jak również teatr, radio i kino. Audytorium poetów powiększyło się do liczby całego narodu, ściany czajchanu rozsunęły się. Występuje on nie przed garścią mieszkańców aułu, lecz przed mikrofonem, słowo jego odbija maszyna drukarska w wielutysięcznych nakładach.

Pouczająca jest historia następnej generacji pisarzy turkmeńskich. W 1925 roku mając 15—17 lat otworzyli oni po raz pierwszy w swym życiu elementarze. Po pięciu latach książki ich zajęły miejsce na półkach bibliotek. Byli to Rachmet Seidow, Nurberdyjew, bracia Kekiłowowie i inni. Po Szali Kekiłowie, który zginął w ostatniej wojnie, został cenny spadek literacki. Brat jego Aman prowadzi kurs literatury ojczystej w turkmeńskim instytucie pedagogicznym; nowe pokolenie kształci się już w zupełnie normalnych warunkach.

Przegląd ten daje obraz przyspieszonego procesu rozwoju kulturalnego, gdzie na naszych oczach dziesięć stuleci skraca się do dziesięciu lat, podobnie, jak na filmie przyrodniczym ziarno staje się krzewem i rozwija się w kwiat w ciągu kilku minut. Jest to jedna z największych zdobyczy kulturalnych zrealizowanego socjalizmu.

Leon Gomolicki

Stefan Lichański

Poradnictwo literackie przy Oddziale Wiejskim Z.Z.L.P.

ISTNIEJĄCA od jesieni ubiegłego roku Komisja Poradnictwa Literackiego przy Zarządzie Oddziału Wiejskiego Z.Z.L.P. okazała się w praktyce instytucją potrzebną i celową. Dowodem tego jest zainteresownie, jakie wzbudziła wśród młodych kandydatów na pisarzy oraz wśród literatów — amatorów ze starszego nawet pokolenia. Napływ prac przesłanych z prośbą o oceny i rady jest duży (przeciętnie 80—100 miesięcznie). Przeważa poezja, ale nie brak także opowiadań, nowel, gawęd, wspomnień i pamiętników, a nawet dużych rozmiarami powieści oraz utworów scenicznych.

W obfitym ilościowo plonie tej pracy pisarskiej, z której owocami zetknęła się Komisja Poradnictwa, nie znalazło się ani jedno zjawisko literackie, które można by uznać za rewelacyjne. Sporo znajdziemy tam natomiast prac stanowiących cenny materiał socjologiczny i dokumentarny oraz sporo zapowiedzi wróżących obdarzone bogatymi możliwościami talenty.

W ogromnej większości przesyłanych do Komisji prac uderza niedostateczne opanowanie języka. Błędy stylistyczne, nie mówiąc już o ortograficznych i interpunkcyjnych szpecą nawet najciekawsze utwory. W znacznym więc stopniu poradnictwo musi ograniczać się do analizowania i poprawiania tego właśnie rodzaju błędów. Poradnictwo literackie rzadko wychodzi poza poradnictwo językowe, poza wskazania najbardziej elementarne w zakresie posługiwania się samym narzędziem pisarstwa: językiem. Również poziom kultury literackiej w nadsyłanych utworach jest na ogół bardzo niski. Rzadko kiedy ma się okazję przeprowadzić z którymś z autorów wymianę zdań na temat bardziej skomplikowanych zagadnień warsztatowych pisarstwa czy też zagadnień ideologicznych. Przeważnie utwory, z którymi ma się do czynienia, stanowią tylko surowy materiał, albo też (co jest o wiele gorsze) blade reprodukcje rozmaitych fragmentów zapamiętanej lektury; jeżeli zaś chodzi o ich strukturę ideologiczną, autorowie poprzestają zazwyczaj na zastępowaniu jej różnymi stąd i zowąd pochwyconymi hasłami, sloganami oraz stereotypami sytuacyjnymi i charakterowymi.

W każdym bądź razie co miesiąc napływa do Poradni pewna ilość prac, które niewątpliwie zasługują na zainteresowanie. Ale tutaj występuje nowy szkopuł: Poradnia nie rozporządza własnym pismem, które dawałoby możność rozwinięcia swoistej pedagogiki literackiej na większą skalę (możliwość drukowania z odpowiednimi komentarzami prac nawet artystycznie słabych, na które nie połakomi się żaden z literackich tygodników, ale symptomatycznych dla pewnego kręgu społecznego czy pewnego stopnia rozwoju kulturalnego, możliwość publicznej dyskusji z autorami i t.p.). Dziś Poradnia pracuje metodą chałupniczą: materiały napływają do sekretariatu Oddziału, skąd dopiero rozchodzą się do „specjalistów", do trzech odrębnych działów poradnictwa (poezja, proza artystyczna, proza dokumentarna), którzy odkradając sobie trochę czasu z innych zajęć zawodowych opracowują nadesłane utwory i przesyłają listownie swoje uwagi zainteresowanym. Przypomina to potrochu okres „pracy od podstaw" i noszenia „kaganka oświaty" pod sielskie strzechy, ale wobec ograniczonych możliwości finansowych i personalnych Oddziału Wiejskiego trudno spodziewać się w tym wypadku jakichkolwiek zmian bez pomocy ze strony czynników państwowych czy społecznych, które zechciałyby się tą akcją zainteresować.

Korzystając jako członek Komisji Poradnictwa z udzielonej nam przez Redakcję „Wsi" gościny chcę zwrócić uwagę i na pracę samej Komisji i na autorów, którzy pod jej opieką wchodzą na arenę życia literackiego. Nowela Jana Lubojemskiego „Gawrynowa gospodarka" nie jest utworem bez zarzutu, jest jednak próbą literacką świadczącą o dużych możliwościach rozwojowych autora. Utwór ten świadczy o Lubojemskim bardzo dobrze jako o bystrym obserwatorze ludzi i zjawisk oraz uzdolnionym narratorze.

Na razie jest to chyba wszystko, co można o nim powiedzieć pozytywnego. Stoimy raczej wobec zapowiedzi niż wobec dokonania, ale czyż „Gawrynowa gospodarka" nie jest zapowiedzią godną uwagi? I czyż ogniowa próba druku nie ułatwi autorowi dalszej pracy? A trzeba jeszcze uwzględnić i tę okoliczność, że nie jest to najlepszy z utworów, jakie napłynęły do Poradni. „Gawrynowa gospodarka" reprezentuje raczej normalny poziom tych 10 czy 20 procent nadsyłanych nam prac, które pozwalają żywić nadzieje, że z ich autorów „coś będzie".

W tej chwili obaj (tzn. Lubojemski i ja) zadowolimy się tym, jeżeli zdołamy tym artykulikiem i drukowaną poniżej nowelą zwrócić uwagę ludzi interesujących się losami i rozwojem najmłodszego pokolenia polskich pisarzy.

Jan Lubojemski

GAWRYNOWA GOSPODARKA

(Opowiadanie)

GOSPODARKA była duża. Przeszło dwadzieścia morgów ornego gruntu, srogie zabudowania, trzy konie, sześć krów. Z każdego kąta wyzierał z roześmianą, zadowoloną gębą dostatek.

Gawryn był przecież pierwszym gospodarzem we wsi. Tego i tamtego przycisnęła bieda, jakiś ubytek w gadzinie się trafił, choroba w domu, to znowu ogień. Zawsze niedola - bieda tędy - sięfy po wsi chodziła i zawsze do kogoś zaglądnęła, a w Gawrynowej chałupie dawno jej nie było. Wszystko szło jak z płatka. Gospodarka powiększała się z każdym rokiem — pęczniała. Synów było pięciu, chłopów jak dębczaki. Do roboty, czy do żniw, czy do młocki nie trzeba było donajmywać.

Żyło się.

Dobrze się żyło.

Ale cóż?

Długo to na tym świecie będzie dobrze? Wszystko się odmienia i odmienia.

Jesteś w biedzie — po niejakim czasie odmieni się.

Dobrze ci się powodzi — odmieni się i to.

Dopóki razem trzymało się dwadzieścia trzy morgi i tyle rąk do pracy, wszystko się dobrze układało w Gawrynowej gospodarce.

Ale cóż, majątek się podzieliło.

Najpierw Walek, choć nie najstarszy, ożenił się u Pastuszyny i wziął swoje cztery morgi.

Tego jeszcze nie było znać na gospodarce. Ale jak po tym jeden po drugim zaczęli z domu wychodzić i zabierać każdy swoją część — za lat kilka powstało pięć nowych gospodarstw i szóste trzymorgowe, które ojciec z myślą o swej czarnej godzinie dla siebie zostawił.

Zabudowania zostały jakby na wyrost, bo były budowane na większe gospodarstwo. Stajnie i szopy wiały pustką, bo zostały już tylko dwie krowy, a konia już dawno ani jednego nie było.

Dużo było kwasów we famielii o tę resztówkę. Każdy ze synów miał na nią ochotę, bo to najlepszy kawałek gruntu był i koło domu. No, a do tego pobudynki. Każdy z nich ojcu po cichu przyświadczał, żeby jemu tę resztę zapisał, że po tym on go weźmie do siebie i że mu u niego będzie najlepiej.

Ale stary Gawryn był twardy. Nie dał się namówić. Mało bo to widział wypadków we wsi, jak się dzieci z ojcami obchodziły.

— A Grzęda bez kogo dzisiaj po dziadach chodzi, choć taki gospodarz tęgi był, jak nie bez córkę? — przypominał zawsze, ilekroć który ze synów przekonywał go, że jest najlepszy i że całkowicie na ojcowskie zaufanie zasługuje, i na to, aby mu ojciec grunt zapisał.

Początkowo każdy ze synów myślał, że ojciec zmięknie, da się ubłagać i resztę gruntu z budynkami zapisze.

Dobrze wtedy było staremu Gawrynowi. I w poważaniu żył i czuł zewsząd ze strony synów, synowych i wnuków troskę o siebie, serca czułe i tak pamiętające o tym, czy też dziadkowi czego nie brakuje.

Ale gdy w twardości swej trwał i ani na skibę ze swego nie popuścił, powoli zaczęli się od niego odsuwać. Na dobitek Gawrynowa pomarła. Gawryn zaczął odczuwać koło siebie pustkę i niedostatek. To krów nie miał kto wydoić, jedzenia uwarzyć, to koszuli nie było komu wyprać. Przedtem, gdy synowie przyświadczali mu w nadziei otrzymania gruntu, to i ta i tamta synowa z uśmiechem na ustach coś pomogła w gospodarstwie. Ale skoro się spostrzegły, że z tego nic nie mają, bo stary grunt w pazurach trzyma — przestały się nim interesować.

To też nic dziwnego, że stary Gawryn nie zamykał oczu, jak młoda wdowa Ruściszewska układnie się do niego uśmiechała, gdy przechodziła koło chałupy i Boga chwaliła.

Raz też, gdy przechodząc wedle chałupy, ujrzała, że ze skopkiem do stajni idzie, podeszła, przystanęła na progu, a gdy Gawryn zaczął się do dojenia zabierać, wzięła do ręki skopek i tak się z dojeniem uwinęła, że Gawryn z podziwem rzekł:

— Gospodyni to z was nie ostatnia.

— I wyście Franciszku nie ostatni gospodarz, tylko że się zabieracie w gospodarce do takiej roboty, co nie dla was.

— A kto się weźmie, kiej kawałka baby przy chałupie nie ma.

— E, bo nie chcecie.

— Jakto nie chcę. Małom się to Józkowej, albo Jędrkowej naprosił, żeby czasem przyszły strącić jaką robotę? Z początku zachodziły, ale jak poczuły, że gruntu tak wnetki nie wychodzą, to się wyniosły. Takem se pedział: sam będę doił psiapara, ale gruntu z rąk nie puszczę.

— Moglibyście i grunt trzymać i krów nie doić.

— Jak mówisz?

Ruściszewska odwróciła głowę od skopka z mlekiem w stronę Gawryna, spojrzała młodym, gorącym jeszcze wzrokiem na niego, a potem ukazawszy rząd białych zębów zaczęła się śmiać.

— I z czegóż się to tak śmiejesz?

— A z was.

— Co?

— No pewnie, bo patrzycie na mnie i widzi się wam, że byłaby ze mnie akurat gospodyni dla was, a dumacie ino, i nic nie mówicie.

To mówiąc roześmiana i świeża, ze skopkiem mleka podeszła ku niemu, tak, że owiało go ciepło jej ciała, i rzekła:

— Czy źle mówię Franciszku?

— Juści nieźle. Trza będzie dać na pacierze i... niech się dzieje co chce. Przecie się sam nie zgubię na tym świecie na trzech morgach i przy takim inwentarzu.

I Gawryn się ożenił.

Różne to echa wywołało w opinii wsi, różnie o tym plotkarki rozpowiadały, ale widać młoda Gawrynowa skrzętnie koło Gawryna chodziła, skoro w dwa miesiące po ślubie pojechali do notariusza i Gawryn zapisał jej cały majątek.

Odtąd synowie nie przestępowali progu ojcowskiej chałupy.

— Jakiegosik pędziwiatra wzieni do chałupy i niedość, że chleb darmo je, to jeszcze i nasz grunt zagarnęła. A tatuś tak się dali omotać. To jest ojciec! Żeby tak dzieciński grunt przemarnować!

Niedługo jednak Gawryn cieszył się małżeńskim szczęściem. Pewnego wieczora położył się spać i już więcej oczu nie otworzył.

Gawrynowa w duchu zbytnio nie rozpaczała, że „stary nogi wyciągnął", ale trzeba było trochę popłakać i ponarzekać, bo co by ludzie we wsi powiedzieli.

Synowie, dowiedziawszy się o śmierci ojca, przybyli razem do chałupy, przykładnie zmówili nad ojcem pacierz, a potem chcieli wejść to do komory, to do stajni, aby coś po ojcu na pamiątkę zabrać. Ale sprytna macocha przewidziała to i skrupulatnie wszystkie drzwi pozamykała.

— Gdzieś podziała klucze od komory?

— A coś tam zgubił, co się o klucze pytasz?

— Pytam się gdzie są klucze od komory.

— A co ci do moich kluczy? Jakeś przyszedł na ojca popatrzeć, to popatrz i uciekaj stąd.

— Co?! Ty przybłędo jakaś, to ty mnie będziesz z ojcowej chałupy wyganiać?

— Nie z ojcowej, tylko z mojej. Kontrakt mam w skrzyni na wszystko. To wszystko jest moje i wam do tego wara.

Wicek chwycił za żarnówkę, co stała w kącie, ale Józek wstrzymał go za rękę i rzekł:

— Chodźmy. Ona nas i tak popamięta.

— Co?! Takiej małpie miałbym darować? Puść mię Józek.

Ale nadeszli bracia i zmitygowali go. Najstarszy Jędrek spokojnie, ale stanowczo zapytał:

— Słuchaj Maryśka...

— Ja dla was nie Maryśka.

— Słuchaj, czy dasz dobrowolnie pół inwentarza ojcowego, czy nie?

— Powiedziałam, że nie dam, a wy zbóje wynoście się, bo ludzi zwołam.

— Ty cholero! Ty nas będziesz z naszej chałupy wyganiać! My zbóje? Ty!!

Wicek zamierzył się znowu żarnówką, ale Jędrek powstrzymał go, stając między nim, a macochą i powiedział:

— Nie dasz po dobremu, to inaczej dasz Chodźmy.

Nadszedł dzień pogrzebu. Gawrynowa myślała, że po tym, co zaszło, żaden ze synów na pogrzeb ojca nie przyjdzie. Zdziwiła się też niemało, gdy zobaczyła, że wszyscy pięciu idą.

Dochodzili do kościoła. Na stopniach świątyni Gawrynowa oglądnęła się jeszcze za siebie i jakoś pasierbów nie zobaczyła, a nawet uderzyło ją, coś jakby liczba idących za pogrzebem zmalała. Po mszy i ceremoniale pogrzebowym wyszli z kościoła i poszli drogą cmentarną. Do cmentarza było dość daleko. Dziwiło Gawrynową, że ilość ludzi zmniejszała się. Na cmentarz doszła ich już zaledwie mała garstka.

Pochowali Gawryna. Odśpiewali mu „wieczne odpoczywanie" i powoli porozchodzili się z cmentarza. Gawrynowa poszła jeszcze do księdza i do wójta pozałatwiać formalności związane ze śmiercią męża.

Już miało się dobrze ku południowi, gdy szła w stronę domu. Wchodziła na wzgórze, z którego było widać dom.

— Mój dom — cieszyła się — moja gospodarka.

Nagle przystanęła. To, co zobaczyła, sparaliżowało jej ruchy. Nie mogła iść dalej. Nie mogła swym oczom uwierzyć.

Dom, z którego rano nieboszczyka Gawryna wynieśli, już prawie nie istniał. Stał tylko piec z kominem. Ludzie, którzy po obejściu gorączkowo się uwijali, roznieśli drzewa rozebranego domu po polu i już zabierali się do rozbiórki stodoły. Między ludźmi uwijało się trzech młodych Gawrynów. Kierowali rozbiórką i stale nawoływali na ludzi, aby się śpieszyli. Dwaj pozostali Gawrynowie sprowadzili konie i pług.

Gawrynowa stała nieruchoma i nie mogła tego wszystkiego pojąć.

— Jezus Maryja! Co oni wyrabiają — wydarło się jej szeptem z ust. — Czy oszaleli, czy co?

A tymczasem Gawrynowie podjechali na podwórze z pługiem i zaczęli orać plac, na którym stała przedtem ojcowa chałupa.

Gawrynowa nie mogła dłużej ustać. Wielkie zdziwienie zmieniło się nagle w okrutną złość. Pędem zbiegła z pagórka. Przypadła do Jędrka Gawryna, złapała go kurczowo za ramiona i krzyknęła chrapliwym od natężenia głosem:

— Wy zbóje! Wy przeklętniki! Co robicie?!

— Robimy porządek — odparł Jędrek z udanym spokojem. — To miało być nasze. A jeśli nie będzie nasze, to i twoje nie będzie.

Szarpnął gwałtownie, tak, że Gawrynowa od niego odpadła, a on rozkazującym i mocnym głosem zawołał do braci:

— Chłopcy, głębiej orać! Głębiej!!



Władysław Reymont

Zdzisław Skwarczyński

Europejskość „Piasta"

I.

NAGRODA Nobla, najwyższe międzynarodowe odznaczenie jakie spotkać może pisarza, bywa zazwyczaj u nas traktowana jako bezinteresowny akt dla ponadczasowych wartości literackich, wyrastających ponad doraźną aktualność i czyjkolwiek partykularny pożytek. Utwierdza w tym mniemaniu międzynarodowa pozycja Szwecji oddawna nie angażującej się w konflikty europejskie oraz szeroki wachlarz pozaliterackich nagród fundacji, śród których nagroda pokojowa — wydaje się — reprezentuje społeczną i polityczną ideologię instytucji ufundowanej przez wynalazcę dynamitu.

Takie mniemania nie przynoszą — rzecz prosta — zaszczytu orientowaniu się naszego społeczeństwa w świecie zjawisk kultury, ale ostatecznie instytucja nagród literackich jest u nas dość słabo zakorzeniona i funkcjonowanie jej — jak wykazała kilkudziesięcioletnia praktyka — jest społeczeństwu dość obojętne, nie mobilizuje go do zaciętych sporów merytorycznych, jak to bywa np. we Francji. Za tę naiwność ktoś jednak ponosi winę. Sam problem interesuje badacza literatury, ale też na pewno nie leży w obrębie badań literackich sensu stricto — i dlatego trudno odpowiedzialnością za stan powszechnej niewiedzy w tej dziedzinie obarczać historyka literatury czy krytyka. W istocie to oni raczej mieliby prawo oczekiwać skądinąd ścisłej odpowiedzi na pytanie: dzięki czemu jakiś utwór lub czyjaś twórczość cieszą się szczególnym powodzeniem. Mieliby — gdyby nie osobliwa sytuacja w naszej nauce. Od pewnego czasu obserwujemy inwazję socjologii i jej metod w dziedziny innych dyscyplin. Jest to chyba usprawiedliwione młodością nauki, która wywalcza sobie prawa, ale, dziwne wydać się musi, że anektując sobie nowe tereny badania socjologia nie kwapi się, by objąć w posiadanie to, z czego np. historia literatury czy badanie literackie z założenia rezygnują, to, co i tak było terenem wydanym na łup publicystyki, w szlachetnym zresztą rozumieniu. Precyzja metody socjologicznej mogłaby bardzo przyczynić się do pogłębienia naszej znajomości przebiegów kulturowych o doniosłym znaczeniu.

Jeśli obecnie — uprzedziwszy o mej niekompetencji — zabieram głos — to głównie dlatego, by wskazać, że materiał, o jaki mogłoby chodzić socjologowi przy opracowywaniu zagadnienia, leży niemal na ulicy, że socjolog wydzierając historii literatury teren badań korzysta z dobrodziejstw inwentarza. O innych podnietach będzie mowa dalej.

II.

Łatwo można spotkać się z opinią, że jeśli nawet doprawdy było inaczej z nagrodą Nobla, jeśli nagroda ta służyła całkiem swoistym celom lub określonej ideologii pewnych kół europejskich — to do niczego nas to przecie nie zobowiązuje. W zysku bądź co bądź mamy rozpowszechnienie imienia polskiego i osiągnięć naszej literatury.

Szczególnie doniosły wydawał się ten argument w perspektywie historycznej, boć przecie pamiętamy dobrze, że Sienkiewicz dopiero po nagrodzie Nobla, po wyjściu poza szranki egzotycznego jakby nie było języka, mógł odwoływać się do opinii światowej w sprawach narodowych; pamiętamy jego listy otwarte, gdy zagroził nam największy ucisk narodowościowy („List do baronowej Suttner", „List otwarty Polaka do ministra rosyjskiego", „Ankieta o wywłaszczeniu", „List do Wilhelma", „Odpowiedź na artykuł Björnsona").

To była już jednak polityka i w tym tkwi słabość argumentu usiłującego naiwnie uchylić problem sił i tendencyj wpływających na decyzję jury fundacji Nobla. Sprawą polityki, polityki kulturalnej jest wybór dzieła czy twórczości, a więc zespołu wartości kulturalnych, które mają reprezentować później naród we wszystkich niemal cywilizowanych społeczeństwach. Ale czy tylko sprawa polityki kulturalnej? Przyjrzyjmy się dziejom kariery „Chłopów" Reymonta.

III.

Kiedy na wiosnę 1918 roku Akademia Umiejętności w Krakowie przedstawiła Szwedzkiej Akademii kandydaturę Władysława Reymonta, jego powieść stała już nieśmiało u progu europejskiej kariery dzięki tłumaczom i krytykom głównie polskiego pochodzenia, usiłującym puścić „Chłopów" w obieg międzynarodowy.

Przełomową rolę w tej dziedzinie odegrał niemiecki przekład „Chłopów" dokonany przed 1914 r. przez Jana Kaczkowskiego (ps. Jean Paul Ardeschach). Zaważył on nawet na opinii francuskiej, czego dowodem jest z roku pierwszej wojny światowej pochodzące studium szwajcarskiego krytyka piszącego po francusku, Maurycego Muret'a opierającego się na tym przekładzie.

Firma wydawnicza E. Diederichsa w Jenie otwierała tłumaczeniem „Chłopów" serię powieści dających obraz współczesnego życia i duszy chłopów pod różnymi szerokościami geograficznymi. Miał to być — jak głosiła pedantyczna zapowiedź — źródłowy materiał dla studiów ludoznawczych. Dokładniej może zorientować w ogólnokulturalnym charakterze imprezy wobec pokrewnych zjawisk literackich refleksja wspomnianego wyżej Muret'a zamieszczona w drugim tomie jego **Contemporains ètrangers** (Lozanna 1914):

„M. Reymont est **idèaliste.** Les paysans de Zola vivaient comme des bêtes et se complaisaient dans leur ignominie. Ceux du romancier polonais ne ménent pas une vie sensiblement plus vertueuse, mais ils distinguent encore entre le vice et la vertu. Ils n'ont pas pour seul dieu la matière. Par l'âme ils sont restés chrètiens".

Wzmiankę Muret'a o idealiźmie Reymonta, wzmiankę tak doskonale odpowiadającą podstawowemu warunkowi, jaki stawia fundacja pisarzom, uzupełniają w dziejach recepcji **Chłopów** na gruncie europejskim w przededniu wojny światowej głosy krytyki niemieckiej, która zgodnie z intencjami wydawnictwa wpisuje w utwór przyszłego laureata wszystkie swe marzenia o pierwotności, rasie, ziemi i instynkcie, marzenia o chłopie-człowieku wiecznym — tak nam znane z późniejszej koncepcji **Blut und Erde.**

Płacze się w tych głosach nutka zazdrości, że to właśnie Polak napisał dzieło tak doskonale odpowiadające upodobaniom i głodom umysłowym Niemców.

W takiej konstelacji obiecująco brzmiała, niemal jak propozycja polityczna, uwaga jednego z krytyków (Jentsch) na marginesie recenzji „Chłopów".

„Czyliż to nie smutna **fatalność** — pisał ów krytyk — że dwa sąsiadujące z sobą narody, które mogłyby tak pięknie siebie dopełniać, Niemcy i Polacy siebie nienawidzą?!"

IV.

Propozycja zawarta w wypowiedzi Jentscha nie była tak bzdurna jakby mogło się wydawać. Odpowiadała ona w okresie pierwszej wojny światowej dość rozpowszechnionym w pewnych kołach Europy koncepcjom politycznym.

W próbach czynionych w r. 1918 przez Akademię Umiejętności w Krakowie, próbach pozyskania opinii szwedzkiej dla polskiego kandydata znaczną rolę odegrały postacie ze świata naukowego i literackiego: historyk, profesor uniwersytetu w Upsali Harald Hjärne oraz p. Ellen Key.

Prof. Hjärne nie robił nadziei na przyznanie Polakowi podczas trwania wojny nagrody Nobla, widzianoby w tym bowiem manifestację polityczną niedogodną dla neutralnej Szwecji. W kogo byłaby ta manifestacja wymierzona na początku roku 1918, łatwo się domyślić z sytuacji na naszym teatrze wojennym i politycznym. Nie znaczy to, by prof. Hjärne był Polsce i Polakom nieżyczliwy.

„Niechętny Rosji, sympatiami dla Niemiec przejęty... zarzucał Polsce sprzeniewierzenie się misji dziejowej, upadek naszego państwa tłumaczył anarchią urządzeń państwowych, nietolerancyjnym katolicyzmem i uciskiem chłopów przez szlachtę".

Na dziś „dał do zrozumienia, że tzw. austrofilska orientacja Polaków wydaje mu się usprawiedliwiona i politycznie celowa".

Co do p. Ellen Key to snuła ona — czytelnik osądzi — bardzo podobne refleksje polityczne, jakkolwiek stanowisko jej było w wielu punktach mniej jednoznaczne.

Dręczona obawami przed narodem rosyjskim, który „określa jako wielkiego zaprzeczyciela i niszczyciela" zachodniej cywilizacji, nawet po ewentualnej rewolucji nie spodziewała się zasadniczej przemiany rosyjskiego ludu i zażegnania tego, co sformułowała jako „niebezpieczeństwo slawizmu" i oczekiwała wyłonienia się z wojny „nowego porządku", a to pod postacią ogólnoeuropejskiego związku przeciwstawionego Rosji i Azji. Na straży porządku i kultury stanęłyby naówczas zdemokratyzowane Niemcy razem z Anglią, Francją, Włochami na Zachodzie, a na Wschodzie z nowoutworzonymi państwami: Finlandią, Polską, Ukrainą i bałtyckimi krajami.

Jak wiadomo kandydatura Reymonta w r. 1918 przepadła, zdystansował go mniej ryzykowny Pontoppidan, ale trud podjęty na gruncie szwedzkim przez Polaków nie poszedł na marne. Jeszcze w tym samym roku ukazał się tam szkic, poświęcony twórczości Reymonta, pióra prof. Bööka, osobistości mającej w decyzjach Szwedzkiej Akademii głos niemal rozstrzygający.

V.

Tu wkracza na arenę główny reżyser budującego widowiska, główny, jakkolwiek nie jedyny, nie odosobniony.

Jego zapatrywania społeczne i polityczne są właściwie poglądami „polityków i publicystów skupionych koło **Svenska Dagbladet,** dziennika konserwatywnego, który podczas wojny nie popierał wprawdzie namiętnych postulatów prawicowej młodzieży z tzw. aktywistycznych organów **Det Nya Sverige i Svensk Lösen,** skrupulatniej też przestrzegał tonu neutralności aniżeli **Stockholms Dagbladet** (nie mówiąc już o **Nya Dagligt Allenhanda i Aftonbladet**), nie mniej nie próbował ukrywać swych gorących sympatii dla Niemiec. Böök otwarcie przyznaje się do uczuciowej i rozumowej przyjaźni dla Berlina, Monachium i Wiednia. Jego **Resa till Tyskland** zawiera ustępy, przywodzące na pamięć prusofilskie uniesienia Svena Hedin'a w książce **Krieget mot Ryssland.** Opis podróży po środkowej Europie, przekształconej w myśl traktatu wersalskiego, owiany jest smutkiem i zaprawiony oburzeniem, a ostatnią stronicę tomu wypełnia wizja przyszłej hegemonii odrodzonych Niemiec..."

Dodajmy pokrótce, że Polsce i Polakom ten człowiek był niechętny, „nie wierzył w zdolność organizacyjną Polaków", ślepo natomiast wierzył w altruistyczną misję Niemców, „oswobodzicieli ujarzmionych narodów", jak pisał w swej wyd. w r. 1916 **Resa till Tyskland ach Polen.** Uważa także, że „Polska musi w tej czy innej formie oprzeć się o Austrię i Niemcy".

Coprawda w cztery lata później (1922) zdanie nieco zmienił, ale znamienne, że raził go „imperializm" **Wiatru od morza** i „nacjonalizm" **Urody życia** Żeromskiego.

Otóż ten człowiek oświadczył niedwuznacznie:

„Niestety nowa Polska — mówią nam o tym rozmaite znaki — zwiększy jeszcze tarcia i konflikty w Europie wschodniej, chociażby nad ich usunięciem przeróżni mędrcy, zapatrzeni w tradycje tysiącletniego państwa, biedzili się i pracowali".

W sześć lat po wypowiedzeniu tych słów Böök najwalniej przyczynił się do przyznania nagrody Reymontowi.

Czyżby w poglądach jego i jego współtowarzyszy na Polskę i Polaków nastąpił biegunowy zwrot? A może to raczej tematyka i walory estetyczne nagrodzonego utworu przeważyły szalę uprzedzeń politycznych?

Jakoż istotnie nie trudno doszukać się w zapatrywaniach Bööka na chłopa oraz na to, co jest piękne — pokrewieństwa z Reymontem.

Jest tylko nieco bardziej bezpośredni — a może tylko naiwny — w określaniu swej osobistej pozycji socjalnej, od autora „Chłopów", który nim przyszedł okres zbratania się z „Piastem" chętnie stroił się w piórka szlacheckiego pochodzenia.

Miarę jego naiwności zyska czytelnik przez zestawienie tego, co mówi Böök, intelektualista, filar konserwatyzmu szwedzkiego o swym pochodzeniu, z jego poglądami na chłopa.

„Nie mam najmniejszego powodu solidaryzować się z interesami klas posiadających i kapitalistów. Ani przez chwilę nie myślę zaprzeczać mego skromnego pochodzenia od rzemieślników i chłopów. Wyrosłem w środowisku biednych ludzi..." (**Resa till Konstantinopol**).

„O chłopach powiedzieć można to samo, co o bohaterach sag islandzkich: są powolni w myśleniu i powolni w uczciwości, zamknięci, milczący. Nie umieją wyrazić w słowach, co dzieje się w ich duszy i biedzą się sami długo, zanim dojdą do zrozumienia własnych pragnień i mniemań. Ale w momencie decydującym natura ich wybucha z błyskawiczną chyżością i działają wówczas z konsekwencją i siłą — które genialnymi nazwać wypada — a ich głęboki patos, potężne i na wierze oparte uczucia uzewnętrzniają się w pełnych znaczenia i treści, chociaż prostych zdaniach. Poczucie prawa i rzetelność — oto zasadnicze cechy charakteru chłopów. Problemy sumienia — oto temat ich rozmyślań. Jeżeli zaś są skąpi w wyrażaniu swych sądów, to pochodzi ta małomówność stąd właśnie, że trwożliwie dbają o to, aby decyzje ich były sprawiedliwe i zgodne z nakazem ich dumy i honoru" (**Sveriges moderna litteratur**).

VI.

A co jest piękne?

Melancholia, raj za utraconym rajem sielankowej przyrody i sielankowego człowieka przenika słowa Bööka, gdy mówi:

„Stoimy wszyscy nad granicą nowej epoki. Internacjonalna kultura wdziera się każdego dnia w niwy szwedzkie, z kominami fabryk i hałasem maszyn, z nowymi brutalnymi ideami i dążeniami, nowymi obyczajami odartymi z piękna i świętości, z nową wiarą wyzutą z wszelkiej poezji i tradycyjnych symbolów, z nowymi przesądami, w których nie ma ani lotnej wyobraźni ani estetycznych nastrojów. Pejzaż szwedzki umiera w naszych oczach... W ostatnich dziesięcioleciach zbiera się z pietyzmem i pośpiechem resztki naszej narodowej kultury chłopskiej. Dzieje się z pamiątkami po dawnej ludowej tradycji to samo, co z religiami: jak długo żyją i rozwijają się zdrowo — są **prawdziwe,** gdy zbliżają się ku śmierci, — stają się **piękne...**" (**Svenska moderna litteratur**).

Nie ulega chyba wątpliwości, że Reymont przewyższył nadzieje Bööka, na utwór, w którym by zaklęta została przemijająca barwność chłopskiego bytowania. Wydobył i wystylizował wszystkie archaiczne i zanikłe pod wpływem miasta odrębne cechy kultury wiejskiej i regionalnej. Chłop lipecki został pokazany jako „człowiek wieczny", związany nierozerwalnymi węzłami z ziemią i wpleciony w procesy i święty rytm cyklicznych przemian natury. Intencją autora było obnażyć krzepkie i zdrowe, w przeciwieństwie do zgnilizny toczącej miejską część narodu i ludzkości — korzenie człowieczego bytu. Była to swoista recepta kulturowa na odrodzenie ludzkości.

„Chłopów" uwieńczono w kraju, gdzie o wsi pisze się ze szczególniejszym upodobaniem, gdzie od **„Odalbonden"** Eryka Gustawa Geiler'a poprzez idylle Almqvist'a i Runeberg'a ciągnie się długi szereg opowieści o życiu ludu, gdzie powstały takie książki o chłopach jak **„Hemsöborna"** Strindberga, **„Fattigt folk"** Geijerstam'a, **„Jeruzalem"** Selmy Lagerlöf, gdzie wreszcie kwitnie bujna „regionalistyczna" literatura i gloryfikacja prowincji w poezji Fröding'a i Karlfeldt'a, w prozie Pelle Molin'a, Alberta Engeström'a i tylu innych. **Svenska Akademien** to poniekąd twierdza ludzi, którzy wpatrzeni w tradycje szwedzkiego Storhetstiden, w chłopie chcą widzieć kontynuatora myśli dziejowej, spełnianej ongiś przez królów i zastępy zbrojnej szlachty.

Rządy w dzisiejszej Szwecji w inne przeszły ręce. Przyszłość niepewna. Industrializacja kraju osiąga potężne postępy, żywioł robotniczy rwie się do władzy. Akademia Szwedzka broni jednak odważnie swych poglądów: w **„Chłopach"** Reymonta, podobnie jak kilka lat temu we wspaniałym **„Błogosławieństwie ziemi"** Hamsuna uczciła własną wiarę w społeczną misję żywiołu chłopskiego".

W perspektywach spenglerowskiego „zmierzchu Zachodu" oglądali później „Chłopów" w interpretacji Tadeusza Zielińskiego brunatni Niemcy, którzy usiłowali ziścić marzenie swoich skandynawskich pobratymców o hegemonii Niemiec, wyznaczając nam w oparciu o Wielką Rzeszę zaszczytną rolę europejskiej kolonii.

VII.

Wrzód społeczny sprawy chłopskiej w Polsce groźnie nabrzmiewał, domagając się zdecydowanych zabiegów chirurgicznych, nie zaś ziemiańskiego plasterka pseudo-reformy.

Wieś dusiła się z braku ziemi i nadmiaru ludności bezrobotnej. Około roku 1924 sytuacja była zbyt wyraźna, żeby mogły istnieć wątpliwości co do konieczności podjęcia stanowczych kroków ze strony chłopskich ugrupowań politycznych w kierunku uzdrowienia stosunków. Literatura mogła odegrać doniosłą rolę w mobilizacji opinii publicznej na tym odcinku.

Tymczasem stronnictwo chłopskie „Piast" uznało, forsując kandydaturę Reymonta do nagrody, że pisarzem, którego twórczość najbardziej odpowiada sytuacji chłopa polskiego w nowym państwie i w świecie, potrzebom i głodom tej klasy — jest autor „Chłopów" nie zaś Żeromski.

Takie oto są kłopotliwe konsekwencje europejskie „Piasta", obejrzane z perspektywy nagrody Nobla, przyznanej Reymontowi.

POSŁOWIE

Kiedy przeglądam to, co napisałem — nabieram przeświadczenia, że może mi to być poczytane za nagonkę zagorzałego marksisty na zmarłego i nie pozbawionego zasług pisarza. Ostatnie moje zdanie brzmi jak uświęcona w dowodzeniach matematycznych Q. D. E. Tak nie jest. Chciałem się tylko podzielić z czytelnikami wrażeniami z lektury świetnej książeczki prof. Stanisława Wędkiewicza (**Chłopi Reymonta w Szwecji. Dokoła literackiej nagrody Nobla z 1924** — Kraków 1925 s. 60) usiłując po amatorsku wychwytać to, czym winien zająć się socjolog. Z książki prof. Wędkiewicza pochodzą prawie wszystkie informacje i cytaty zużytkowane w mym sprawozdaniu.

Anna Kamieńska

List z Poznania

Widzisz tego jegomościa w żółtym, słomkowym kapeluszu, jak wyciąga szyję w stronę niebywałej długości ogórków holenderskich i stosu białej i czerwonej kapusty? Długo prowadzę wzrokiem czubek tego kapelusza, aż ginie w przepływającym tłumie. Przypomniał mi on jeden z pierwszych literackich szkiców Bolesława Prusa — reportaż z warszawskiej wystawy rolniczej — farsową fabułą, treścią dziennikarską i już świetnym realistycznym opisem. Prus opisywał wtedy modne brzuchy, opięte w żółte kamizelki i cały żurnal Saskiego Ogrodu, tak jak malarz robi martwą naturę.

Taką wielką „martwą naturą" jest to, co wystawiono do oglądania na Targach Poznańskich. Widzę je poraz pierwszy i to wyjaśni moje naiwne dziwienie się instytucji o tak trwałej tradycji jak „wielkie jarmarki". Tylko kiedy Ty, Wiesławie, pisałeś o tych tradycjach w zeszłym roku, kiedy jechałeś do Poznania, to jako człowiek z głową ekonomiczną i — co tu gadać — niezaprószoną bardzo reminiscencjami literackimi. Co może na wystawie zobaczyć humanista, platoniczny, bezinteresowny gość, mający w kieszeni nie wiele więcej pieniędzy, jak na bilet powrotny do domu?

Zewnętrzna pstra taśma przedmiotów, przesuwająca się przed oczami zwiedzających to dla nas zrazu jakiś dziki jarmark wyobraźni, przypominający z zewnątrz ten, który Miłosz pokazuje nam u Pabla Nerudy. Zorganizowana przemoc rzeczy okleja masłem oczy. Tego studenta, który studiował ciekawie maszyny w I pawilonie i zapisywał coś w notesie, spotykam teraz, jak przebiega z tępym wzrokiem i wyraźnie szuka już dla umysłu podniety wyższego rzędu: ratunku jakiejś przewodniej myśli.

Zresztą oszomienie to ma dwa powody. Jednym jest jarmark rzeczy, drugim menażeria zwiedzających. To słowo bynajmniej nie w ujemnym znaczeniu, a dla przeciwstawienia „martwej naturze". Wystawiono towary i wystawiono na próbę wzajemnej konfrontacji wszystkie niemal przeróżne grupy ludzkie. Można by je określić nawet ze względu na stosunek do towaru.

Przebiegają studenci, technicy, fachowcy różnych działów produkcji. Ci oceniają trafność jakiejś maszynowej inowacji, dziwią się jednej właśnie śrubce, interesują się wystawą ze względu na proces produkcji. Ci są może najbardziej pozytywni i to, co mogliby powiedzieć — najbardziej rzeczowe, przekonywujące. Humaniści lubią słuchać byle zduna, gdy opowiada o swym rzemiośle. Zaspakaja w ten sposób ich tęsknotę do metody — ciągle w naukach humanistycznych niedość ścisłej. Niechże pan nie czaruje swoją wątpliwą i prywatną historiozofią — chciałoby się powiedzieć komuś — skoro umie pan mówić o mieszaninach koloidalnych i produkcji sztucznego jedwabiu. Przy tym nazwy np. kopalin jugosłowiańskich, na których się ktoś rozumie, mogłyby już zastąpić poetycką rekwizytornię banału. Kocham się w rzeczownikach, a tu suną pełne wielorakiej treści: cynk, piryt, molibden, syderyt, limonit, magnezyt, banksyt, bizmut, antymon i hematyt.

Inni są kupcy, ludzie „prywatnej inicjatywy", znawcy towaru od strony ceny i wartości nabywczej. Wiedzą co oglądać i dążą prosto do swego interesu.

Są i obywatele, jacyś bardzo nowego, współczesnego gatunku patrioci, którzy przybywają cieszyć się z osiągnięć naszej gospodarki, z pięknego, imponującego pawilonu włókiennictwa polskiego. No, nie jest u nas najgorzej — powiadają. Sfera życia gospodarczego, produkcji przemysłowej nie wydaje się nawet t. zw. reakcjonistom — czymś tak bardzo związanym z ustrojem, aby nie można było pochwalić. No, Polacy umieją pracować, jesteśmy Polakami.

Są wycieczki robotników, żołnierzy, dzieci szkolnych. Odbijają od samotnych włóczęgów wystawowych. Jest coś z dobrego obowiązku, z pracy i karności — w ich grupowym przeglądzie targów. Ci przynajmniej nie dla samych wrażeń.

Jest natomiast także gatunek eleganckich turystów, jakaś publiczność z badów, ludzi patrzących na wystawę poprzez chęć posiadania, zgorzkniałych, jeśli zamiłowaniu do własności nie towarzyszy możność realizacji, rozkosznych i podnieconych, gdy spodziewają się, że wśród nich, w ich sferze zostanie rozdzielony w procesie handlowym wymiany, zapas najlepszych i najkosztowniejszych przedmiotów.

Snują się księża z białymi obrożami sztywnych kołnierzyków, inwalidzi, sekretarze powiatów, panie demonstrujące modę wiosenną tego roku, dzieci z wypiekami na policzkach i szoferzy przybyłego starosty, dawne dziedziczki, wszyscy, których trzeba by zaprosić, aby zamieszkali w naszych wierszach, koledzy, zamiast sakramentalnego „człowieka".

Pawilon Związku Radzieckiego jest pierwszym, do którego się wchodzi, ponieważ leży najbliżej wejścia. I potem, gdy się już zobaczy i tkaniny polskie i szwajcarskie zegarki i czeskie chemikalia i skóry, włoskie maszyny biurowe, bułgarskie dywany, olej różany, jugosłowiańskie zioła, drzewo i metale, belgijskie obrabiarki, holenderskie kalafiory i bambusy, szwedzką stal, meksykańską bawełnę, węgierskie traktory — dopiero wówczas odczuwa się pragnienie powrotu do pierwszego pawilonu, bez względu na to — czyj.

Jest tu coś zupełnie odmiennego od innych dalszych pawilonów zagranicznych, coś, co dla nas mogłoby się stać właśnie przewodnią ideą wystawy, a co jednak trzeba dopiero wydreptać przez godzinne wędrówki wzdłuż hal wystawowych.

W tym pierwszym pawilonie, wysokim bębnie o wielkich oknach ozdobionych przezroczami, na których przedstawiono pracę — stoją z jednej strony maszyny, a w środku niby w rzucie fizycznym — ideologia i kultura, sens produkcji. Żaden inny pawilon poza jeszcze polskim włókiennictwem nie pokazał prócz towaru — człowieka, twórcy gospodarczych osiągnięć, robotnika, żaden prócz sowieckiego nie połączył kultury i ideologii, na której opiera się państwo z pokazem produkcji.

Nie wiemy, kto i dla kogo zbiera bawełnę w Meksyku. Murzyni dla białych, może biali niewolnicy dla farmerów. Nie wiemy, którędy bambus i guma staje się produktem holenderskim, może powinno tu widnieć imię jakiegoś innego, „dzikiego" narodu.

Widzimy natomiast w polskim dziale włókienniczym twarze robotników, tkaczek, przodowników pracy.

Widzimy w powilonie sowieckim wykresy ilustrujące wzrost i plany produkcji przemysłowej, ilości szkół średnich i wyższych i młodzieży studiującej, rozwój instytucji kulturalnych, podobizny robotników przemysłu, nauki, sztuki i literatury.

Na targach międzynarodowych — powiedzieliby wielcy handlarze — nie obchodzi nas ilość szkół. Tego się nie kupi. Nie obchodzi nas dynamika i entuzjazm tkwiący w wykresach rozwojowych i planach. Ważny jest sam towar, rzecz, to co jest do kupienia natychmiast, to czym można zagrozić rynkom.

Toteż przesuwając się po wystawie aż ku hali prywatnego przemysłu i rzemiosła, gdzie krawaty męskie plączą się wśród monstrancji i ornatów kościelnych, gdzie pod lakierowanymi bryczkami stoją nieśmiałe ludowe garnuszki i wygięte wyzywająco pantofelki z wężowej skóry, czujemy, że zapadamy się coraz głębiej, w towar i że potem z ciężkiej, wielkiej produkcji kapitalistycznej grzęźniemy w miale drobnomieszczaństwa. Tu są już prawdziwe targi, nahalna reklama, transakcje z rączki do rączki, wesołe, nadskakujące gospodarstwo.

Piękne były te polskie perkale i gobeliny i białe ubrania dla górników, które wkrótce pokryją się czarnym, węglowym pyłem.

W pawilonie radzieckim odczuliśmy dwie może bardzo proste idee, ale zbawiające nas z „ziemskich" jarmarków bezideowego handlu kapitalistycznego.

Pierwsza to idea państwowości jako podmiotu produkcyjnego — państwowości opartej na klasie produkującej. Przemawia ta idea cytatem Lenina:

„Możemy być i jesteśmy dumni z tego, że przypadło nam w dziale szczęście rozpocząć budownictwo państwa radzieckiego i tym samym rozpocząć nową erę historii świata, erę panowania nowej klasy, uciskanej we wszystkich krajach kapitalistycznych".

Druga idea to ta, która usprawiedliwia nasz tu udział — humanistów w tłoku handlowych afer:

„Ze wszystkich cennych kapitałów świata, kapitałem najcenniejszym i najbardziej decydującym są ludzie"... (Stalin).

Zakończyłam patetycznie ten list, rozpoczęty w imię Prusa. Bo o ile Prus z dziennikarki sięgał do wielkiej tradycji powieściowej, to my, ciągle zapóźnieni w lirycznych nastrojach poeci, próbujmy — choćby z trudem — publicystycznych prawd i zapałów.

„Polonistyka"*)

„Spośród wszystkich zabiegów i prac podejmowanych przez władze oświatowe Odrodzonej Rzeczypospolitej nad zbudowaniem nowej, demokratycznej, ludowej oświaty niewątpliwie na pierwsze miejsce wysunąć należy prace nad przygotowaniem, dokształcaniem i doskonaleniem kadr pedagogicznych" — czytamy we wstępnej wypowiedzi nowego czasopisma dla nauczycieli „Polonistyka". „Polonistyka" reprezentuje nowy u nas typ czasopisma pedagogicznego. Zainicjowało go Ministerstwo Oświaty, wydające „czasopisma przedmiotowe, których zadaniem jest pomagać **w pracy samokształceniowej i w pracy zawodowej** nauczycielom, wykładającym dany przedmiot w szkołach różnych typów i poziomów"

Pismo, przeznaczone w równej mierze dla nauczyciela szkoły podstawowej, jak i średniej, umożliwiające nauczycielowi śledzenie podstawowego nurtu rozwoju jego specjalności, przyczyni się niewątpliwie do realizacji zasady jednolitości szkoły. Demokratyzacja szkolnictwa i zniesienie społecznego upośledzenia nauczycieli szkół podstawowych—najniezbędniejszych pracowników kultury—wymagają włączenia ich w ramy szeroko zaplanowanej i przeprowadzonej na wszystkich szczeblach przebudowy szkolnictwa, stworzenia jednolitego frontu fachowców poszczególnych gałęzi wiedzy.

„Polonistyka" adresowana jest do nauczycieli odgrywających najpoważniejszą rolę wychowawczą w systemie szkoły podstawowej i średniej. Dotychczas ukazały się dwa zeszyty pisma (styczeń — marzec 1948 i kwiecień — czerwiec 1948). Układ działów pisma pozwala na szybkie zorientowanie się w szerokim zasięgu tematów i problemów.

W dziale „Artykuły i rozprawy" znajdujemy w Nr 1-ym pracę Ewy Korzeniewskiej „Z zagadnień dzieła literackiego". Autorka szczęśliwie przełamała trudności popularyzacji skomplikowanego zagadnienia rywalizujących z sobą systemów badawczych na terenie teorii literatury: idealistycznego i marksistowskiego. Szkoda tylko, że referując stanowisko marksistowskie oparła się jedynie na pracy Timofiejewa. „Teoria literatury" Timofiejewa jest jednym z nielicznych systematycznych opracowań zagadnienia, nie jest wolna jednak od niejasności (pojęcie „obrazu") i nalotu jałowego formalizmu. Należało raczej wyciągnąć wnioski metodologiczne z istniejących prac historyczno - literackich przedstawicieli tego kierunku badań.

W Nr. 2-im J. Z. Jakubowski podaje „Materiały do dziejów Młodej Polski" — praca ta jest właściwie popularnym, lecz świeżym i bynajmniej nie wulgaryzującym ujęciem epoki literackiej ze stanowiska metody socjologicznej.

Cenny dla nauczyciela jest także dział „Programy i praktyka szkolna", przynoszący konkretne przykłady praktycznych rozwiązań problemów, nasuwanych przez programy szkolne (np J. Dembowska „Próba opracowania „Siłaczki" Żeromskiego w VIII klasie szkoły podstawowej" i M Walicka „Jak opracowałam „Maraton" w VI klasie szkoły podstawowej"). Podkreślić należy troskę o ułatwienie nauczycielowi wprowadzenia literatury współczesnej w zakres przerabianego materiału (J. Z. Jakubowski „Sprawa współczesnej literatury w szkole" J. Trzynadlowski „Analiza nowej poezji w szkole").

Dział ocen i sprawozdań umożliwia orientację w nowoczesnych publikacjach naukowych, a poprzez przegląd czasopism kontaktuje nauczyciela ze współczesnym życiem literackim.

„Polonistyka" popularyzująca najnowsze osiągnięcia nowoczesnego literaturoznawstwa i dydaktyki przedmiotu, odegra niewątpliwie ważną rolę w kształceniu nauczyciela.

mżm.

*) „Polonistyka", czasopismo dla nauczycieli, wydawane na zlecenie Ministerstwa Oświaty przy współpracy Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza; redaktor Jan Zygmunt Jakubowski. P.Z.W.S

Zdzisław Janiak

Reflektor na widownię

DOTYCHCZASOWĄ publicystykę teatralną, poza piętnem zainteresowań czysto literackich, cechowało jeszcze i to, że omawianych treści ideologicznych teatru nie wiązała ściśle z gustami grup społecznych. Jeżeli nawet w wyjątkowych wypadkach zajmowano się widownią, to zazwyczaj odnoszono się do niej jako do społeczności niezróżnicowanej klasowo, z okazji pozytywnego lub negatywnego ustosunkowania się jej do wystawianej sztuki. W latach międzywojennych nie zadawano sobie trudu obserwacji szczegółowych, które uwzględniałyby reakcje widza w zależności od jego pochodzenia społecznego i problematyki zawartej w oglądanej przezeń sztuce. Na pewno wynikało to z małego zróżnicowania społecznego przedwojennej widowni, która składała się wyłącznie, lub prawie wyłącznie, z warstwy średniego mieszczaństwa i wywodzącej się z niej inteligencji. Zarówno robotnik, z racji swego upośledzenia materialnego a w konsekwencji i kulturalnego, jak i chłop, do którego teatr nie docierał lub tylko w wyjątkowych wypadkach — w teatrze pojawiali się nader rzadko i nielicznie. Nie zajmowano się więc poważniej ani robotnikiem, ani chłopem, jako widzem teatralnym i jego wymogami a aura polityczna w Polsce sanacyjnej wręcz sprzyjała takiemu stanowisku krytyki teatralnej. I oto dlaczego dzisiaj nie posiadamy właściwego wyobrażenia o poziomie kultury teatralnej mas pracujących, a o ich gustach w tej dziedzinie decyduje się najczęściej na podstawie własnych doświadczeń, często na podstawie analogii z zakresu badań nad funkcją społeczną literatury, co w sumie prowadzi do mniej lub bardziej indywidualnych ocen. Nic dziwnego, że taka dowolność sądów wytworzyła chaos w polityce repertuarowej po wojnie.

Przykład trzech i półletniej działalności teatrów łódzkich może najdobitniej wykazać współzależność, jaka zachodzi pomiędzy charakterem teatru i składem społecznym publiczności teatralnej. Po przemianach, które się dokonały na odcinku kulturalno-oświatowym w ślad za przeobrażeniami polityczno-gospodarczymi w Polsce Ludowej — należałoby się spodziewać podobnych również i na odcinku teatralnym. Tymczasem obserwacje wykazują, że na ogół struktura społeczna widowni powojennej nie różni się od przedwojennej. Widownia teatrów robotniczej Łodzi rekrutuje się w dalszym ciągu z tych samych, co przed wojną, warstw średnich. To prawda, że warstwy te dzisiaj zmieniły swoje zawody, ale rzadko zmieniły gusta. Nic więc dziwnego, że repertuar teatrów powojennych ma wiele wspólnego z repertuarem dwudziestolecia. Głównie odnosi się to do pierwszych dwóch sezonów, tj. 1945/46 i 1946/47. Taki stan rzeczy był wynikiem z jednej strony gustów tej samej publiczności teatralnej, a z drugiej — braku odpowiedniej inicjatywy i w pewnym stopniu podporządkowania się gustom tradycyjnej publiczności teatralnej. Na tej podstawie nie trudno sobie wytłumaczyć powodzenie komedii: Zapolskiej, Pagnola, Montgomery'ego i Fauchois, a nawet istnienie wówczas skandalicznie szmirowatego teatrzyku rewiowego „Gong". Tutaj również między innymi, należy szukać powodów nieprzychylnego przyjęcia „Wielkanocy" Otwinowskiego, „Produkcji pana Brandta" Rojewskiego i „Starego dworku" Ważyka, których autorowie niedwuznacznie określają swój pozytywny stosunek do bohaterstwa Żydów podczas wojny, upaństwowienia przemysłu i reformy rolnej. „Zapotrzebowanie społeczne" publiczności teatralnej o przedwojennym obliczu musiało iść utartym szlakiem. Ale jak już wspomniałem, odnosi się to przede wszystkim do dwóch pierwszych sezonów. W ostatnim tj. w sezonie 1947/48 — widownia naszych teatrów ulega pewnemu przegrupowaniu społecznemu. Dokonuje się to na skutek opracowania planu programowego przez kierownictwa tutejszych teatrów i dzięki żywszej działalności świetlic robotniczych oraz Okręgowej Komisji Związków Zawodowych.

Jakkolwiek plan repertuarowy w bieżącym sezonie nie jest dość konsekwentnie realizowany i nadal cechuje go eklektyzm, to jednak zostały z repertuaru wyeliminowane pozycje ideologicznie obce naszej rzeczywistości lub artystycznie słabe. Jednocześnie dyrekcje teatrów wespół z OKZZ wszczęły poważną i systematyczną akcję wprowadzenia do teatru nowego widza-robotnika. Akcja ta jest pożyteczna w takim samym stopniu dla robotnika, który zaczyna bezpośrednio obcować z kulturą teatralną, jak i dla teatru. Dotychczasowe doświadczenie z zorganizowanymi specjalnie dla świata pracy przedstawieniami już dają pewną orientację, że reakcje takiej widowni są daleko ciekawsze dla aktora i reżysera. Dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że nowa widownia robotnicza jest bardziej chłonna, świeża, bezpośrednia i czuła na formy artystyczno-widowiskowe oraz grę aktora, aniżeli stara „mieszczańska". Dla nas najważniejsze jest stwierdzenie, że następuje przegrupowanie społeczne widowni. W ten sposób został osiągnięty pierwszy etap na drodze do upowszechnienia kultury teatralnej w Łodzi.

Dyskusja o nauczycielstwie

1. PRETEKST DO DYSKUSJI

Otrzymaliśmy od nauczycielki z wojew. Poznańskiego list, będący wymowną skargą na los nauczyciela w Polsce. Oto co pisze:

„Jestem starszą nauczycielką w małym miasteczku w wojew. Poznańskim. O miejscowości wiele pisać nie będę — jestem tu od lat kilku zaledwie. Pracuje nas tu w szkole powszechnej 10 sił — pracy ogromnie dużo, a wynagrodzenie niewystarczające, (ubrania, obuwia nie można kupować z poborów miesięcznych) zaledwie na życie wystarcza, a cóż dopiero, gdy są dzieci, które trzeba wyżywić, odziać, do szkoły posłać? Wszystkie prace domowe wykonywać musimy same — jak sprzątanie, gotowanie, pranie, gdyż z pensji nie opłaci się tych posług. W najgorszym położeniu są nauczycielki wdowy z dziećmi, które straciły mężów w czasie wojny i obecnie z pensji utrzymać muszą dom i dzieci, bo po mężu żadnego zaopatrzenia nie mają, chociażby był on urzędnikiem państwowym. Poczucie niższości wśród ustrojonych dam opanowuje nas całkowicie.

Jesteśmy przygnębione, obdarte, apatia ogarnia, do walki brakuje sił, a serce kraje się na widok nasz i naszych dzieci, które nigdy nie są zaopatrzone w odzież jak należy.

Każdy łaszek kupiony już nie sobie, ale dziecku, okupić musimy oszczędnościowym jedzeniem całej rodziny, co po przeżyciu okupacji z jej okropnościami, odbija się ujemnie na organizmie dzieci. A tu pracy tyle — chwili wytchnienia nie ma — 6 godz. nauki w szkole powsz. — szybki powrót do domu, gotowanie obiadu — po obiedzie powtórnie do szkoły na naukę wieczorową dorosłych, po której jest się tak wyczerpanym, że o wieczerzy nie ma siły myśleć, a przecież o lekcjach dnia następnego pomyśleć trzeba, przynajmniej 4 — 8 paczek zadań miesięcznie poprawić, a konferencje, a organizacje szkolne! I o zgrozo, jeszcze słyszy się narzekania: nauczycielstwo za mało społecznie pracuje! My z sił opadamy. Panowie! Wierzcie nam! A nasze dzieci? Czy jest czas należycie opiekować się nimi? Gdy były mniejsze, brałam je do szkoły i były ze mną w tej klasie, w której uczyłam — teraz chodzą do szkoły, a po południu i wieczorem zostawiam je u ludzi dobrej woli, gdzie, choć w mieszkaniu zimno, z ich dziećmi się bawią, wtedy gdy jestem na wieczornej nauce! A ile razy zimą było tak, że brałam je do domu napół senne i płaczące (po nauce wieczornej). W razie przedłużenia się konferencji przychodzą za mną do szkoły i usiadłszy na schodach w korytarzu czekają drzemiąc, aż wyjdę i razem udamy się do domu!

Przychodzi maj, tyle świąt — wystawa, targi w Poznaniu, a tu brak garderoby, na byle drobnostkę trzeba tysięcy, których otrzymujemy tak mało. Ze skromnych poborów oddzielamy drobny ułamek na abonowanie pism. Grono nauczycielskie czyta różne gazety, najczęściej Głos Wielkopolski, I. K. P. Ja czytam I. K. P. Głos nauczycielski, Przyjaciółkę — na więcej mnie nie stać! Ale i bez gazety nie umiem żyć“.

Czy jest to jakiś szczególny, odosobniony wypadek niezaradności życiowej i złego samopoczucia? Nie byłoby powodu do dyskusji. Tymczasem wydaje się, że dotknęliśmy tu problemu, który jest ważny nie tylko jako sprawa zawodowa pewnej grupy, ale ze względu na ogólną sytuację kulturalną, zwłaszcza na wsi, gdzie nauczyciel bywa często tą najdalej wysuniętą czujką narodowej kultury.

Zapraszamy do dyskusji nauczycieli, działaczy społecznych i młodzież przygotowującą się do zawodu nauczycielskiego.

2. „SIŁACZKI“

Widzieliśmy niedawno film radziecki „Wiejska nauczycielka“ Młoda idealistka — akcja rozpoczyna się na przełomie naszego wieku — porzuca swoje środowisko, skazuje się na dobrowolne wygnanie na Syberię, i w środowisku nawpół dzikich mużyków, gdzie szkoła nie miała dotychczas żadnej tradycji, rozpoczyna pracę oświatową. Instytucja szkoły nie istnieje, chłopi odnoszą się nieufnie i wrogo do panienki z miasta. Nauczycielka dzień po dniu rano rozpoczyna lekcje wobec pustych ławek. Nie lżejszy, nie łatwiejszy musiał być los „Siłaczki“ Żeromskiego. Obie delikatne dziewczyny, w obcym otoczeniu, które nie może się stać nawet ich przybranym środowiskiem kulturalnym, które trzeba dopiero urobić, podźwignąć. Krok jednej i drugiej, poświęcenie się pracy oświatowej na wsi ma w sobie coś z egzaltacji, coś z romantycznej ofiary. I tu i tam jesteśmy w społeczeństwie, którego organizacja nie wyznacza takiego wyboru drogi życiowej, nie powoduje samoczynnie niejako posunięć słusznych i prawidłowych. Wielkie luki tej organizacji, wielkie puste przestrzenie społeczne, nieobjęte prawem — wymagają jeszcze wypełnienia ich wartościami prywatnymi, moralnymi, wymagają wielkoduszności, entuzjazmu, ofiary, tego, co w gęstej sieci uregulowanych zwyczajów byłoby tylko miłym naddatkiem.

Lecz podczas kiedy nasza „Siłaczka“ nie wytrzymuje ciężkiej próby, umiera w całej opowieści jak w poemacie byronicznym tylko bez możliwości oddeklamowania ostatniej powszechnej spowiedzi swego życia, „siłaczka“ z filmu zwycięża, idzie coraz dalej. Film pokazuje, jak moralne walory, które musiały działać wbrew wszystkiemu, pod prąd ustroju, otrzymują w sukurs od rewolucyjnego ruchu społecznego sankcje i prawo, przestają być prywatnymi. Artystycznie filmowi nie wyszło to na zdrowie, ale przeprowadziliśmy „siłaczkę“ rosyjską przez wszystkie perypetie historii aż do chwili obecnej, gdy to uczennice jej, młode już nauczycielki obejmują po niej funkcje nauczania.

Inaczej — wchodzą, wprowadzone przez dyrektora do klasy, gdzie czekają w ławkach dzieci wezwane przez państwowy obowiązek nauczania, wchodzą nie jako ofiary własnego idealizmu, ale funkcjonariuszki państwa w zakresie wychowania.

W obu wypadkach wybrano sytuację dość charakterystyczną: wysłanniczki oświaty wywodzą się z warstwy inteligenckiej. One schodzą w lud, one deklasują się same po to, aby podnieść środowisko kulturalnie niższe. Ich samotność, brak rodziny, pogłębia się poprzez wielką samotność społeczną. Naprzeciw małej nauczycielki — stoi ciemna, ogromna masa społeczna, z którą nie łączy jej nic prócz idealizmu oświatowego, prócz tej wielkiej humanistycznej litości.

3. PRZESZŁOŚĆ NA NAS CIĄŻY

W statystyce urzędowej Min. Wyznań Rel. i Ośw. Publ. z roku 1935/6 w nauczycielstwie przeważały kobiety. Na ok. 74 tys. nauczycieli szkół powszechnych 43 tys. stanowiły kobiety, w większości niezamężne lub wdowy. Wśród kobiet nauczycielek było więcej córek rodzin średnio uposażonych i zamożnych. Tylko 30% kobiet nauczycielek to córki rolników, rzemieślników i wyrobników, a więc pochodzące ze wsi i z miasteczek. Mężczyzn natomiast w tej grupie było 70%. Stosunek odwrotny.

O ile więc dla kobiet - nauczycielek charakterystyczna była raczej deklasacja, o tyle dla mężczyzn nauczycieli, pochodzących przeważnie ze wsi i małych miasteczek zawód nauczycielski był drogą awansu społecznego.

Była to istotnie druga obok drogi „na księdza“ furtka do sfery pańskiej.

Dawne seminaria nauczycielskie i licea, które zajęły ich miejsce, były — jak pisze prof. Chałasiński — „szkołami klas niższych“. Ponieważ system szkolny nie był demokratyczny — wstępny awans nauczyciela uzyskać można było dość łatwo. Ten społeczny paradoks związany był zresztą z błędnym kołem szkolnictwa powszechnego poprzestającego w dużej mierze na szkole pierwszego stopnia, czyli o jednej i dwóch klasach. Na 27.988 szkół powszechnych w roku 1935/6 — 17.609 to szkoły pierwszego stopnia (70%). Wystarczy wziąć do ręki jeden z przedwojennych roczników „Głosu Nauczycielskiego“. Uderzy nas znacznie poważniejsza i cięższa skarga, niż ta, którą wnosi koleżanka z Poznańskiego. Skarga zbiorowa „Głosu Naucz.“ znajduje takie charakterystyczne słownictwo: katastrofa szkolna, krzywda nauczyciela, przerażające liczby — te słowa wydawały się jeszcze zbyt słabe oświatowcom z „Głosu Nauczycielskiego“. Są tu oczywiście dwie sprawy: krzywda nauczycieli czyli niska płaca, nieszczęsny paragraf 51 powodujący przenoszenie nauczycieli z różnych, najczęściej politycznych względów, przy czym nie cofano się nawet przed rozbijaniem rodzin — powód do tragedii rodzinnych i samobójstw, ograniczające śląskie prawo celibatu dla nauczycielek, a z drugiej strony tak obłędny system szkolny, że nauczyciel nie widział wyników swej ciężkiej pracy. Cóż z tego, że liczba godzin pracy zwłaszcza na wsi sięgała 12 przy przeciętnym uposażeniu miesięcznym 160—170 zł. Cóż z tego, gdy nauczyciel czytał w swoim zawodowym organie nauczycielskim: „Skutkiem braku szkoły „produkujemy“ rocznie około 80 tysięcy analfabetów całkowitych. Skutkiem fatalnych warunków pracy w szkolnictwie „produkujemy“ rocznie około 200 tys. półanalfabetów. Dodajmy jeszcze do tego około 100 tys. absolwentów szkół powszechnych I stopnia, którzy, choć ukończyli pełny kurs nauki, na skutek niskiego, już w założeniu! — poziomu nauki w tych szkołach oraz braku szkół dokształcających na wsi są w gruncie rzeczy również skazani na „powrotny“ analfabetyzm — a otrzymamy obraz przyszłego stanu kultury w naszym kraju: analfabetyzm ogarnia połowę młodego pokolenia Polski! (Adam Charszewski — „Przerażające liczby“ — r. 1937-8).

Z tym wszystkim samopoczucie społeczne i zawodowe nauczycieli w Polsce było złe. Dodajmy wyczerpujące i upakarzające walki ZNP z reżimem sanacyjnym, procesy polityczne, dyscyplinarki wewnętrzne.

Jasne jest, że siły, które powodowały wewnętrzne rozdarcie Związku i jego konflikt z państwem — to były polityczne siły kleru. Funkcje nauczycielskie były przecież kiedyś tak związane z duszpasterstwem, że jeszcze w wyzwolonej Polsce po I wojnie stworzono wspólne ministerstwo dla Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Szkoła wyznaniowa była ściśle zależna od miejscowych czynników kościelnych. Emancypacja nauczycielstwa spod tych wpływów nie mogła spotykać się z aprobatą.

Z drugiej strony państwo w ciągu 7 lat przedwojennych zmniejszyło budżet oświatowy o 33 proc. W szkolnictwie powszechnym — podaję z cytowanej już statystyki oficjalnej — było ogółem nieczynnych nauczycieli 1489. Jako powód nieczynności podawano przeważnie choroby, przy tym dotykały one częściej kobiety nauczycielki. W zakresie budownictwa szkół — państwo wysilało się na pałace szkolne na kresach wschodnich w celu polonizacji tamtych obcych ludnościowo terenów. Stan budownictwa szkolnego był według określenia „Głosu Naucz.“ katastroficzny. Oto dowód na to, że i polityka zagraniczna państwa nie pozostaje bez wpływu na politykę oświatową.

W tej sytuacji istotnie tylko czynniki emocjonalne mogły utrzymywać nauczycieli przy zawodzie. Coraz ostrzejszy stawał się problem ucieczki od zawodu nauczycielskiego.

Seminaria nauczycielskie będące „szkołami klas niższych“ były zamkniętymi, ślepymi uliczkami, z których nie było wylotu do wyższych studiów. Jeśli szkoły wiejskie produkowały półanalfabetów, to seminaria z pewnością mogły się szczycić produkcją półinteligentów. System licealny kształcenia nauczycieli znosząc do pewnego stopnia upośledzenie kandydatów do zawodu nauczycielskiego, utrudniał dostęp do niego, tym bardziej, że licea pedagogiczne rozsiane były po kraju rzadko. Poza tym jednak licea pedagogiczne dobudowane do ogólnokształcącego gimnazjum przedwojennego nie zachowały ideologicznych tradycji seminariów — „szkół klas niższych“, lecz kontynuowały bezideowe wychowanie gimnazjum ogólnokształcącego. O ile w innych zakładach naukowych młodzież radziła sobie bez tego czynnika ideologicznego, społecznego, o tyle dla młodzieży przygotowującej się do zawodu nauczycielskiego, do bądź co bądź niełekkiej służby, zwłaszcza na wsi — ten brak, w którego miejsce postawiono kult dla „wielkiego marszałka“, dawał się odczuwać dotkliwie. Zbyt długo karmiliśmy się idealizmem postaci Żeromskiego, brakowało konkretniejszych ideałów. Nikt z nas nie marzył już o samotnym bohaterstwie „Siłaczki“.

Ten czarny, choć pewno nie nazbyt czarny obraz niedawnej przeszłości stanu nauczycielskiego w Polsce będzie nam potrzebny dla zorientowania się w sytuacji obecnej. Nie wynikła ona sama z siebie. Przeważnie ci sami ludzie tworzą dziś oświatę w Polsce. Lata wojny nie przyczyniły się do rozjaśnienia obrazu, lata po wojnie nie wpłynęły decydująco na zmianę społecznego samopoczucia nauczycieli, jeśli uznamy list naszej nauczycielki za typowy. Powinniśmy więc przystąpić do dyskusji z tym listem, sprawdzić, o ile usprawiedliwione jest załamanie wewnętrzne i rezygnacja, jakie w liście znalazły wyraz.

3. NA NAJDALSZYCH POZYCJACH USTROJU

Stefan Żółkiewski w swoich „Rozważaniach nauczycielskich“ („Książka“ 1946), zajął się bliżej problemem sytuacji materialnej szkolnictwa i uposażeń nauczycielskich. Czujemy się zwolnieni od powtarzania za Żółkiewskim liczb, które wykazują dbałość państwa o oświatę. Budżet resortu oświaty znajduje się na drugim miejscu po Min. Obrony Narodowej. Liczba szkół powszechnych dosięga już stanu przedwojennego, powstały nowe typy szkół, jak szkoły gminne rolnicze. Większa ilość szkół dla dorosłych i gimnazjów wiejskich — to oczywiście większa ilość godzin pracy, na co uskarża się autorka listu, ale jednocześnie lepsza gwarancja trwalszych społecznych rezultatów nauczania początkowego.

Wzrosła wyraźnie liczba zakładów kształcenia nauczycieli. Jest truizmem, że sytuacja materialna nauczycieli zależna jest ściśle od ogólnej sytuacji gospodarczej w kraju, że jak pisze Żółkiewski — warunki pracy nauczycielstwa to „odcinek ogólnego frontu walki o normalizację polityki płac w kraju“.

Dr. Tadeusz Landecki



Dr Tadeusz Landecki

Dr Tadeusz Landecki urodził się 7 sierpnia 1904 r. w Łodzi, jako jedyne dziecko kupca leśnego Rafała i zasłużonej kierowniczki szkoły powszechnej Eweliny z Łaskich. Ukończył Szkołę Handlową Kupiectwa Łódzkiego przy ul. Narutowicza 68, gdzie dziś mieści się Uniwersytet. W roku 1920, będąc uczniem i licząc zaledwie 15 lat, wstąpił jako ochotnik do wojska. Po wojnie zakończył nauki średnie, uzyskując maturę i poświęcił się studiom humanistycznym na Uniwersytecie Warszawskim. Niezależnie od tego osiągnął trzeci dyplom Szkoły Nauk Politycznych.

Młodo stracił ojca i z „wychuchanego“ jedynaka przemienił się w troskliwego opiekuna ukochanej matki. Po uzyskaniu stopnia doktora filozofii i magistra praw poświęcił się zawodowi profesora gimnazjalnego w Łodzi, pracując w Społecznym Gimnazjum Męskim przy ul. Pomorskiej 193. Tam wykładał od r. 1926 do 1940, kiedy zmuszony został okolicznościami do wycofania się ze szkolnictwa średniego. Obok tej pracy obejmuje około 1930 roku asystenturę przy katedrze historii Polski nowożytnej na Wolnej Wszechnicy w Łodzi, prowadząc proseminarium i wykłady zlecone. Od r. 1927, tj. od założenia Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w Łodzi, brał w jego pracach czynny udział, pełniąc od r. 1932 do 1936 i od r. 1945 do 1948 czyli przez lat 7 funkcje sekretarza. Na posiedzeniach naukowych T-wa wygłosił następujące odczyty: „Warszawa w czasie okupacji austriackiej 1809 r.“ (czerwiec 1929) i „Francja a Polska w roku 1863“ (styczeń 1932). Uczestniczył też w naradach Sekcji Dydaktycznej T-wa jako recenzent podręczników historii.

Poza działalnością naukowo-społeczną w Polskim T-wie Historycznym dr Landecki z zamiłowaniem uprawiał publicystykę, zamieszczając artykuły w łódzkiej prasie: w „Prawdzie“, „Republice“, „Kurierze Łódzkim“. W latach 1930—1939 wyjeżdżał zazwyczaj w czasie wakacji zagranicę w celach naukowych, gromadząc materiały do pracy o sejmie 1831 r. Eskapady archiwalne zazębiały się o podróże turystyczne, skąd poszła gruntowna znajomość Europy Północnej i Środkowej, Algieru, Egiptu aż po Assuan, wreszcie Syrii i Ziemi Świętej. Temu zamiłowaniu do turystyki towarzyszyła gruntowna znajomość języków nowożytnych: rosyjskiego, czeskiego, angielskiego, francuskiego, niemieckiego i włoskiego.

Lato 1939 roku spędził na studiach w bibliotekach i archiwach paryskich. Po wielu perypetiach przedostał się do kraju poprzez Niemcy, tętniące już głuchą wrzawą wojenną i wylądował w kraju pierwszego dnia po wybuchu wojny. Zaczął pracować w Łodzi, w dawnym gimnazjum, wykładając do lutego 1940 roku, po czym wraz z ukochaną matką wyjechał do Warszawy. Warunki bytowania były ciężkie i pogarszały się z każdym dniem. Dr Landecki musiał ukrywać przed Niemcami siebie i matkę, zmieniać nieustannie miejsce zamieszkania i głodować nieraz całymi miesiącami. Dopomagali mu w tej ciężkiej chwili życia przyjaciele z Łodzi: dyr. Waszkiewicz i prof. Lorenz. Mimo tak trudnych i niebezpiecznych okoliczności dr Landecki nawiązał stały kontakt z ruchem oporu, prowadził systematyczny podsłuch radiowy i dostarczał streszczeń dla redakcji Biuletynu Informacyjnego A. K., wykładając jednocześnie na tajnych kompletach. Poznali go jednak na ulicy jacyś granatowi policjanci z Łodzi i zaczęli szantażować.

W kwietniu 1943 roku, aresztowany na ulicy, został wywieziony do Majdanka, skąd jednak po sześciu tygodniach udało mu się zbiec. W kuchni bowiem pracował jego uczeń, który dopomógł do zaliczenia Dr Landeckiego do ruchomych kolumn roboczych, wychodzących normalnie poza obręb obozowy. Po powrocie do Warszawy wznowił swą tajną działalność i stracił nieoczekiwanie matkę. Przeżycia dotychczasowe odbiły się na zdrowiu dr Landeckiego. Powstanie zastało go obłożnie chorego po pierwszym wtedy zawale serca. Przyjaciele ulokowali go w szpitalu św. Rocha, pod nazwiskiem Bieleckiego. 4 sierpnia Niemcy podpalili Nowy Świat i sąsiednie domy. Szpital św. Rocha ewakuowano do szpitala Wolskiego. Dokonali tego sami Niemcy, którzy stali na dziedzińcu Uniwersytetu. Po kapitulacji Warszawy szpital Wolski ewakuowano do Grodziska. Tam po wkroczeniu oddziałów armii radzieckiej i polskiej dr Landecki został wyzwolony i przeniósł się w lutym 1945 roku do Łodzi na stanowisko profesora historii w dawnym gimnazjum, a jednocześnie objął starszą asystenturę przy katedrze historii powszechnej nowożytnej na Uniwersytecie Łódzkim. Na tym stanowisku brał udział w opracowaniu podręcznika historii na klasę VIII pod redakcją prof. dr N. Gąsiorowskiej, napisał pracę pt.: „Wiosna Ludów w krajach niemieckich i na Węgrzech“ do 5-tomowego wydawnictwa monumentalnego, oraz inne dla Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza“, „Czytelnik“, „Wiedza Powszechna“, zamieszczał liczne artykuły o treści politycznej, społecznej, gospodarczej i kulturalnej w „Tygodniku Demokratycznym“, w „Dzienniku Łódzkim“, w tygodniku „Wieś“, pisał recenzje dla Ministerstwa Oświaty (komisja ocen książek szkolnych), współpracował z wydawnictwem encyklopedii pod redakcją prof. dr Muszkowskiego.

Na Uniwersytecie Łódzkim prowadził proseminarium z historii powszechnej nowożytnej oraz miał wykłady zlecone o Komunie Paryskiej.

Jako człowiek był Europejczykiem w każdym calu z wykształcenia i usposobienia; znał świetnie literaturę historyczną XIX wieku, zwłaszcza francuską, ale również niemiecką i angielską. Był człowiekiem wysokiej etyki i dużej równowagi duchowej, daleki od wszelkiego karierowiczostwa i zaprzaństwa. Był demokratą w czasach złych i dobrych i nigdy nie zmieniał swych przekonań. Zawsze szlachetny, ofiarny, bezinteresowny, skromny, mimo rozległej wiedzy jaką posiadał. Należał do tych ludzi nauki, którzy z niebywałym zapałem podnieśli się z martwoty okupacyjnej do mozolnej pracy badawczej nad dziejami polskiej myśli demokratycznej, którą chcieli natchnąć młode pokolenie akademików. Dr Landecki umiłował w szczególności młodzież robotniczo-chłopską, jej poświęcił najwięcej starań i wysiłku naukowego i pedagogicznego. Los chciał, że swe życie ciche i pracowite zakończył w gronie tej młodzieży, czytając na seminarium fragment swej pracy o Wiośnie Ludów w Niemczech. Zmarł na oczach słuchaczy w dniu 19 kwietnia 1948 roku o godzinie 18 min. 15.

Włodzimierz Dzwonkowski

Jeśli jednak nasza korespondentka pisze o „poczuciu niższości wśród ustrojonych dam“, jakie ogarnia nauczycielki w małym miasteczku — to chodzi tu o coś jeszcze innego: jest w tym zawarte odczucie krzywdy, nierówności społecznej, a także pojęcie stylu życia, stylu kultury, do którego się pretenduje.

Środowisko małego miasteczka, środowisko drobnomieszczańskie mogło łatwiej niż inne wpłynąć na takie ujęcie społecznej struktury w kategoriach krzywdy. Tu, w miasteczku, najbujniej krzewi się dorobkiewiczostwo „prywatnej inicjatywy“. Miasteczka u nas — przeważnie w charakterze handlowe — tuczą drobny kapitalizm, małe przedsiębiorstwa konkurują tu przeważnie zwycięsko ze spółdzielnią i Państwowym Domem Towarowym. Nawet nauczyciel jeden i drugi porzuca swój zawód i zakłada sklepik. Podobnie drobne przedsiębiorstwa przemysłowe w miasteczkach i na wsi, młyny, cegielnie stają się podstawą prywatnych zysków rodzinnych, do których według prawa gmina nie może się wtrącać. W gminie brak pieniędzy na konieczne inwestycje szkolne, młodzież czeka na stypendia, nauczyciele są zależni od ciężko działających komitetów rodzicielskich, a tymczasem zyski osiągnięte w gminie nie zostają w niej społecznie zużyte. Są i filantropijni przedsiębiorcy. Młynarz pokrywa znaczną część kosztów elektryfikacyjnych osady. Jednak ta sekularyzowana dobroczynność nie rozwiązuje ogólnej sytuacji. Zapewne, to wszystko dzieje się w ramach ustroju. Nie wolno jednak zapominać, że ustrój nigdy nie jest gotowy. Nauczyciel znajdując się — jak powiedzieliśmy — na pozycjach kultury najdalej, najgłębiej wysuniętych w masy narodowe — jest także w terenie politycznie i społecznie najbardziej plastycznym, kształtującym się.

Można by użyć już raz zastosowanego porównania. Sieć organizacyjna, prawna życia tu — w miasteczku i na wsi jest najluźniejsza, najrzadsza. Podczas, kiedy wyżej pozycja i funkcja nauczyciela jest bardziej wyspecjalizowana, zacieśniona do nauczania, bo nawet funkcje wychowawcze szkoła musi dzielić z instytucjami obcymi: prasa, sklep, reklama, ulica, rozrywki wielkomiejskie — to tutaj nauczyciel reprezentujący instytucję szkoły jest jeszcze na tyle osamotniony, że więzi jego ze środowiskiem muszą być o wiele różnorodniejsze, że wymaga się nawet od nauczyciela, aby był uniwersalnym działaczem społecznym poza szkołą.

W książce „Praca i wczasy nauczycielskie“ pisał w r. 1934 Jan Bednarz o roli nauczyciela w środowisku wiejskim:

„Oto nieraz przychodzi ktoś do nauczyciela, by napisać podanie do starostwa, urzędu skarbowego, sądu, przychodzi, by poradzić się, bo dziecko gorączkuje, bo chłopaka czy dziewczynę trzeba oddać do zawodu, poradzić się w sprawie uzyskania pożyczki, zakupna narzędzi rolniczych, sprzętów kuchennych, urządzeń mieszkaniowych, w sprawie waśni sąsiedzkich, w sprawie ulepszenia gatunków zboża, warzyw, drzew owocowych, w sprawie wyborów do sejmu, do rad gminnych itp....“.

I nauczyciel musiał i powinien był — jak sądzi Bednarz — odłożyć swoje 4—8 paczek zeszytów szkolnych, radzić i pomagać i znać się na wszystkim. Cały niemal autorytet nauczyciela na wsi zależał nie od tego, czy dobrze uczył, ale czy znał się na sprawach administracyjnych, rolniczych i politycznych. To był dobry nauczyciel.

Nie o to chodzi, czy dziś nie zdarza się tak samo. Zdarza się, ale w tym właśnie rzecz, że zmienia się i musi się zmieniać w kierunku ograniczenia funkcji nauczyciela, a tym samym w kierunku odjęcia wiele od jego autorytetu. Wyrównanie tego autorytetu powinno się oczywiście dokonywać w innym zakresie — w zakresie spraw ściśle oświatowych i wychowawczych, ale czy musi się wyrównywać, czy zawsze się wyrównuje? Czy nie zależy to od postawy nauczyciela?

Wydaje się, że nauczyciel ma prawo być coraz mniej działaczem w terenie — w miarę zagęszczania się sieci instytucji społecznych tylko za pewną cenę — za cenę podnoszenia poprzez szkołę autorytetu tych instytucji. Podanie do starostwa napisze każdy sam, z chorobą zgłosi się do ośrodka zdrowia i lekarza, narzędzia rolnicze kupi poprzez Zw. Sam. Chłop., w sprawie ulepszenia gospodarki zwróci się do gminnego instruktora rolnego, sprawę wyborów do sejmu i rady gminnej rozstrzygnie czytając gazety i biorąc udział w organizacjach partyjnych. A przecież to wszystko według Bednarza robił sam nauczyciel.

Nie wierzymy dziś tak jak pozytywiści w automatycznie niejako postępowe działanie oświaty. Walcząc z analfabetyzmem jednocześnie przestaliśmy uważać szkołę za lekarstwo na wszystkie „choroby społeczne“

Szkoła. Ale w jakim systemie ideologicznym, jak wbudowana w ustrój?

Zdarzyło mi się słuchać lekcji historii starożytnej w wiejskim gimnazjum. Tematem lekcji była reforma rolna w Rzymie za czasów Grakchów. Czekałam całą godzinę, kiedy wreszcie padnie od strony nauczyciela jakieś nawiązanie do naszej historii, do naszego ustroju agrarnego. (Lekcja odbywała się przed dwoma laty, gdy problem reformy rolnej był jeszcze o wiele świeższy, niż dzisiaj). Nie doczekałam się. Lekcja minęła bez żadnej aluzji do rzeczywistości, która była przecież rzeczywistością najbliższą wszystkich uczniów — synów i córek chłopskich z okolicznych wsi.

Ten nauczyciel wychowujący inteligentów nie dla wsi, ani nawet dla miasta, nie dla czasów, nie dla ustroju — „produkował“ także obkutych w historii „analfabetów ustroju“. Zapytałam po lekcji, co wiedzą o ustroju rolnym w Polsce przedwojennej, co wiedzą o reformie rolnej — młodzi chłopi? Nie wiedzieli nic. Następna lekcja była lekcją łaciny w starszej klasie. Czytano Owidiusza.

Nie jest to wystąpienie przeciwko wykształceniu klasycznemu — po prostu przykład marginesowości szkoły i osoby nauczyciela w ustroju, przykład jakby powiedział Żółkiewski — ideowego „emigranctwa“ szkoły.

W tej samej szkole bojkotuje się w czytelni „Wieś“ — jako pismo „komunizujące“.

W tej wsi, szkoła, mimo, że przeprowadza młodzież chłopską do uniwersytetów, jest o wiele bardziej zacofana i zapóźniona społecznie, niż proste instytucje gospodarcze, jak gminna spółdzielnia i gminny agronom.

Nauczycielka w małym miasteczku uskarżająca się na brak pomocy w wychowaniu własnych dzieci, które musi zostawiać gdzieś „u ludzi“ cierpi za winy dawnej szkoły, dawnego nauczyciela. Racjonalnie urządzony żłobek czy dzieciniec przejąłby wiele ciężaru z bark samotnej nauczycielki - matki i przyczynił się do rozwoju i uspołecznienia jej dzieci.

Tam, gdzie już środowisko nie wymaga od nauczyciela uniwersalności i udziału osobistego w życiu społecznym — powinno wymagać od niego udziału ideologicznego. Idealizm i egzaltacja ofiary „siłaczek“ może tu się zmienić na inne emocjonalne wartości — nie zawahałabym się wymienić najsilniejszej — entuzjazmu.

4. TECHNICY KULTURY?

Nauczycielka, którą poznaliśmy dzięki listowi nadesłanemu do redakcji — pisze o „poczuciu niższości wobec ustrojonych dam“ i pisze także co czyta: „I. K. P“, „Głos nauczycielski“, „Przyjaciółkę“, „Na więcej mnie nie stać! Ale i bez gazety nie umiem żyć“. Redakcja „Wsi“ rozsyła swoje pismo do wszystkich szkół i nauczycieli. Nie wiemy, czy, inne redakcje pism społeczno-literackich nie mogłyby robić podobnie.

Nie o to tu jednak idzie. Pragniemy zastanowić się jeszcze nad jedną sprawą, wynikającą z poprzednich rozważań. O ile nauczyciel ma coraz słuszniejsze prawo rezygnować z działactwa społeczno-gospodarczego poza „szkołą“, o tyle w zakresie życia kulturalnego środowiska on ciągle odgrywa najważniejszą rolę. W „Nowej Szkole“ czytamy np. w pewnym miejscu (w art. Parnowskiego) o nauczycielu jako „techniku kultury“.

Biblioteki, świetlice, związki młodzieżowe przejmują i tu w dużej mierze funkcje działania kulturalnego w środowisku. To też rola nauczycieli w tworzeniu np. pierwszych kół „Wici“ była dość duża. Niemniej szkoła pozostaje najbardziej stałą i zakorzenioną instytucją kultury w małych środowiskach. Jej funkcja jest tu niejako kierunkowa i kierownicza.

Sprawdźcie, czy w środowisku, gdzie nauczyciel utrzymuje żywy kontakt z postępową organizacją młodzieży — nie rozwijają się świeckie instytucje kulturalne.

Sprawdźcie, czy tam, gdzie nauczyciel „trzyma sztamę“ z księdzem, choćby towarzysko, nie prosperuje najlepiej katolicki Dom Ludowy, Caritas i chór kościelny w miejsce „Wici“.

Można tak i tak. Nam chodzi tylko o pewne prawidłowości, o stwierdzenie, że kierunek życia kulturalnego dość silnie zależny jest od postawy nauczyciela.

Przed wojną nauczyciel — jedyny inteligent na wsi skazany był albo na stosunki towarzyskie — z patronackim dworem i księdzem lub na zupełną kulturalną samotność. Toteż szkoła wiejska nie była żadną karierą. „Szkoda cię dla wsi“ — mówiono zdolnemu uczniowi, decydującemu się na wybór zawodu nauczycielskiego. Oznaczało to, że traktowano wieś jako kulturalne pustkowie.

Nauczyciele przed pół wiekiem bronili wsi od takich zarzutów, wskazując na tradycje „rdzennej i samorodnej“ kultury ludowej. To wśród nauczycieli ludowych w Galicji działało w okresie swego największego ożywienia Polskie Tow. Etnograficzne. Nauczyciele zajmowali się — nierzadko z zapałem — zbieraniem zabytków i zwyczaju ludowego. Chłopskie nazwiska w zarządach komórek Towarzystwa to był argument na to, że ruch etnograficzny trafił w instynkt samozachowawczy kultury w samej warstwie chłopskiej.

Jednak ten styl życia, jaki zastępował kulturę ludową nie dorównywał jej dawnej formalnej świetności. Możnaby powiedzieć, że kultura wsi spauperyzowała się tak samo, jak jej struktura społeczna, tym bardziej, że „miejskie“ formy kultury szły raczej od biedniackiej wsi, tej, która szukała zarobku w mieście i tej, która emigrowała zagranicę.

Środowiska kulturalnego drobnomieszczaństwa, jak w małych miasteczkach i wielu wsiach oddziaływują niwelująco także na nauczycielstwo, które bierze sobie często niemal za punkt honoru dorównanie środowiskowej elicie w stylu życia.

Widzę tu dwa problemy: jakie są towarzyskie i organizacyjne kontakty nauczycielstwa ze środowiskiem oraz — co i jak nauczycielstwo czyta.

W rozstrzygnięciu pierwszego problemu nie chodziłoby znowu o działactwo, lecz o poczucie związków ideologicznych z pewnymi grupami, o stopień politycznej świadomości nauczycielstwa.

Nie możnaby tego osiągnąć bez przybliżonej choćby wiedzy o ogólnej sytuacji politycznej i gospodarczej świata i Polski, bez orientacji w ogólnym życiu kulturalnym.

„I. K. P.“ i „Przyjaciółka“ nie wystarczają, aby być pełnym inteligentem.

Artykuł ten ma być wstępem do dyskusji. Nie ma pretensji do wyczerpania zagadnień. Spodziewamy się, że dyskusja ustawi we właściwych proporcjach to, co zostało tu zaledwie wypunktowane.

Anna Kamieńska

Genowefa Szturchaniec

Wołanie na puszczy

O kronikę zagraniczną czyli „Nowe Ateny albo akademia wszelkiej scyencyi pełna“

„O Bogu, bożków mnóstwie, słów pięknych [wyborze
Kwestyj cudnych wiele, o Sybillów zbiorze,
O zwierzu, rybach, ptakach, o matematyce,
O cudach świata, ludzi rządach, polityce,
O językach i drzewach, o żywiołach, wierze,
Hieroglifikach, gadkach, narodów manierze:
Co który kraj ma w sobie dziwnych ciekawości,
Cały świat opisany z gruntu w słów krótkości“.

Cały ten ogrom wiedzy przedstawił dwieście lat temu Xiądz Benedykt Chmielowski „mądrym dla memoryału, idyotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki“.

Nie od dziś wiadomo, że tradycya najpewniejsze Rzeczypospolitej eryguje fundamentum. Dlatego też i zacny Xiądz Benedykt nie mógłby się nigdy uskarżać na brak spadkobierców swej światłej działalności kulturalnej. Jeśli zaś sięgniemy np. do współczesnych kronik zagranicznych, stwierdzimy nawet z satysfakcją, że świat idzie naprzód — uczniowie zapędzili mistrza w kozi róg: „co, który kraj ma w sobie dziwnych ciekawości“ wypisano tu dokładniej i o wiele bezsensowniej, niż się to polskiemu „encyklopedyście“ śniło. Encyklopedia została tu bowiem zręcznie skombinowana z kroniką towarzyską lub rautem w maglu.

Nie udało mi się zebrać bliższych danych, informujących, jak na tej lekturze wychodzą bądź mądrzy, bądź idioci. Politycy od czasów „Nowych Aten“ przestali w ogóle czytać — trudno im się ostatecznie dziwić, ale „polityka“ kulturalna naszych czasopism wskazuje, na kim się to skrupiło. Natomiast kilku melancholików zapewniło mnie solennie, że rozrywkę mają niebywałą.

Oczywiście nie można zjeżdżać w czambuł polityki międzynarodowej wszystkich naszych pism literackich: zgodnie ze starą zasadą należy oddać co mądrego „Kuźnicy“. Kroniki francuskie, opracowywane przez Julię Hartwig i Mariusza Margala oraz kroniki radzieckie, podpisywane kryptonimem js, mogą stanowić przykład właściwego zrozumienia funkcji kroniki zagranicznej. Opracowania te w formie dłuższych artykułów zbliżają do zasadniczych problemów życia kulturalnego zagranicy, streszczają znamienne dyskusje, omawiają działanie instytucji kulturalnych, referują wydarzenia literackie na tle sytuacji kulturalnej kraju i nurtujących go prądów umysłowych. Są to raczej **kroniki monograficzne**, naświetlające szeroko jedno zagadnienie, co ułatwia czytelnikowi orientacje w życiu kulturalnym zagranicy.

Uczciwość sprawozdawcy zmusza mnie niestety do stwierdzenia, („tu serce — tam powinność...“), że i „Kuźnicy“ przytrafiły się ostatnio brzydkie grzechy: kroniki radzieckie, podpisywane inicjałami P.E., krótkie, niedbałe notatki, stanowiące bałaganiarskie nagromadzenie ciekawostek, nadomiar wszystkiego z nieuniknionym aspektem: słoń.... — przepraszam — Rosja a Polska. Dowiadujemy się więc, że kukiełki wymyślił nie Obrazcow, a Nina Simonowicz - Jefimowa, że M. Priszwin skończył 75 lat, a J. Żółtowski 80, że wydano nowy życiorys Rylejewa, że w Moskwie ktoś wygłosił referat o Wyspiańskim....

Owszem, jubileusze znanych artystów to temat, który nadaje się nie tylko do „Słówek“ Boya, ale jeśli już mamy je traktować jako wydarzenia kulturalne, to należałoby wzorować się na opracowaniu zagadnień związanych ze 125-leciem śmierci Niekrasowa przez js. w „Kuźnicy“. Jeśli nie jest to artykulik informujący choćby najzwięźlej o dorobku artystycznym „jubilata“, czy o poświęconych mu publikacjach, mamy prawo traktować taką informację narówni z zawiadomieniem o srebrnym weselu p.p. Dulskich — a tego „Kuźnica“ dotychczas nie drukowała. Do kroniki towarzyskiej kwalifikuje się także w całości styl notatki o życiorysie Rylejewa: autorem nowej biografii jest Kiryło Pigarew (wnuk Tiutczewa — ladies and gentlemen!), a sam Rylejew był już także przedstawiony czytelnikom polskim — pisał przecież o nim „Adam“ (czy Wam nie wstyd — a kto śmiał się z „Zygmuntów“ i „Juliuszów“!). Całe szczęście, że są to dopiero dwa potknięcia na przestrzeni całego czterolecia „Kuźnicy“. Życząc więc pismu mocnego postanowienia poprawy życia przejdźmy do „Odrodzenia“.

Dawne tradycje kronik francuskich Stanisława Gołuski sugerowały, że w życiu kulturalnym Francji nie ma bardziej interesujących wydarzeń, niż wydanie listów miłosnych Balzaka do p. Hańskiej, lub polemika na temat czy Szekspir był Szekspirem, no bo jeśli nie, to kim był w końcu Szekspir, tudzież kto był Szekspirem. Obecnie „Odrodzenie“, zdrabniając konsekwentnie zarówno problematykę, jak i wymiary artykułów przeszło na politykę „okruchów“ i „drobiazgów“.

Czegóż nie ma wśród „Drobiazgów niemieckich“, nawet Xiądz Chmielowski o tym pewnie nie wiedział:

„o teologii, Serbach, niemieckiej muzyce, reedukacji, Bachu i matematyce...“.

Właśnie, że o matematyce! A wiecie dokładnie, gdzie i w jakiej ilości osiadły wysiedlone diakoniski ewangelickie? — Pewno nie! — A „Odrodzenie“ wie — właśnie z matematyczną dokładnością. Sama widziałam rozentuzjazmowane „masy“, wyrywające sobie „Odrodzenie“ ze statystycznym wykazem: „Ogółem w Niemczech jest obecnie 30.000 sióstr diakonisek, (tyle co przed wojną), pracujących w 72 szpitalach, z czego 30 znajduje się w strefie sowieckiej“. Dopiero „Tygodnik Powszechny“, oburzony ingerencją w strefę swej opatentowanej tematyki, pośpieszył ze sprostowaniem, że jest ich 30.027. Konsekwencje dla życia kulturalnego Polski mogą być nieobliczalne.

Jest jedno tłumaczenie dla objawów wytrwałego dążenia, aby kronikę kulturalną zagranicy zmienić na „Wesoły kącik“ pisma: — zamaskowana propaganda swojszczyzny, starosarmackie „u nas inaczej“, —

„a niechay wrychle swoi i obcy uznayą
iż Polacy nie gęsi, wżdy Boreyszą mayą“.

O ile „Odrodzenie“ na plan pierwszy wysuwa encyklopedię osobliwości kulturalnych, o tyle „Nowiny Literackie“ najpewniej czują się na terenie plotek towarzyskich.

Czy wiecie, że:

1) „Pojedynki są jeszcze modne w świecie literatury i sztuki. Ostatnio mówi się dużo o pojedynku między...“.
2) „Pewien dziennikarz paryski wpadł na pomysł zebrania od wielkich pisarzy ich życzeń na rok 1948. François Mauriac życzyłby sobie...“.
3) „George Duhamel po powrocie z Indochin wyjeżdża w podróż do Afryki Północnej i Afryki Ekwadorialnej“.
4) „W Paryżu toczyła się interesująca dyskusja na temat: „Czy poezja jest zakazanym owocem?“. Poeci katolicy, mistycy, surrealiści, marksiści, którzy wzięli udział w tych „zapasach“ nie mogli dojść do porozumienia“.

Przy tego rodzaju dyspozycjach psychicznych redakcji niepojęte jest tylko, dlaczego rubryka „Nowiny sprzed 50 lat“ traktowana jest z ciepłą ironią. Wszyscy twierdzą, że tematyka i typ informacji całego pisma nie odbiega w zasadzie od rozważań o sezonie wyścigowym. Brzydko jest kpić z własnych przodków.

Nie znaczy to jednak, by kultywując typ obyczajowej kroniki dla snobów, „Nowiny Literackie“ zrezygnowały z roboty oświatowej.

Oto przykłady:

1) **Literaturoznawstwo:**

„Początki „Encyklopedii“ oświetla **F. Venturi**, wysnuwając wnioski z własnych badań źródłowych, — są one nieobojętne dla ujęcia duchowego rozwoju Diderota“.

— Tym smutniejsze, że współczesna nauka o literaturze odnosi się do zagadnień tego typu z zimną obojętnością.

2) **Filozofia:**

„W marcowym „Quadernio della Critica“ zastanawia się Croce nad źródłem swej niezmiernej antypatii do filozofii Heideggera, by znaleźć ją w cechującej tego pisarza niemożności uchwycenia właściwego stosunku całości do części.... Do czego służyć mogą zamknięte w sobie rozważania egzystencjalne, nie prowadzące nigdzie dalej? Okazały to fakty, do pobudzenia niektórych, by rzucili się, lub powrócili w ramiona religii objawionej, w stosunku do której egzystencjalizm spełnia rolę podobną, co wiele innych sytuacji psychologicznych“.

Nawet Xiądz Chmielowski nie rozwiązałby zadania ze znanego cyklu „Rachuj kolego“: jaki jest stosunek części do całości wśród pół — i ćwierć — główków, fabrykujących te brednie. Że zaś sytuacje psychologiczne pobudzają niektórych, by rzucili się, lub powrócili w różne ramiona — to wiadomo wszystkim Dumasom, ale dotychczas nie trzeba było na to aż Heideggera.

Pomówmy teraz na serio. Kronika zagraniczna nie zawsze przybiera tak karykaturalne formy, jak złośliwie wycytowane powyżej przykłady. Ale prawie zawsze — poza omówionymi już kronikami „Kuźnicy“ — jest bezładną mieszaniną drobnych faktów, pozbawionych komentarza, wyrwanych z kontekstu kulturowego, a zatem nic nie mówiących i nie pozostawiających w świadomości przeciętnego czytelnika żadnych śladów. Skoro pismo nie dysponuje publicystą, mogącym sumiennie opracować kronikę, lepiej nie snobować się na Europę i nie wprowadzać bezużytecznego kramiku osobliwości.

Skoro nie mamy Diderota, — nie usiłujmy go zastąpić Xiędzem Chmielowskim.

SPROSTOWANIA

1) List polityczny „Histeria i optymizm“ („Wieś“ nr 18/19) uległ z przyczyn technicznych zniekształceniom, które zmieniają intencje autora. Zdanie: „Czyż samo podsumowanie tych faktów, nie świadczy o olbrzymiej dynamice obozu demokratycznego“ winno brzmieć: — „Czyż samo podsumowanie tych faktów — zapytam za Bermanem — nie świadczy o olbrzymiej dynamice obozu antyimperialistycznego“. Natomiast trzecie od końca zdanie artykułu winno brzmieć: „Choć nie chcą — dzień 1 maja będziemy obchodzić jako święto siły i jedności klasy robotniczej i całego obozu demokratycznego“.

2) W artykule Anny Kamieńskiej „List z Łodzi“ („Wieś“ nr 18/19) zakończenie winno brzmieć zamiast: „Inna matka modli się za nią w kościele., niech tam“ — „Inna matka modli się za nią w kościele“. Dodane słowa wypaczają intencję autorki.

Redakcja

BARTOSZ

Znacie ich?

Najczarniejszy dzień żywota

DŁUGOLETNI I DROGI MÓJ WSPÓLNIKU!

Donoszę Ci, że jestem zmuszony przerwać nasze interesy handlowe. Pracę w spółdzielni gminnej rzucam i za kilka dni wracam do miasta. Propozycji sprzedania nawozów i ziarna siewnego „na boku" podjąć już nie mogę. Żałuję, bo to dobry interes. Sam jednak wiesz, że dziś coraz trudniej pracować na terenie gminy.

To nie czasy okupacyjne, kiedy okradało się Niemców, robiło duże pieniądze a ludzie szanowali nas jako patriotów, specjalistów od sabotażu gospodarczego.

Nawet jeszcze przez pierwsze 2 lata tej niepodległości dało się jako tako żyć. Ale teraz? Wiesz mi, że najczarniejszy dzień mojego pracowitego życia — to ten, w którym nasz spółdzielczy sklep zamieniono na Uniwersalną Spółdzielnię Gminną ZSCh. Dzięki poparciu bogatych gospodarzy, potrzebujących zawsze więcej ziarna i nawozów, utrzymywałem się wprawdze na stanowisku kierownika, ale dochody poczęły się odtąd kurczyć.

Najbardziej dokuczyli mi ci wiciarze. Myślałem, że pójdą do miasta i wsiąkną tam raz na zawsze. Tym czasem poduczyli się tych demokratycznych mądrości i dawaj chłopom tłumaczyć, że w gminie jest teraz społeczna gospodarka, czyli że każdy ją może kontrolować. No i zrób tu trochę grosza na boku, kiedy ci taki łobuz ze spółdzielczych kursów patrzy bez przerwy na ręce. A i chłopi się zmienili na niekorzyść. Dawniej stali pokornie w kolejce, prosili grzecznie o to czy tamto, a dziś powiadają, że są współgospodarzami kraju i należy im się od przemysłu nawóz, czy maszynę, bo oni za to żywią robotników.

Ostatnio zrobili międzypartyjną komisję społeczną i sprawdzają wszystkie księgi spółdzielni, aż od wiosny 1945 roku. Miła perspektywa, co? Myślę, że nie dojdą prawdy. Inaczej leżę na amen. Na wszelki wypadek wolę wyjechać jeszcze przed ukończeniem kontroli.

Piszę Ci o tym wszystkim i dlatego, że liczę na Twoją pomoc. Mam nadzieję, że dla starego wspólnika znajdziesz jakąś odpowiednią posadę. W wolnych chwilach mogę nawet trochę pracować. Oczywiście handel przede wszystkim. Mam spory kapitalik — myślę, że Cię to zainteresuje. Znajdź odpowiednią lokatę.

Do zobaczenia
Józef

P.S.

Swoją drogą bardzo się przywiązałem do pracy na terenie gminy.

Emerytowany „radca"

—Cóż to Walenty taki zadowolony?

— Abo dziś jest nasze święto ludowe, to się cieszę.

— Panie Walenty, święto świętem, ale ja przyszedłem aż z miasteczka pogadać z wami o interesach.

— O interesach? A odkąd to chłopi prowadzą z wami interesy?

— Jak to, przecież przed wojną dostarczaliście do mojej rzeźni żywca — świnie, cielęta.

— No tak. Ale to było przed wojną. Wtedy Pan byłeś świnią, a ja cielęciem. Dziś się Panie Tobiaszu nie spekulantom odstawia żywiec, ale do spółdzielni samopomocowej. Od tego przecie jest.

— Walenty, Walenty, co wy gadacie, przecież myśmy chyba od pierwszej wojny światowej razem handlowali!

— Tak, tak Tobiaszu, ale wtedy rządzili nami „hieny" z miasteczek, i takie „piasty" jak nasz dawny dziedzic.

— Walenty bójcie się Boga!

— A dlaczego, cóż to ja grzesznik, że za godziwą cenę dostarczam teraz przez spółdzielnię robotnikom produkty rolne? To moi przyjaciele, od których dostanę wszystko co mi potrzeba, żeby gospodarka była lepsza: maszyny, narzędzia, nawóz.

— Widzę, żeście uwierzyli w te kołchozy. Przecież oni was chcą racjonizować, rejonizować, a nawet jak słychać — kanalizować. Walenty, nic z was nie zostanie, jako wolnego dotąd gospodarza.

— Tobiaszu, wyście nam chłopom wywykładali co wtorek politykę na targu w miasteczku. Ale to było przed wojną. Przyjdźcie teraz do naszej świetlicy, kiedy chcecie to Was społecznie uświadomimy, bo coś się spóźniacie o dobre kilkanaście lat.

— Jak to, chłopi mnie będą uczyć polityki. Co Walenty wygadujecie!

— A no to, że kiepskimi byliście nauczycielami. My będziemy lepsi.

— Oj nie dobrze się dzieje! Historie te chłopy wywrócili do góry nogami.

— Patrzcie Tobiaszu — idą nasze chłopy do miasteczka, na święto ludowe. Idą robić nową historię.

— Nie mogę patrzeć. I widzę, że z wami już interesu nie zrobię. I co gorsza naprawdę nie ma już z kim.

Wojtek Paluch

Uczniowie diabła

— Proszę księdza jegomości, ale przed wojną inaczej wyglądało święto ludowe — co?

— Inaczej moja poczciwa Michałowo, zupełnie inaczej.

— W ostatnią niedzielę przed świętem wkładał na siebie jegomość zielony ornat. Ślicznie w nim ksiądz wyglądał.

— Ee... cóż mnie tak Michałowa komplementuje, chociaż pewnie, że przed wojną było mi bardziej do twarzy w zielonym kolorze.

— No, a już kazanie jegomości do ludu, mój Boże — jakie śliczne!

— Tak, tak. Tylko, że wtedy było do kogo mówić. Pod ołtarzem w ławie rodowej siedział dziedzic — prezes Kółka Rolniczego, pani dziedziczka — opiekunka Koła Gospodyń Wiejskich, dalej oficjaliści dworscy. A cóż to byli za partnerzy do preferansa Michałowo! Dziś urzędnik ze spółdzielni, a właściwie kołchozu Samopomocy Chłopskiej w ogóle w karty nie grywa, a zresztą to nie jest odpowiednia dla mnie profesja.

— Co prawda — to prawda proszę jegomości. Ale wtedy było pięknie. Mój nieboszczyk mąż stał w kościele zawsze na przedzie ze sztandarem strażackim obok tercjanki i tercjanie, członkowie Koła Katolickiej Młodzieży Ludowej. A tych „wyzwoleńców' i wiciarzy, tak ksiądz z ambony przejeżdżał, że jak sobie za tydzień urządzili te ich święto ludowe, to nikt nie chciał iść. Pamiętam, że jegomość nie chciał ich wpuścić ze sztandarami do kościoła.

— Dlatego moja Michałowo, że to uczniowie diabła.

— Wiem, wiem. Nieraz przecież jegomość o tym mówł. To prawda, że ich Bóg — to jest maszyna?

— A tak.

— I że będą zakładać jakieś garaże, na motorach, ludzi i bydło płoszyć?

— Też prawda. Najgorsze jednak Michałowo jest to, że mi już prawie nie wierzą. Powiadają, że prasa ludowa, radio w świetlicy zupełnie im wystarczy.

— Niech się jegomość nie martwi. To tak długo być nie może. I oni przeminą.

— No, ale na razie schowajmy się w domu. Właśnie idą ze sztandarami, bo to ich dziś święto. Niech Michałowa dopilnuje tej kury w rosole. Lubię miękkie mięso.

Gospodyni

LISTY

Współzawodnictwo wiejskie

Szanowna Redakcjo!

Zgodnie z otrzymanym od Sz. Redakcji listem — piszę o **Współzawodnictwie wiejskim** w pow. piotrkowskim.

ŚWIADOME, planowe i co najważniejsze — masowe, współzawodnictwo na wsi postawione zostało po raz pierwszy dopiero dziś. Niewątpliwie jest ono zapalone tymi płomieniami współzawodnictwa o jakich już od dłuższego czasu mowa jest w przemyśle. Jest teraz potrzeba radykalnego zwiększenia produkcji rolniczej, konieczność całkowitego zlikwidowania marazmu jaki pokutuje jeszcze dość często na wsi. Kłopot tylko wciąż jest z tym, że pomimo wysiłków jakich nie szczędzono, aby współzawodnictwo rolnicze oprzeć na ustalonych podstawach regulaminowych, aby mu nadać jakieś wspólne łożysko, aby stworzyć zasadnicze kryteria dla ocenienia wyników — współzawodnictwo — rozlewa się samorzutnie — poza te wszystkie formy w jakich chciano go zmieścić i — jakie bezsprzecznie są potrzebne jeśli się pragnie, aby ta ciężka machina rolnicza nastawiona na przyśpieszony ruch — nie doprowadziła do — zniechęcenia — zanim zdąży osiągnąć jakiś praktyczny cel.

Min. Rolnictwa i R. R. jak również Związek Samopomocy Chłopskiej zasadniczo ograniczyły współzawodnictwo do kilku podstawowych zagadnień. Jednakże na samym dole, wśród tych którzy pracę wykonują bezpośrednio, t. j. u chłopów zagrała trochę także fantazja i — na własną rękę wachlarz tych zagadnień znacznie rozszerzono.

Tak np. gromady: Witów, Zalesice, Kałek, Kłudzice, Świerczów, Uszczyn, Korytnica — stanowiące ośrodek mleczarni spółdzielczej (w Witowie) współzawodniczą bezpośrednio z sąsiednim ośrodkiem mleczarskim w Milejowie, gdzie do wyścigu o palmę pierwszeństwa stają gromady: Milejów, Janówka, Longinówka, Milejowiec, Krzyżanów, Glina, Cekanów. Współzawodnictwo rozgrywa się więc pomiędzy dwoma spółdzielniami mleczarskimi i pomiędzy gromadami — która z nich osiągnie wyższą dostawę mleka. Założeniem było: zwiększyć dostawę o 50 proc. w porównaniu z dostawą w r. 1947. W trzecim miesiącu wyścigu można powiedzieć, iż jedna i druga strona przekroczy zeszłoroczny poziom dostaw więcej niż 100 proc. — choć trudno w tej chwili przewidzieć, która z nich zdobędzie pierwsze miejsce.

Mniej więcej te same gromady współzawodniczą z sobą na punkcie zagospodarowania łąk — co ściśle wiąże się — z produkcją i — dostawą mleka.

Okręgowy Urząd Wodno - Melioracyjny w Piotrkowie w r. 1947 wykonał urządzenia dla nawadniania kompleksu łąk: jednego nad rzeką Strawą (Zalesice) drugiego nad rz. Luciążą (Milejów) — po uprzednim uregulowaniu koryta tych rzek.

Która z gromad — względnie z gospodarzy mających swój udział w posiadaniu tych łąk osiągnie pierwsze, najlepsze miejsce jeśli chodzi o stopień zagospodarowania, kto włoży więcej celowego wysiłku i kto lepsze osiągnie rezultaty — okaże się dopiero po dokładnym „spunktowaniu" wszystkich prac. Wiadomo tylko, że start nie tylko poszczególnych gromad, ale poszczególnych gospodarzy — jest bardzo nierówny: jedni muszą zaczynać od zaorania terenu, inni — od zdrapania mchu — inni zaś — tylko od podsiewu traw.

Do niedawna jeszcze dominującym tematem był wyścig o zwiększenie ilości zbóż chlebowych — do którego stanęły gminy: Krzyżanów, Szydłów, Rozprza, Gorzkowice jako najbardziej „zbożowe" gminy w powiecie piotrkowskim. Ale stawka wynosiła: 10 proc. ponad poziom zeszłoroczny. Tymczasem — jak dotąd — natura sama pobiła wszystko i wszystkich: urodzaj zbóż zapowiada się tak duży, że sam temat wyścigu stracił niejako na aktualności, a ponad to nie łatwo będzie stwierdzić u kogoś w jakim stopniu zasługę przypisać należy gospodarzowi, względnie gromadzie, w jakim zaś — sprzyjającemu przebiegowi ubiegłej jesieni i zimy oraz bieżącej wiosny.... Przeciętnie w r. 1947 z 1 ha osiągnięto w powiecie 8½ q. Ile będzie w r. 1948?

Gromady rolników m — Piotrkowa, następnie gromady: Majków, Kamocin, Zalesice, Świątniki, Polichno, Młynarzy, Kobyłki, Budków, Woźniki, Przygłów, Nowa Wieś, Rozprza, Białocin współzawodniczą z sobą o pierwszeństwo w uzyskaniu ilości buraków cukrowych z hektara. Norma zeszłoroczna wynosiła przeciętnie dla powiatu 170 q — w tym roku ma być podniesiona o 10%. Zresztą uprawa buraków cukrowych i odstawa do cukrowni opłaca się dopiero przy większej wydajności z jednostki powierzchni. Tutaj wyścig ma więc charakter pewnego doświadczenia.

Gromady: Glina, Rokszyce, Nowa Wieś, Milejowiec współzawodniczą z sobą o to: która z nich osiągnie wyższy stopień — „wzorowości" każda ma w tym kierunku pewne ambicje i w każdej z nich zrobione są już poważne początki. Tu w grę wchodzi już cała masa zagadnień takich jak: uporządkowanie dróg, wzorowe zagrody chłopskie, domy ludowe, organizacje chłopskie, czytelnictwo no i ogólny poziom rolnictwa, hodowli, ogrodnictwa itp. Jedna z tych gromad (Rokszyce) jest już zelektryfikowana inne — czynią starania aby się zelektryfikować.

W ośrodkach hodowlanych i mleczarskich żywo postępuje akcja budowania silnych tj. betonowych zbiorników do kiszenia pasz. I tu również — jak dotąd, na pierwsze miejsce wysuwają się gromady: Witów, gm. Uszczyn, Milejów gm. Krzyżanów.

W najbliższym czasie współzawodnictwem objęte zostaną prace w zakresie walki z chwastami, oraz kopania i oczyszczania rowów odwadniających. Do współzawodnictwa stają tutaj gminy: Paniewice, Krzyżanów, Woźniki, Bełchatówek, Wadlew, Kamieńsk, Kleszczów i Łączno.

Tych kilka przykładów daje jedynie ogólne pojęcie o współzawodnictwie w pracach wiejskich. Często współzawodnictwo miewa też inne, trudne do uchwycenia formy. N. p. są wsie, które się chlubią tym, że stosunkowo więcej posyłają dzieci do szkół średnich i wyższych — niż wsie sąsiednie, że są lepiej zorganizowane itp. Sprawy te jednak dla samej wsi jak i dla tych, co bezpośrednio ze wsią współpracują, co dzielą jej troski i kłopoty — mają raczej powszednie znaczenie. Dopiero w chwili, kiedy ma być dokonana formalna ocena tych prac, kiedy rzucone są konkretne hasła i postawiony wyraźny cel — wszyscy rozumiemy, że w obecnym zwłaszcza czasie, gdy chodzi o całkowite uniezależnienie gospodarcze i równoczesne podniesienie stopy życiowej mas pracujących — współzawodnictwo winno mieć charakter niepowszedni. Zgadzamy się również z tym, że bardzo celowym jest nagrodzenie dobrych wyników tego rodzaju współzawodnictwa — nie tylko oklaskami i gorącą pochwałą. Jeżeli chodzi o powiat piotrkowski, stwierdzić trzeba obiektywnie, że zarówno samorząd jak i poszczególne spółdzielnie postanowiły nagrodzić rzeczowo te gromady, które w wyścigu o zdobycie lepszego jutra — zdobędą pierwsze miejsca.

J. Czech.

Książki nadesłane do Redakcji

Spółdzielnia Wyd. „CZYTELNIK"

Konstanty I. Gałczyński — Zaczarowana dorożka — str. 113.
Juliusz Żuławski — Pole widzenia — str. 20.
Witold Taszycki — Jak kobieta w niewiastę się przeobraziła — str. 15.
Henryk Szarski — Jak rośnie paznokieć — str. 15.
Kazimierz Gumiński — Jak zważono powietrze — str. 31.
Kazimierz Gumiński — Czy natura jest przekorna — str. 31.
Adam Kulczyński — Tajniki serca ludzkiego — str. 29.
Kazimierz Gumiński — Ile człowiek zjada węgla — str. 30.
Czesław J. Centkiewicz — Czeluskin — str. 77
B. Dąbrowski — 114-ta Start! — str. 63.
W. Sieroszewski — Bokser. Kulisi. Dno nędzy — str. 63.
Z. Kossak — Nieznany kraj — str. 181.
Aleksy Tołstoj — Piotr I, tom I str. 400, tom II str. 335, tom III str. 185.
Teodor T. Jeż — Narzeczona Harambaszy — str. 197.
Inż. E. Szmidtgal — Materiały fotograficzne i ich obróbka — str. 101.
Stefan Żeromski — Wierna rzeka — str. 154
A. Żelińska — Rysice — str. 78.

GEBETHNER I WOLFF

M. Konopnicka — Banasiowa — str. 16.
A. Fredro — Zemsta — str. 108.
B. Prus — Powracająca fala — str. 116.
E. Orzeszkowa — Bracia — str. 104.
H. Boguszewska i J. Kornacki — Wisła — str. 315.
K. Mauszyński — Szatan z siódmej klasy — str. 301.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA"

R. Kipling — Puk z Pukowej górki — str. 260.
J. Broszkiewicz — Oczekiwanie — str. 205.
Balzac — Kuzynka Bietka — Tom I str. 230, tom II str. 226.
B. Frank — Cervantes — str. 275.
Beneventa Cellįniego — Żywot własny.
Victor Hugo — Rok dziewięćdziesiąty trzeci str. 434.
Marian Podkowiński — IV Rzesza rośnie str. 191..
Adolf Dygasiński — Gody życia wyd. 5 str. 148.
John Hersey — Hiroszima str. 113.
Jadwiga Gorzycka — Stanisław Kunicki str. 52.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—024358